

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ **Nr 5/584** **1996**



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. POMIANOWSKI: **EKSHUMACJA**

M. KORZEC: **ZNOWU KOREA**

K. WOLICKI:

JUŻ ZNOWU PRZED WYBORAMI

SMECZ: Z UKOSA (O BIAŁORUSI)

SPIS RZECZY

Jerzy Pomianowski:	<i>Ekshumacja</i>	3
Włodzimierz Nechamkis:	<i>Ostpreussenland</i>	21
WIERSTY		
Adam Lizakowski:	<i>Zielona karta. – Piekarnia na Chicago Ave. – Słyszyc o emigrantach</i>	27
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Michał Korzec:	<i>Znowu Korea</i>	29
–	<i>O aktywnej politykę wchodnią Polski</i>	33
WYWIADY „KULTURY”		
Aleksandra Ziolkowska-Boehm:	<i>Wojna w Jugosławii (rozmowa z Tadeuszem Olszańskim)</i>	35
Zbigniew Wl. Fronczek:	<i>Plan dla Polski (rozmowa z Erichem Loestem)</i>	43
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Hierarchia polska po komunizmie</i> ..	51
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Już znowu przed wyborami</i>	58
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	67
SPRAWY I TROSKI		
–	<i>Lista członków wspierających Tow. Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu</i>	81
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	83
Bohdan Osadczyk:	<i>Wiosna z przymrozkami</i>	88
NOTATKI REDAKTORA		
KRONIKA KULTURALNA		
Leszek Szaruga:	<i>Próba syntezy polskiej prozy</i>	97
–	<i>II-gie Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego</i>	99
Dorota Danielewicz-Kerski:	<i>Polska książka w Lipsku</i>	100
–	<i>Nagrody</i>	103
CI, CO ODESZLI		
Murielle Gagnebin:	<i>Polska obchodzi stulecie urodzin Józefa Czapskiego</i>	105
Maciej Łukasiewicz:	<i>Dariusz Fikus (1932-1996)</i>	107
Kazimierz Orłoś:	<i>Nie ma alternatywy dla nadziei</i> ..	113

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

Varsove
W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj/Mai

1996

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPEŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Stefana Strelecyna – w 15-tą rocznicę Jego śmierci – syn, synowa i wnuczka z Paryża	F. 250,00
Wiera Gran, Paryż	F. 500,00
Krystyna i Henryk Mucznik (Szwajcaria) – dla uczczenia pamięci naszego brata i szwagra mgr inż. Henryka Ostrowskiego – w 12-tą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00
Stanisława Opolska, Toronto, ON (Kanada) – dla uczczenia pamięci brata Mirosława Charenzy, zaginionego w latach wojny na wschodnich ziemiach Polski Dol. kan. 25,00 ..	F. 100,00
K. Steve Rasiejowie, Teaneck, N.J. (USA) – po raz 18-ty – Dol. 32,00	F. 162,00
F. Xavier Rudziński, Dallas TX (USA) – po raz 2-gi – Dol. 50,00	F. 253,00
Maria Strelecyn i Jerzy z rodziną (Wielka Brytania) – dla uczczenia pamięci naszego Męża i Ojca – w 15-tą rocznicę Jego śmierci	F. 250,00
Franciszek Strociak, Park Ridge IL (USA) – po raz 36-ty – Dol. 71,00	F. 360,00
Studio Telewizji Polskiej SA w Warszawie, Oddział w Krakowie	F. 1000,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg FL (USA) – po raz 42-gi – Dol. 20,00	F. 101,00
Julitta Szylar, New York (USA) – po raz 14-ty – Dol. 200,00 ..	F. 1010,00
Irena i Jerzy Szwede, Kalifornia – zamiast kwiatów na grób śp. Francis James Whitfielda, profesora sławistyki uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, współautora Słownika Fundacji Kościuszkowskiej zmarłego w lutym 1996 – Dol. 50,00	F. 253,00
W drugą rocznicę śmierci brata śp. Tadeusza Ungara – siostra Jadwiga Ungar, Irvington N.Y. (USA) – Dol. 500,00 ..	F. 2.525,00
W 15-tą rocznicę śmierci Przyjaciela, Stefana Strelecyna, dla uczczenia Jego pamięci – Kamila Halpern-Chylińska ..	F. 300,00
Zamiast kwiatów na grób drogiej nam Marii Łamzaki Mawro – Barbara i Stefan Fulde (Offenbach, Niemcy)	F. 334,00
Anonimowo (TPK) ze Sztokholmu – zamiast kwiatów na grób redaktora Norberta Żaby – K. szw. 150,00	F. 110,00
●	
Zygmunt Dyka, Menton (Alpes Maritimes) – zamiast kwiatów na grób zmarłego w Kanadzie, nieodżałowanej pamięci dr. lek. wet. Kołodyńskiego – na pomoc dla Polaków w Równem na Wołyniu	F. 100,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – na pomoc dla Rodaków w Rosji – Dol. 20,00	F. 101,00

DZIĘKUJEMY !

Ekshumacja

Uchwała rosyjskiej Dumy z 15 marca 1996 r., przekreślająca ugodę białowieską z 12 grudnia 1991 r., nie oznacza jeszcze zmartwychwstania ZSSR. Żadna – prócz Białorusi – z dawnych prowincji Imperium nie zamierza tymczasem rezygnować z suwerenności. Uchwała jest jednak najprostszym dowodem, że wśród rosyjskich polityków wzięła górę tendencja o cechach, z których trzeba natychmiast zdać sobie sprawę.

Jest niebezpieczna dla samej Rosji. Grozi zawałem jej gospodarce i prowadzi na tę samą drogę, która już raz przysporzyła tyle cierpień tak Rosjanom, jak bliższym i dalszym sąsiadom.

Jest bezpośrednim zagrożeniem, rodzajem ultimatum wobec byłych republik związkowych; zagraża zwłaszcza najbliższym i naturalnym sojusznikom Polski.

Jest dla Polski sygnałem alarmowym z kilku niebłahych powodów. Oto ważniejsze z nich:

– Polska znalazła się na pierwszym miejscu czarnej listy moskiewskich nacjonal-bolszewików;

– dla zabezpieczenia kraju przed spodziewanymi skutkami zmian w Rosji polska klasa polityczna uczyniła niewiele w zakresie, który zależy od nas samych, licząc jedynie na to, co zależy nie od nas;

– zaostrzyło się niebezpieczeństwo, jakie na Polskę ściągają ci politycy, którzy nie zauważyli rozpadu ZSSR, albo czekają na jego reanimację. Mniejsza, czy kieruje nimi defetyzm, rusofobia, czy też nawyk. Łączy ich jedno: nie widzą za Bugiem innych podmiotów politycznych prócz Rosji, co

zmusza ich do kontynuacji dawnej, zawodnej taktyki.

Postaramy się wykazać pokrótce zasadność tych obaw, sięgając do źródeł – przede wszystkim rosyjskich.

Moskiewska gazeta *Sjegodnia* już 1 lutego 1996 roku zamieściła artykuł świadczący, że nie brak w Rosji ekspertów doskonale wiedzących jak ciężką kulą u nogi był dla Rosji ZSSR i czym grozi zamiar jego rekonstrukcji. Artykuł nosi tytuł znamienity: „Komu w Rosji potrzebne jest imperium?”

Sjegodnia jest dziennikiem poważnym. Wyróżnia się nie tylko nowoczesnym i przejrzystym łaniem, ale też ambicją do separowania przytaczanych faktów od komentarzy. Ma dobrze prowadzony dział zagraniczny. Co prawda od dłuższego już czasu nawet tam pojawiają się bezzasadne ataki na Polskę, sprostowań zaś – jakoś nie widać. Podobne napaści stanowią ostatnio stałą rubrykę większości rosyjskich gazet, przychodzi to na myśl owego jegomościa, co to szukał kluczyka nie tam, gdzie go zgubił, tylko pod latarnią, bo tu jaśniej i bliżej. Niemniej *Sjegodnia* (co po polsku znaczy „Dziś”) tylko pod tym względem upodabnia się do *Zawtra* (co, jak wiadomo, znaczy „Jutro”), organu nacjonal-bolszewików. Autorami szkicu, o którym mowa, są Igor Klamkin i Tatiana Kutkowiec, oboje z nadzwyczaj poważnego FOM (*Fond Obszczestwiennoje Mnienie*), gdzie Klamkin jest szefem biura analiz.

W artykule budzi zaufanie rzetelność przytaczanych danych i nietuzinkowy tok argumentacji. Autorzy przypominają, że rozpad ZSSR nie tylko nastąpił w sposób bezkrwawy, ale też bez protestu rosyjskich mas („...z godnością, właściwą tylko narodom wielkim, naród rosyjski dał prawo innym żyć tak, jak zechcą i potrafią”). Nie bacząc na rozczarowania, jakie przyniosły próby reform – także dzisiaj tylko 20% rosyjskich respondentów ankiet FOM chce restauracji ZSSR, ale jedynie 10% gotowe jest wojować – nawet o przyłączenie do Rosji tych terytoriów sąsiednich republik, które zamieszkuje rosyjska większość. Przekonanie to wspiera nie tylko przykład czeczeńskiej pułapki, ale doświadczenie całej epoki: „Nie mając praktycznie żadnej korzyści ze swojej imperialnej

pozycji i przewagi, naród rosyjski w krytycznej chwili nie przejawiał żadnej chęci przelewania krwi i umierania gwoli zachowania sowieckiego imperium”.

Mimo to, autorzy są przekonani, że w zbliżających się wyborach prezydenckich zwycięży ten, kto głośniejsz opowie się za odbudową ZSSR. Program reanimacji tego tworu jest spoiwem partii, mających już większość w Dumie. Reformatorzy zaś i demokraci błędzą fatalnie, zdaniem obojga autorów: krytykując komunistów Ziuganowa za ich socjalistyczną czkawkę w ekonomii, żyrynowców zaś – za faszyzm i rasizm, podczas gdy główną, wspólną i najgroźniejszą cechą ich programów i propagandy jest ideologia imperialna. Klamkin i Kutkowiec piszą: „Nie wiemy, czy Ziuganow i jego sojusznicy zdają sobie sprawę, że chcą wojny. Ale wiemy, że chcą odbudować sowieckie imperium. Imperia zaś tworzy się i odrwarza w jeden tylko sposób: za cenę krwi!”

Wiadomo skądinąd, że Rosji nie stać na rekonstrukcję imperium, tj. wzięcie na swoje barki długów i kosztów utrzymania suwerennych republik, gdzie nawet nie zaczęto tych reform, na które mogła sobie pozwolić Rosja, gdy rzuciła ręcznik w wyścigu zbrojeń. (Kto ciekaw ścisłych dowodów, niech zajrzy do prac rosyjskich badaczy: Gordona, Fridmana, Batkina, tegoż Klamkina, albo choćby do szkicu niżej podpisanego „Jak pomóc Rosji”, zamieszczonego w *Polityce* z 15.7.95 r. i w 54/55 zeszytach praskiej *Střední Evropa*).

Produkt Krajowy Brutto Rosji równa się dziś 15% PKB Stanów Zjednoczonych. Dlatego tylko 9% respondentów FOM zgadza się na dalszą obniżkę swojej stopy życiowej w zamian za przywrócenie krajowi rangi mocarstwa, tj. wznowienie wyścigu. 56 % nie życzy sobie tego.

Mimo to (a może właśnie dlatego) Klamkin i Kutkowiec przewidują realizację w WNP tzw. scenariusza siłowego.

„Odbudowa ZSSR plus idea rosyjskiej misji, to przecież ideologia ekspansji kosztem tzw. bliskiej zagranicy, to zapowiedź nowej wersji rusyfikacji, której – pomimo wysiłków – nie udało się dokonać poprzednim ‘internacjonalistycznym’ pokoleniom komunistów. Jest to zamiar niezwykle niebezpieczny i kosztowny, a płacić zań trzeba będzie długo...”

Za myśl w tym szkicu najważniejszą i najbardziej owocną

dla naszych wniosków uznać trzeba takie oto zdanie: „W końcu XX wieku poszerzanie terytorium państwa nie oznacza przyrostu bogactwa i znaczenia, co w naszej epoce zależy wyłącznie od wzrostu wydajności w gospodarce, wydajność zaś gospodarcza i rekonstrukcja ZSSR są to cele sprzeczne, wzajemnie się wykluczające”.

Realnym kryterium podziału wśród rosyjskich sił politycznych jest więc ich stosunek do odbudowy ZSSR.

Oto stosowny fragment rozmowy, jaką A.K. Wróblewski przeprowadził z Grigorijem Jawlinskim, szefem stronnictwa „Jabłko” (*Polityka* z 20.3.96 r.):

„— Czy Ziuganow i jego partia mogą rzeczywiście odbudować ZSSR?

— Nie. Ale wystarczy, że spróbują. To też będzie dosyć kosztowne nie tylko dla narodu rosyjskiego, także dla was i dla innych”.

Ziuganow i jego alianci zaklinają się, że – podobnie jak ich partia komunistyczna niczym nie będzie przypominać KPZS, bo od Stalina wrócą do Marksa, a może i do Hegla – tak samo nowy ZSSR będzie zupełnie odmienny od dawnego Związku.

Hegel twierdził, że jest obrazą dla prawdy bronienie jej anegdotami. Trudno jednak przy tej okazji nie wspomnieć starej dykteryjki rodem z weimarskich Niemiec. Robotnik z fabryki wózków dziecięcych spodziewał się powiększenia rodziny. Jął więc wynosić po cichu z fabryki jedną część po drugiej. „Nic z tego” – musiał w końcu powiedzieć połowicy – „co go zmontuję, to mi wychodzi nie wózek, tylko karabin maszynowy”.

Klamkin i Kutkowiec dają do zrozumienia, że ideologia rekonstrukcji ZSSR jest jedynie kielbasą wyborczą. Istotnie, projekty te są dziełem cywilów, albo generałów na emeryturze, jak Ruckoj. Osoby lepiej poinformowane są rozsważniejsze. Znalazły też całkiem solidną odskocznik, by odbić się

od nacjonal-bolszewików, nie tracąc wyborczych szans.

Przeciw uchwale o ekshumacji ZSSR opowiedział się prezydent Jelcyn i wcale nie wiadomo, czy ta Duma nie zakończy żywota, podobnie jak jej poprzedniczka. Wystąpili przeciw uchwale również trzej kandydaci na najwyższy urząd w Federacji: Jawlinski, Fiodorow i Liebień. Zamiast buńczucznych gestów proponują „realną integrację i zbliżenie systemów obrony”. To ich łączy. Dzieli ich poglądy na to, co obejmować ma integracja i przed kim trzeba się bronić. Wyjaśnia to po swojemu generał Aleksander Liebień w artykule, który *Szegodnia* wydrukowało nieco wcześniej, bo 7 lutego. Rzecz doczekała się w polskiej prasie ledwie wzmianki. Artykuł zasługuje zaś na chwilę uwagi. Napisał go człowiek kompetentny i przekonany, że chodzi tylko o konstrukcję wózka dla rosyjskich dzieci.

Artykuł jest raczej podaniem o stanowisko ministra obrony narodowej, niż deklaracją kandydata na prezydenta. Generał wylicza, że są na świecie 73 ogniska możliwych wojen i że większość z nich znajduje się na terytorium byłego ZSSR. Żąda utworzenia lotnego korpusu interwencyjnego dla gaszenia lokalnych konfliktów. Ale tu przytacza długi spis zewnętrznych zagrożeń, pretensji i żądań chciwych ziemio-mocarstw: Łotwy, Litwy („może upomnieć się o pewną miejscowość w okolicy jeziora Višitis”), Estonii, Finlandii, Norwegii, Słowacji, itp. Niemcy, Chiny, Japonia zajmują w tym spisie dalekie miejsca. Na jego czele, zauważmy, stoi Polska:

„W Polsce istnieją siły, które mogą zgłosić terytorialne pretensje wobec części obwodu grodzieńskiego, brzeskiego i mińskiego na Białorusi, oraz obwodu lwowskiego i wołyńskiego na Ukrainie”, co w konsekwencji wywoła konflikt i wciągnie weń Rosję.

Jak widać, autor – po pierwsze – jest przekonany i chce przekonać innych, że cały świat dybie na Rosję, bo przecież bez zdobyczy terytorialnych i wojen nie ma życia i dobrobytu. Po wtóre – apetyty imperialne, ciągoty do zaborów, konfliktów i wojen kwitną wszędzie, byle nie w samej Rosji. Po trzecie – okazuje się, że pojęcie Rosji i jej stanu posiadania generał rozumie nader szeroko. Rzekome pretensje polskie dotyczą przecież terytoriów niepodległych, suwerennych

republik. Darujmy sobie sprawę polskich pretensji do terenów Białorusi w momencie, gdy właśnie z tamtej strony nadeszło żądanie poprowadzenia eksterytorialnego korytarza, mającego zdusić Litwę, korytarza prowadzącego z Grodna do przyczółka kalininградzkiego, czyli największej kolekcji ciężkiej broni zaczepnej na kontynencie. Co zaś do Ukrainy, to generałowi należy się tylko wdzięczność za wskazanie o co właściwie chodzi obrońcom sowieckiego stanu posiadania – i o co powinno chodzić Polakom.

Aleksander Libied' jest nie tylko deputowanym do Dumy z ramienia umiarkowanego Kongresu Wspólnot Rosyjskich. Dowodził do niedawna Czternastą Armią, która zapobiegła ponoć wojnie między Ukrainą a Mołdawią, a realnie biorąc – zapewniła obecność Rosji na tym obszarze.

Pierwszy raz zobaczyłem generała Liebiedia w trakcie jego telewizyjnego starcia z publicystą Karaulowem. Generał ma ze sto kilo suchych mięśni i łeb boksera, który zasłużenie został trenerem. Miliony Rosjan mogły stwierdzić, że dotrzymywał placu odważnemu i docieklivemu dziennikarzowi. Mówił o poczuciu krzywdy i potrzebie obrony tych Rosjan, którzy znaleźli się na terenie niepodległych republik poza granicami swojej etnicznej ojczyzny. Nikt rozsądny, zwłaszcza w Polsce, nie może rosyjskiemu politykowi odmówić prawa do takiej troski. Polscy czytelnicy dowiedzieli się nadto o Libiediu wielu ciekawych rzeczy z rozmowy, jaką Krystyna Kurczab-Redlich przeprowadziła z nim dla *Sztandaru Młodych* natychmiast po dymisji generała. Został nią nagrodzony za surową krytykę czeczeńskiej awantury i nieudolność generała Graczowa.

Ważniejsze od takich gestów jest jednak doświadczenie, które Libied' zdobył jako dowódca liniowy. Wie zatem, że ścisła informacja jest pierwszym warunkiem skutecznych działań. Dowódca, który od swojego zwiadu wymaga wygodnych kłamstw, przegrywa już pierwszą bitwę. Mimo to, generał przytoczył w poczytnej gazecie oczywiste fałsze.

Nie ma dzisiaj w Polsce żadnej „siły politycznej”, która wysuwałaby pretensje, o których generał pisze. Chyba, że

uważa za siły polityczne nie jakieś organizacje, lecz jednostkowe sentymenty. Nikt podobnych baliwernii nie słyszał z ust przedstawicieli partii obecnych w polskim parlamencie, nawet wśród grup, które nie weszły do demokratycznie wybranego Sejmu i Senatu, nie widać jakoś amatorów marszu na Wschód. Tak, żyją jeszcze tysiące dawnych mieszkańców Lwowa czy Wilna, Krzemieńca czy Nowogródka, tęskniące do swoich bliskich, a dla tych bliskich, którzy na starych śmieciach zostali, słusznych praw. To znaczy – takich samych, równych praw obywatelskich dla mniejszości, jakich domaga się dla swoich ziomków generał Liebied'. Ale „siły polityczne” dybiące na całość Ukrainy czy Białorusi, należą w Polsce do świata fantapolityki, podczas gdy do świata całkiem rzeczywistego zaliczane są siły, dążące do oderwania od Ukrainy Krymu, a także Donbasu i przyłączenia ich do Rosji. Deklaracji podobnych sił polskich nie potrafi przytoczyć ani *Sjegdnia* ani *Zawtra*.

Mimo tłącej się wciąż ksenofobii i ataków megalomanii narodowej, Polska nie jest krajem kontuszowych panów z „Tarasa Bulby” i z afiszów Majakowskiego; mowa o afiszach z czasów wojny, podczas której ci panowie popędzili zresztą kota konnej armii Budionnego i Stalina – i za to właśnie poszli do Katynia.

Pewna szczególna przyczyna tego stanu rzeczy warta jest krótkiej dygresji.

I w Rosji, i w Polsce widać rozżew między warstwą, którą nazywano dawniej inteligencją, a maszyną większością, wywodzącą się ze wsi i z miast. Reżym komunistyczny wiele zrobił, aby dać tym ludziom szansę awansu społecznego i podkształcił dość wielu; tego wymagał nowy przemysł, wojsko i aparat władzy. Sporo zrobił też, aby odciąć tych nowych techników, urzędników, oficerów, śledczych i naczelników od inteligenckiej tradycji, bo ta wspierała się cała na prawie jednostki do własnych poglądów i sądów. Zabieg z grubsza się udał, ale w Polsce miał skutki odmienne niż w ZSSR.

Gromada, która zalała wielkie miasta i wodzi rej na

polskiej prowincji, złożona przeważnie z młodzieży, nie chce pamiętać o dawnych legendach, surmach, klęskach, posiadłościach, a nawet rocznicach. Rewanże i wiktorie za Bugiem są ostatnią rzeczą, o której marzy mechanik z Mławy i student z Gorzowa. Jeżdżą na rozdobędę na Zachód – do Berlina, Wiednia, Amsterdamu. Jeżeli do Lwowa – to nie na wojenne zwiady i nawet nie na cmentarz Łyczakowski, tylko na ten plac, gdzie można opylić samochód. Trzecie już pokolenie Polaków rodzi się we Wrocławiu, dokąd niegdyś ze Lwowa przyjechali ich dziadkowie, pomnik Fredry i kawałek Ossolineum. Ci nowi, obojętni są na dawne straty i wczorajsze podziały. Głosowali na Kwaśniewskiego, ale sześć lat wcześniej wycieli w głosowaniu dawną jego drużynę. Te dwa wypadki łączy i tłumaczy także przypadłość, której ci nowi nabawili się od inteligencji: skłonność do protestu i niechęć do jawnej głupoty. W tych samych wyborach prezydenckich w Polsce jedyny kandydat, który otwarcie głosił hasła szowinistyczne i rasistowskie, zebrał w całym kraju 7.000 (siedem tysięcy) głosów. Do tej samej kategorii fenomenów należy namiętny pociąg, jaki poczuł przedstawiciel skrajnej nacjonalistycznej polskiej prawicy do uścisków właśnie z W. Żyrynowskim. Zaprosili go do Polski i oddali się tu fraternizacji, zamiast studiować wspólnie biografię majora Pierechwat-Zalichwatskiego, który (jak pisze Sałtykow-Szczedrin) „wjechał do miasta Głupowa na białym koniu, spalił gimnazjum i skasował wszelkie nauki”. Czy informator generała Liebiedia doniósł mu, że gest ten był gwoździem do trumny tej „siły politycznej”?

Niewrażliwość tzw. szerokich mas na mocarstwową mitologię może nawet drażnić co starszych patriotów. Świadczą jednak, że w Polsce już się szerzy zgoła europejskie podejście do sprawy potęgi i pomyślności kraju, mało kto przysięgnie, że to zależy od ilości zdobytych w boju hektarów.

Z kolei polska inteligencja nie została dobita i nawet ma widoki. Jakby brak było innych przykładów, ostatnie pięciolecie dowiodło, że nieczytanie książek nie jest tytułem do rządzenia. Otóż wśród tej warstwy nieznacznie, lecz solidnie utwierdziła się doktryna, która z początku miała przeciw sobie całą niemal opinię polską i w kraju, i na emigracji. Mowa, rzecz jasna, o kierunku polityki wschodniej,

wytyczonym przez Giedroycia i Mieroszewskiego. Punktem wyjścia było dla nich uznanie Ukrainy, Litwy i Białorusi za naturalnych, równoprawnych i najważniejszych sojuszników Polski. Wymóg rezygnacji z wszelkich pretensji do Lwowa, Wilna, czy Grodna był z tej przesłanki naturalnym wnioskiem, który z czasem przeniknął głęboko do świadomości myślących Polaków. Uznanie tej tezy za konieczną i w końcu oczywistą jest jednym z ważniejszych dowodów realnego wpływu i skuteczności działań *Kultury*, tyle, że jest to uznanie bierne, które polityków nie skłoniło dotąd do konsekwentnych działań.

Dla odparcia podejrzeń generała Liebiedia już to jednak powinno wystarczyć.

Jak się zdaje tedy, zarzut generała nie był owocem ignorancji, ale należy do gatunku dezinformacji. I porzucmy wymówki, że stosowanie tej broni nie przystoi liniowemu dowódcy. Generał Liebied' uciekał się do dezinformacji nader inteligentnie. Za cel obrał sobie bowiem sprawę centralną, decydującą dla Polski, bardzo ważną dla jej przyszłych stosunków z Rosją. Nie chodzi o rzekome pretensje terytorialne Polski do Białorusi, czy Ukrainy. Chodzi o to, czy Polska ma graniczyć z niepodległymi republikami, czy też, po dawnemu, ze Związkiem Sowieckim. I mniejsza, czy będzie tak się nazywał, czy inaczej.

Generał Liebied', jak dotąd, ma wśród kandydatów nie najwyższe notowania. Ale tylko on jeden dowiódł, że wie, gdzie raki zimują i wie, o co prosić złotą rybkę: żeby Polska nigdy nie porozumiała się z Ukrainą.

Oto sedno sprawy.

Liebied' nie traci wiele czasu na uprzykrzoną już kwestię przystąpienia Polski do NATO. Wie co robi: sądzi, że mało jest ważne czy Polska wejdzie do Sojuszu północno-atlantycznego dopiero gdy będzie rozcieńczony rosyjskim czajem, czy też wtedy, gdy Amerykanie zrozumieją, czym grozi całemu Zachodowi możliwy sukces nacjonal-bolszewików. Przypuszcza zapewne, że w obu wypadkach minie dość czasu, by Ukrainę zhołdować, albo podzielić.

Bijąc w ten punkt, generał dotknął rany pokrytej zakrzepłą niedawno krwią. Ale zarazem przypomniał nam, jak wiele zależy od zabliznienia się tych ran i jaką siłę dzięki temu zyskać może i Ukraina, i Polska.

Tym, co dzieli dzisiaj te dwa kraje, jest jedynie przeszłość. Chodzi o zaszłości nad wyraz bolesne dla tych, którzy je przeżywali, ale są to właśnie tylko zaszłości.

Generał Liebieg wytyczne nowych kampanii rysuje na starych mapach sztabowych.

Polityk musi znać sztukę zapominania o wczorajszych nienawiściach i sojuszach. Zнали tę sztukę Robert Schuman i Ludwig Erhard, Adenauer i de Gaulle. Bez nich Francja i Niemcy dalej żartowałyby się o Alzację. I szukały osobnych aliansów ze Stalinem.

Wojna Północy z Południem nie podzieliła Stanów. Samych Jankesów padło w niej więcej, niż liczyła Wielka Armia Napoleona w 1812 roku. Było ich 380 tysięcy. Południowców zginęło 285 tysięcy na polu bitwy, dwakroć więcej z głodu i zniszczeń. Rozkaz generała Granta przewidywał, by w pochodzie na Południe żołnierz federalny zostawiał za sobą zgłiszczoną, gdziekolwiek dojdzie. „Niech Południowiec walcząc w Wirginii wie, że spalono mu dom i zagłodzono dzieci w Georgii”.

Ale nie ta krew okazała się lepszemu sojuszu, lecz słowa zwycięskiego Lincolna: „Zemstą nie osiąga się nic, wspaniałością wszystko”.

Minione okrucieństwa, dziejowe krzywdy i dawne pretensje zostawić warto historykom, mówić zaś tylko o tym, na co jeszcze możemy mieć wpływ.

Bohdan Skaradziński napisał niedawno (*Eurazja*, nr 1, 1995):

„Na dobrą sprawę nie mamy w sąsiedztwie, z wyjątkiem Ukrainy, poważnego partnera, który mógłby, choćby w dalekiej przyszłości, stać się dla nas oparciem. Myślę o relacjach na wzór współpracy norwesko-szwedzkiej. Norwegów i Szwedów też w przeszłości dzieliła przepaść. A teraz żyją jak zgodne małżeństwo. Wygadują o sobie nawzajem straszne

rzeczy, ale słowa nie hamują współpracy. We wszystkich sprawach dotyczących Półwyspu Skandynawskiego działają ramię w ramię. Właśnie w ten sposób wyobrażam sobie przyszłość polsko-ukraińską”.

Okazało się, że daleką przyszłość trzeba koniecznie przybliżyć. Porozumienie i współpraca Polski z Ukrainą zależy nie od sił trzecich, lecz tylko od politycznego rozsądku obu partnerów. Ukraina poczuła się zagrożona planami nacjonal-bolszewików. Jej prezydent, Leonid Kuczma ostro sprzeciwił się nowej uchwale moskiewskiej Dumy, ale jeszcze przed wieloma miesiącami oświadczył, że „nie po to został prezydentem Ukrainy, nie po to przebył tę ciernistą drogę, by stać się wasalem Rosji”. Zwykle opieszala dyplomacja USA z punktu doceniła znaczenie problemu. Clinton nie tylko powiedział Kuczmi w Waszyngtonie, że „Stany Zjednoczone zdecydowanie popierają suwerenną i kwitnącą Ukrainę”, ale dał ciepłą ręką 1,2 miliarda dolarów. Kraj z wolna dźwiga się z zapaści: w ubiegłym roku pierwszy raz od wielu lat 500.000 ton ziarna mogła Ukraina przeznaczyć na eksport. Mimo to, naciskana przez Moskwę, zależna od dostaw Gazpromu, podminowana przez separatystów rosyjskiej orientacji, ma potrzebę pocucia łokcia i politycznego poparcia ze strony polskiego sąsiada.

Likwidacja ciężkich wspomnień o tym trudnym sąsiedztwie jest kwestią czasu, ale nie dość czekać, aż wymrą ludzie, którzy dotąd dźwigają to brzemie. O całej reszcie muszą pomyśleć szkoły, telewizje, a zwłaszcza kościoły. Inicjatywa z polskiej strony jest więcej niż pożądana. Dość przypomnieć, że nic, poza gestem, polski sejm nie zrobił, aby dać Ukraińcom zadośćuczynienie za zbiorowe deportacje, tj. za powojenną akcję „Wisła”. Działa ponad sześćset przedsiębiorstw polskich na Ukrainie, ale czy choć jedno z nich zaangażowane jest w rozbudowę terminalu naftowego w ukraińskim porcie Jużnyj? Mowa o alternatywnym trakcie dla transportu ropy i paliw z całego Bliskiego Wschodu, życiowo ważnym i dla Ukrainy, i dla Polski, a poprzez Polskę – dla sporego obszaru Europy. Ale najważniejsze – jak powiada Skaradziński – jest przełamywanie nienawiści i niechęci na co dzień. Niewiele tu się robi. I polski publicysta, i Ukrainiec – Bohdan Osadczuk, przypominają, że dotąd nie zdobyła się

Polska na wyczekiwane otwarcie instytutu polskiego w Kijowie czy Lwowie. Marudzi komisja mieszana dla reformy podręczników szkolnych do nauki historii, polskich i ukraińskich, a przecież ta sama rzecz udała się z Niemcami; chyba trudniejsze to było.

Saint Exupéry powiadał, że – jeśli z danej sytuacji nie widać wyjścia, wystarczy wprowadzić do niej nowy element, a wyjście znajdzie się samo. W sytuacji zawieszenia i oczekiwań na cudze decyzje, wobec niedostatku gwarancji i narastania zagrożeń, takim nowym elementem jest dla Polski Ukraina, a dla Ukrainy zaś – Polska. Współdziałanie jest warunkiem ich niepodległości. Warunkiem, nie zaś gwarancją, owszem. Tylko tyle i aż tyle.

Cokolwiek się powie o przeszkodach, trudnościach i ryzyku, które z taką koncepcją się wiąże, jedno jest pewne: bez tego elementu sytuacja obu krajów staje się o wiele bardziej ryzykowna.

Ktoś tam obiecywał podobno Polsce cofnięcie rosyjskiego weta w sprawie NATO w zamian za zostawienie Ukrainy na łasce Rosji. Oznacza to tylko, że Polska stałaby się krajem frontowym, graniczącym z ZSSR na całej długości wschodniej ściany. 24 marca br., ledwie ogłoszono zamiar połączenia Rosji z Białorusią, jeszcze w formie konfederacji, profesor Karaganow, naczelny ekspert rządu moskiewskiego, oznajmił, że ma to „wielkie znaczenie strategiczne, bo daje Rosji pozycje wyjściowe na Zachód”. Co powie, gdy sławetny wózek stanie na ukraińskich kołach?

Wszystkie korzyści, akty sprawiedliwości, wysiłki gwoździ pojednania, muszą być stale obecne na wspólnym, ukraińskim i polskim polu działania. Ale na planie pierwszym trzeba widzieć kwestię główną, która stała się nagle bardzo pilna: zachowanie przez Ukrainę suwerenności.

Wchłonięcie Ukrainy przez Rosję jest niezbędne dla rekonstrukcji imperium i tylko ono umożliwia inne zabory.

Likwidacja niepodległości Ukrainy – jak ostrzegał Mieroszewski – zapewnia z kolei Polsce los i status satelity.

Niepodległość Ukrainy jest warunkiem (koniecznym, acz

niewystarczającym) przemiany Rosji w kraj demokratyczny, a przynajmniej skłonny do pokojowego współżycia z sąsiadami.

Polska miała i potrzebę, i możliwość dodatniego wpływu na tę sytuację. Zdawało się już, że szansę tę przegapiła przez inercję i wahania. Nieopatrzna uchwała Dumy rąbek tej szansy znowu nam daje. Nie ma co straszyć Ukraińców zmyślonymi polskimi pretensjami, podczas gdy Ziuganow – owszem, dobrotliwie uśmiechnięty – przyjeżdża do Kijowa jak po swoje.

Czas teraz przyznać, że pomysł powrotu Lwowa w granice Polski był lansowany, a jakże. Propozycję tę wysuwała jednak strona rosyjska. Generał Liebieg mógłby wiedzieć o tym. Ostatnio ofiarował Polsce ten prezent Żyrynowski, grożąc – dla równowagi – nowym rozbiorem Polski między Rosję a Niemcy.

Edward Prus, wykładowca Akademii Ekonomicznej w Katowicach, zapewnia starych kresowiaków (p. *Gazeta Wyborcza* z 20.3.96 r.), że Gorbaczow chciał już Polsce podarować Lwów, ale odstąpił od zamiaru bo błagali go... Polacy, przywódcy ówczesnej Unii Demokratycznej. Fakt błagań miał potwierdzić gen. Jaruzelski. Generał zaprzecza stanowczo.

Gdyby cień prawdy był w tych rewelacjach, oznaczałby jedynie, że są w Polsce nie tylko pospolitycy, lecz ludzie przytomni. Potrafili odrzucić zatrute dary. Rozumieli, że chodzi o poróżnienie Polski z Ukrainą, co gwarantuje imperium władzę nad obu krajami. Postąpili w myśl zasady, która mogłaby się stać bardzo prostą, ale poręczną formułą polskiej polityki wschodniej: jak najlepsze stosunki z Rosją są konieczne – byle nie kosztem niepodległości i życiowych interesów naszych wspólnych sąsiadów.

Ale trudno uwierzyć w podobne rewelacje, już dlatego, że ta zasada rzadko była przestrzegana, zwłaszcza w stosunku do Ukrainy. Za szczególną zasługę uważa się u nas, że to Polska – notą swego ministra spraw zagranicznych – pierwsza uznała niepodległość Ukrainy. Przypomnijmy, że tego samego grudniowego dnia 1991 roku prezydent Rzeczypospolitej oznajmił, iż granice ZSSR pozostają nienaruszalne.

Nie znalazło się choćby słowo o Ukrainie i znaczeniu polskich z nią porozumień ani w pierwszych wypowiedziach

na temat polityki wschodniej nowego prezydenta Rzeczypospolitej, ani nowego ministra spraw zagranicznych. Nie mniej dziwi, że nie ma mowy o tej kwestii (podobnie jak o sprawie suwalskiego korytarza) w obszernym wywiadzie Andrzeja Drawicza (*Gazeta Wyborcza* z 9/10.3.96 r.), urlopowanego doradcy koalicyjnego premiera. Napomyka on, co prawda, o Ukrainie mimochodem, ale w zastanawiającym sensie: bardzo żałując, że „nie ma społecznego konsensusu co do uprzywilejowanego partnerstwa Polski z Rosją”, przypomina, że „nie było konsensusu co do polityki marszałka Piłsudskiego w 1920 roku, dotyczącej Ukrainy i Białorusi”.

Żadnych zastrzeżeń nie budziłyby owa zwięzła i szczerza formuła „uprzywilejowanego partnerstwa” Polski z Rosją gdyby towarzyszyła jej klauzula uwzględniająca samo już istnienie i prawo do niepodległości narodów, między Polską a Rosją żyjących.

Nie zauroczenie Rosją mam Drawiczowi za złe; podziwiam go za nie – a też za nienaganne przekłady, szkice, badania, książki, których bez tego zauroczenia nie napisałby. Podzielam jego politowanie dla tych, co w każdym Rosjaninie widzą wroga, co rugują lekcje rosyjskiego ze szkół, co profanują mogiły biednych rosyjskich chłopców, którzy przyszedli tu przecież nie po to, aby zakładać łagry, tylko żeby wyprzeć najeźdźców – i od ich kuli zginęli. Nie chcę też przypinać Drawiczowi żadnej łatki, ani kojarzyć jego własnych poglądów z żadną obcą mu ideologią; należy do tych, którym niczego nie trzeba było podpowiadać. Obawiam się natomiast, że za Bugiem widzi teraz tylko Rosję, jedynie Rosję i sądzi, że nie można Rosji sprzyjać inaczej, jak kosztem wspólnych sąsiadów. Nie wykluczam, że związek Rosji z taką Ukrainą Drawicz uważa za więź rodzinną, za małżeństwo, do którego spraw lepiej się nie wtrącać. Tymczasem nie o małżeństwo tu chodzi, lecz o gwałt. Tak twierdzą nie tylko Ukraińcy, lecz także rosyjscy demokraci, dawni i nowi dysydenci, starzy przyjaciele Drawicza. Kto uznaje prawo Rosji do dominacji i gwałtu, ten akceptuje z góry odbudowę ZSSR. Otóż Polska nie ma sprzecznych interesów z Rosją – ma i miała je za to ze Związkiem Sowieckim. I rad bym wiedzieć, czy Drawicz to rozumie i jakie wnioski stąd wyciąga. Toć napisał niegdyś, iż właśnie

Kulturze zawdzięcza początki wiedzy o tym, że sowiecki to nie to samo co rosyjski, ukraiński czy białoruski. Czy skończyło się na początkach?

Co do „polityki Marszałka Piłsudskiego w 1920, dotyczącej Ukrainy i Białorusi” to jej ruinę spowodował nie żaden bezosobowy brak konsensusu, lecz konkretna, wytrwała i gwałtowna kontrakcja Narodowej Demokracji. Kontrowersja dotyczyła głównie Ukrainy. W stosunku do Litwy i Białorusi taktyka Piłsudskiego była zmienna i wcale nie prostolinijna. Chciał natomiast Ukrainy niepodległej i traktat z Petlurą z 21 kwietnia 1920 roku nie miał być świstkiem papieru. Nie żywili co do tego wątpliwości endecy. Stroński (*Rzeczpospolita* z 20.7.1920) pisał z wyrzutem, że „Kijów... posłaliśmy zdobywać dla Ukraińców”. Dmowski jeszcze w marcu 1917 złożył Balfourowi memoriał o wyłącznym polskim prawie do Galicji Wschodniej. Później, w Paryżu, torpedował skutecznie rokowania, a nawet próby rozejmu między walczącymi oddziałami polskimi i ukraińskimi. O fatalny rok odsunęło to możliwe porozumienie, podcięło nogi republice Petlury i otwarło konnej armii Budionnego prostą drogę od Kubania do Zamościa. Wojnę Polska wygrała, przegrała ją – sojusznica już – Ukraina. Przeciwnicy Piłsudskiego woleli raczej podzielić się z Rosją ziemiami i ludnością Ukrainy i Białorusi, niż uznać prawo ich narodów do samodzielnego bytu. W rezultacie obdarzyli Polskę granicą z ZSSR, uciskanymi mniejszościami i nienawiścią zawiedzionych. Nie zapobiegło to najazdowi dwadzieścia lat później.

Nie była to polityka bez zasad. Mieroszewski opisał je najcelniej: „Endecy... uważają, że nie istnieje żaden związek przyczynowy pomiędzy polską polityką wschodnią a wyzwoleniem Ukrainy, Białorusi czy Litwy. Według tezy endeckiej Polacy stanowią po Rosjanach największy słowiański naród państwowy i powinni ułożyć swe stosunki z Moskwą na bazie bilateralnej. Oczywiście pragnąc rozmów i układów na bazie bilateralnej nie można popierać ruchów wyzwoleniczych”.

Dodał jeszcze coś w rodzaju westchnienia: „Boję się nad tym, że jeszcze są wśród nas politycy gotowi do rozmów z

imperialistyczną Moskwą ponad głowami i kosztem pobratymczych narodów”.

Ta gotowość do liczenia się jedynie z Moskwą była skazą dziedziczną polskiej prawicy. Znanym zbiegiem okoliczności skaza zaszczipiona została partii i weszła do jej kodu genetycznego. Skład zasad socjalizmu po drodze się zmienił: skład stał się lamusem, a zasady sprowadziły się do jednej – posłuszeństwa ostatniej dyrektywie Centrali. Skutkiem tego w Polsce, rządzonej przez legalnych spodkobierców tej formacji, nie trzeba obawiać się powrotu kolektywizacji, ani Trzeciej Zasady dialektyki. Wolno obawiać się za to kontynuacji stanu zależności od Centrali, od Imperium. Szczególnie teraz, gdy w Moskwie zabierają się do jego ekshumacji.

O co w istocie chodzi, klaruje wyczerpująco Sławomir Mrozek:

– Tato, czy jesteś szpiegiem obcego mocarstwa?

– Dlaczego od razu obcego?

Bohater tego dialogu nie musi wcale być agentem ani zdrajcą: podobne oskarżenia wydają mi się albo dęte, albo marginalne wobec istoty rzeczy. Chętnie się zgodzę, że w takich sprawach chodzi przeważnie nie o współników imperialnych terrorystów, tylko o ich zakładników. Szkoda tylko, że u zakładników często pojawia się tzw. syndrom sztokholmski: niektórzy z nich stają po stronie porywaczy, solidaryzując się z nimi, mniejsza czy robią to ze strachu, z sympatii, z rozpędu, z przyzwyczajenia, czy na wszelki wypadek.

Polska była swego rodzaju zakładniczką w murach Obozu. Jeżeli wtedy uzależnienie jej było wynikiem materialnej obecności ZSSR w naszym kraju, to dziś Polska jest i będzie niezależna o tyle, o ile polscy politycy sami tego zechcą. Mają szansę, bez względu na genetykę i stosunek do wewnętrznych problemów. Czy ino zechcą chcieć?



Czy to ma znaczyć, że nie można być stronnikiem ZSSR (dawnego, albo przyszłego) z wolnej, nieprzymuszonej woli, z przekonania, z patriotyzmu, z rozsądnego wyboru? Można, rzecz jasna. Tyle, że taki wybór nie wydaje się rozsądny. I nie dlatego, że przeszłość wymownie go odradza.

Stanąc po stronie Rosji wolnej i szanującej wolność sąsiadów byłoby dla Polski wyborem i naturalnym, i korzystnym.

Stanąc po stronie Rosji imperialnej, to wybór iście samobójczy. Jeszcze raz przytoczmy tu Mieroszewskiego: „Jest bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że imperialistyczna Rosja zgodzi się na jakiekolwiek negocjacje, które miałyby na celu zabezpieczyć nas przed imperializmem rosyjskim”. Ale nie ma mowy nawet o doraźnych korzyściach – bo koszty odbudowy imperium i całego systemu przemocy pochłoną rezerwy, kredyty i zasoby daleko przekraczające niegdysiejszy majątek b. RWPG. Korzyści dalekosiejęne zależą zaś od bagatelki: od wygrania przez nowy ZSSR nowej wojny. Choćby wszystkie pienia o pokojowych zamiarach i chęciach zostały teraz powtórzone zgodnym chórem przez czerwonych, brunatnych i czarnych nacjonal-bolszewików, nie zmienia to praw logiki. Klamkin i Kutkowiec mówią jasno: „I komunizm i faszyzm mogą w Rosji przybierać jeden tylko kształt: imperialny”.

Od zwolenników reanimacji ZSSR Polska nie ma czego oczekiwać, ani szczerzej przyjaźni, ani łask, ani szacunku, ani nawet zyskownych transakcji. Widzą ją tylko w dwóch rolach – jako wroga, albo jako ofiarę. Nie są to wszelako jedyne siły polityczne w Rosji i póki co nie mogą działać bez oporu. Toć prą do konfliktu z nie-rosyjskimi prowincjami i republikami, przykład Ukrainy wiele mówi.

Zachowanie przez Polskę niepodległości zależy zatem od spełnienia również takich warunków:

– od utrzymania przez Ukrainę własnej państwowości;

– od zapewnienia ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej mniejszości potrzebnych zadośćuczynień i rzeczywiście równych praw; podobnie ważne jest okazanie poparcia sprawie białoruskiej niepodległości;

– od szerzenia się w Rosji przekonania, że imperium było dla niej ciężarem i gwarancją zgubnej wojny;

– od powszechnego zrozumienia, że dla Polski sprawą gardłową jest by czynić wszystko co można, aby pierwsze trzy warunki się spełniły...

Nie są to twierdzenia sprzeczne. Bez pomocy samych Rosjan nie uda się zapobiec rekonstrukcji jurajskiego potwora po jego zamierzonej ekshumacji.

Piszący te słowa ma właśnie w ręku szczotki nowej, poszerzonej edycji polskiej „Archipelagu Gufag” Aleksandra Sołżenicyna. W przedmowie autorskiej przytoczona jest notatka z czasopisma Akademii Nauk ZSSR o znalezieniu przy robotach ziemnych na Kołymie cielska jakiegoś kopalnego stwora, wrosłego w przedwieczną zmarzlinę: „Ryby te, czy może płazy, zachowały się tak dobrze, wydawały się tak świeże – informował uczony korespondent – że obecni przy tym rozbiciu lodu zjedli je zaraz z OCHOTĄ... Tylko niewielu mogło wniknąć w iście epicki sens ryzykownej notatki. Myśmy zrozumieli od razu. Cała scena zarysowała się nam ostro, do najdrobniejszych szczegółów: jak owi obecni z pośpieszną zawziętością rąbali lód, jak mając za nic szlachetne cele ichtiologii i roztrącając się łokciami, wyrwali sobie wzajem kęsy tysiącletniego ścierwa, wlekli je do ogniska, aby tam odtajało i aby można było się nim nasycić.

Zrozumieliśmy to od razu ponieważ sami należeliśmy do tych OBECNYCH, do tego jedyne w świecie, niezliczonego plemienia zeków, które samo jedno tylko było zdolne zjeść z ochotą płaza”.

Ci, co odwołali w moskiewskiej Dumie uchwałę o rozwiązaniu ZSSR, bolszewicy i nacjonałści, też nie chcą uszanować szczątków jurajskiego imperium. Zabierają się do jego galwanizacji. Nie jest pewne, czy im się to uda. Pewne jest za to, że zmuszą zagrożony tym świat, aby obrócił się przeciw Rosji. I że tym razem nawet głodni się nie pożywią.

30 III 1996

Jerzy POMIANOWSKI

Ostpreussenland

Rzecz dzieje się na łące pod Kaliningradem. Orkiestra dęta w tyrolskich strojach ludowych – kapelusiki, krótkie spodniki, białe podkolanówki – intonuje marsza. Zziębnięci grajkowie, wśród nich poseł do parlamentu w Południowym Tyrolu, sprawiają w tej pustej przestrzeni wrażenie zagubionych. Publiczność – grupa turystów z Niemiec oraz mieszkańcy okolicznej wioski, Rosjanie, nagradzają ich jednak ochoczymi brawami. Pewnie też chcą się rozgrzać. „Nasi goście z Tyrolu – wyjaśnia mówca z Niemiec – są zmęczeni. Mają za sobą wyczerpującą podróż. Południowy Tyrol leży bowiem obecnie, jeśli ktoś nie wie, we Włoszech... *zur Zeit in Italien*”.

Potem dochodzi do sporu. Mówca chce przystąpić do składania kamienia węgielnego pod przyszłą szkołę, okazuje się jednak, że najpierw zaplanowano odsłonięcie tablicy upamiętniającej. Słychać pojedyncze oklaski. Dwóch mężczyzn w długich prochowcach szarpie się z linką, na której umocowano zasłonę. Zaczyna się *slapstick*. Orkiestra gra tusz, wszystkie twarze zwrócone są w stronę tablicy, ale zasłona się nie odsłania. O coś się zaczepiła. Zamiast opaść, nadyma się i unosi na wietrze ukazując kilka rzędów napisu w języku rosyjskim. Widać też trochę napisu niemieckiego. Kolejny tusz orkiestry oraz kolejne coraz bardziej nerwowe pociągnięcia za sznurek pozostają bez rezultatu. Zdezorientowani goście ponownie biją brawo, ale zasłona się nie poddaje.

Powyższy epizod mógłby stać się ozdobą niejednej komedii filmowej. Budzi skojarzenia z klasyką kina nie-

mieckiego – z „Poddanym” Wolfganga Staudtego (odsłonięcie pomnika cesarza), czy też z „Błaszany bębenkiem” Schlöndorffa (nieudana parada oddziałów SA). W zaplanowany przebieg celebry wkradają się destrukcyjne siły chaosu. Nadęte pozy zostają bezlitośnie wyszydzone.

Z tym, że scena ta nie wyszła spod pióra urągliwego scenarzysty, ani nie została odegrana przez aktorów. Jest nakręconym na żywo, dokumentalnym zapisem uroczystości, która odbyła się naprawdę. Można ją obejrzeć w najnowszym filmie Andreasa Voigta *Ostpreussenland* („Kraina Prus Wschodnich”).

Voigt uchodzi za jednego z najlepiej zapowiadających się dokumentalistów niemieckich młodego pokolenia. Jego filmy dwukrotnie otrzymywały Grand Prix Festiwalu w Strasburgu. W Polsce są jednak jak do tej pory nieznane. Jest to paradoks, albowiem *Grenzland – eine Reise* („Podróż po pograniczu”), podobnie jak i *Ostpreussenland*, opowiadają *de facto* dużo o Polsce i Polakach.

Bezpośrednio po groteskowej, niemal gombrowiczowskiej scenie odsłonięcia tablicy, na ekranie pojawia się jeden z niemieckich turystów, czy też sponsorów. Pogodna twarz pod czapką z daszkiem. Błękitne, nadbałtyckie niebo, w tle cegły z rozbiórki. Można się domyślić, że cegły przeznaczone są na budowę osiedla dla niemieckich przesiedleńców z Kazachstanu. Sponsor uskarża się na Rosjan, którzy kradną cegły na handel. „No, niech pan spojrzy – mówi – jakie przyzwoite cegły. Jak dobrze wypalone. Tylko Niemcy potrafią robić takie cegły. Wytrzymają pięćset lat”.

W jego głosie pobrzmiewa nuta żalu. To nieprawda, że my Niemcy – mówi – jesteśmy wrogo nastawieni do obcych. W *Hitlerjugend* śpiewaliśmy piosenkę: *in einem Polenstädtchen, / da wohnte einst ein Mädchen. / Das war so schön. Das war das alleschönste Kind, / das man in Polen find*. Tę piosenkę śpiewało SS. A więc to, co teraz opowiadają o nas, o naszej nienawiści rasowej i o ksenofobii, to przecież w ogóle nie miało miejsca.

Na ostrożne pytanie zza kamery, czy mógłby zaśpiewać piosenkę – a jak nie, to może jakąś inną – człowiek w czapce milknie. Na jego twarzy malują się sprzeczne uczucia. Widać, że chętnie by zaśpiewał, ale wietrzy pułapkę. Zmienia temat.

Podkreśla, że Niemcy nigdy nie byli źle nastawieni do Polaków. „To dlaczego napadli na Polskę?” „Kiedy?” „W 39”. „W 39? Ależ niech pan nie wierzy w tę bajeczkę”.

Zasłona, która się zaczęła o tablicę, wreszcie opada. „Napaść można na kogoś – wyjaśnia turysta z Niemiec – kto jest nie przygotowany. A tymczasem to Polacy parli do wojny. Mieli angielskie gwarancje. Anglicy obiecali im pomoc, nawet gdyby zaatakowali jako pierwsi. Rozpierała ich siła. Są na to dowody. W 1939 w Polsce drukowano pocztówki, na których polscy generałowie odbierają paradę pod Bramą Brandenburską. Niech pan zajrzy do poważnych opracowań historycznych. My najmniej życzyliśmy sobie wojny”.

„Ale teraz – dodaje – to i tak nie ma większego znaczenia. Musimy patrzeć w przyszłość. Sam Żyrynowski powiedział, że granica na Odrze i Nysie nie jest żadnym ostatecznym wyrokiem historii. Żadnym symbolem wiecznej sprawiedliwości. Śląsk był 800 lat niemiecki. Całkowicie niemiecki. Tak samo Prusy Wschodnie i Pomorze. To wszystko da się przecież odrobić. Rekultywować. Można przecież przekonać Polaków, że bez nas do niczego nie dojdą. Wielu już teraz jest przekonanych. Dużo Polaków życzy sobie niemieckiego zarządu”.

Voigt jest typem dokumentalisty, który prowokuje dyskusję niekoniecznie doprowadzając ją do końca. Zadaje pytania i czeka cierpliwie na odpowiedź. Jest szczodry, nie gorączkuje się. Nie wszczyna walki o swoją kropkę nad i, i pewnie dlatego jego rozmówcy tak często otwierają się. Nierzadko wpadają w galop. Mówią rzeczy, których pewnie w innych okolicznościach nigdy by nie powiedzieli i Voigt umie to wykorzystać. Przyszpila ich i ze spokojem kolekcjonera umieszcza w swoich zbiorach egzotycznych owadów wiedząc, że ostatnie słowo i tak należeć będzie do widza.

Nic dziwnego, że *Ostpreussenland* wzbudził po części nerwowe reakcje niemieckiej krytyki filmowej. Jak gdyby każdy chciał postawić brakującą kropkę nad i. Obok pochwał i autentycznego entuzjazmu premierze filmu towarzyszyło także donośne zgrzytanie zębami. Berliński *Tagesspiegel* oskarżył wręcz Voigta „o folgowanie swojemu filmowemu hobby”, jakim jest „szlifowanie portretu brzydkiego Niemca”. Recenzent *Frankfurter Allgemeine Zeitung* uznał natomiast

Ostpreussenland za rozprawę z wymagowanymi cieniami niemieckiego ekspansjonizmu na Wschodzie, czego symbolem ma być rzekomo (?) pokazywana na początku i na końcu filmu kolumna zwycięstwa w Berlinie.

Trudno chyba o bardziej niepoważne zarzuty. Voigt posiada rzadką umiejętność trafiania w czułe struny, czego dowodem choćby poirytowane reakcje recenzentów. Nie oznacza to jednak, że jest typem demaskatora, czy też ideologa, który stara się czegoś dowieść. Voigt po prostu pokazuje. Powodowany ciekawością kieruje swoją kamerą na Rosjan, Niemców i Polaków, i pokazuje ich widzowi ufając, że widz chce się dowiedzieć czegoś więcej. Jego filmy przemieniają się w ten sposób w ucztę dla tych, którzy podobnie jak on na serio traktują proces poznania drugiego człowieka. W odróżnieniu od z góry zaprogramowanej (i w gruncie rzeczy potwornie nudnej) płycizny dziennikarstwa telewizyjnego, jego filmy są spotkaniami z ludźmi, których twarze zapadają w pamięć jak twarze ludzi, których poznaje się naprawdę.

Disc-jockey z kaliningradzkiej dyskoteki przyjmuje niemiecką ekipę filmową w swojej eleganckiej kawalerce. Wykładzina dywanowa, meble na wysokim połysku, kolorowy telewizor z zachodnimi reklamami. Aleksiej jest swobodny, niemal nonszalancki. Z kieliszkiem szampana półleży na podłodze i filozofuje o życiu. W szafie wisi jeszcze jego mundur oficera. W 1986 kaliningradzki *disc-jockey* ukończył oficerską szkołę polityczną w Rydze, ale te czasy należą już do przeszłości. Nie, nie ma nic przeciwko temu, żeby go sfilmować w mundurze politruka. Z uśmiechem naciąga na siebie nieco już przyciasną galową marynarkę i oficerską czapkę. „Teraz jestem kosmopolitą” wyjaśnia w niezłej angielszczyźnie. „Kosmopolita?” „Ależ oczywiście. W Rosji urodziłem się przypadkiem. Moją prawdziwą ojczyzną są *Levi-Strausy*, *Coca-Cola* i *Rock-and-Roll*”.

Filmy Andreasa Voigta są dalekie od jednoznaczności. Prawda o ludziach, którzy (co wcale nie jest takie oczywiste) bardzo dużo opowiadają o sobie, leży jak gdyby poza nimi, w pustym obszarze pomiędzy ekranem a widownią, w wiedzy, która nie jest z gatunku tych łatwo zdobytych i która odwołuje się do najbardziej osobistych doświadczeń widza. Oficjalna historia zostaje wzbogacona o szczegóły, które są

czymś więcej niż tylko glossami. Nierzadko narzucają one swoją własną perspektywę, która decyduje o charakterystycznej dla Voigta głębi obrazu.

Jedną z takich perspektyw *Ostpreussenlandu* jest Günther. Niemiec raz po raz wpadający w zasadzki niemieckiej gramatyki, ale też niezbyt płynnie potrafiący wystąpić się po rosyjsku. W rozmowie wyznaje (po sporym łyku wódki), że przez dziesięć lat bił się w litewskiej partyzantce. „Więcej nie powiem – zastrzega – wyłącz kamerę”. Potem jednak mówi. Mimo włączonej kamery. Po wejściu Armii Czerwonej do Königsberga jego rodzina uciekła na Zachód. Został sam w ruinach domu. Miał wtedy 14 lat i przez kilka miesięcy z karabinem w ręku bronił dobytku przed Rosjanami, którzy wszystko rozkradali. Kiedy zrobiło się gorąco, Günter zbiegł na Litwę i przyłączył się do partyzantów. Do 1966 nie miał żadnych dokumentów. Musiał ukrywać, że jest Niemcem. Pomogła mu rodzina jego litewskiej żony, z którą żył na kocią łapę. Po zawarciu małżeństwa osiedlili się w okręgu kalininogradzkim. W domu rozmawiają po rosyjsku. Obydwoje są już starzy, ale z życia zadowoleni. *Zyżn' u nas choroszaja* – zapewniają. Czasami jak najdzie ich ochota, to napiją się wódki i śpiewają sobie piosenki w kuchni po kolacji. Najchętniej wychodziła na bierieg *Katiusza*.

W odróżnieniu od innych dokumentalistów niemieckich, którzy zajmowali się ostatnio problematyką Prus Wschodnich, Voigt interesuje się przeszłością głównie z punktu widzenia terażniejszości. Jego impresje unikają tonów elegijnych i niezbyt nadają się na podrozdziały do przewodników turystycznych. Są tym, czym powinien być dobry film dokumentalny – przeżyciem realnego świata. Bardziej od pomnika Kanta w Królewcu, czy zamku krzyżackiego w Malborku, Voigta pociągają ludzie z ich sprzecznościami i fizjonomiami, które są zbyt rzeczywiste, aby trafić do *reiseführera* po krainie tysiąca jezior. Robotnice z fabryki konserw rybnych w Mamonowie, które od miesięcy nie dostały wypłaty i które boją się o tym mówić przed kamerą, „bo dyrektor się dowie”. Dyrektor powiadomił je, że są akcjonariuszkami, ale nikt nie potrafi im wytłumaczyć, co to znaczy. Dwóch żołnierzy spotkanych na ulicy. Po odbyciu służby wojskowej, mówią, chętnie by pojechali do jakiegoś kraju, gdzie da się żyć. Na

pytanie „gdzie? do jakiego kraju?” wpadają w niepokój. Odpowiedzi stają się niejasne. „Tam, gdzie można zarobić...”, mówi w końcu jeden z nich. „A gdzie można zarobić?”. „W Europie”. „A tu nie Europa?” „Nie, Rosja”.

W jednej z końcowych scen filmu Günther wychodzi z żoną przed dom, żeby się pożegnać z filmowcami. Jest trzaskający mróz, ale po jego wesołej twarzy widać, że jest jeszcze rozgrzany „po wczorajszym”. Mały domek w śnieżnym, niemal syberyjskim pustkowiu. Przed domkiem mąż z żoną, oboje w walmach i w grubych wacikach. Naraz w kłopotliwą ciszę pożegnania wdiera się przeraźliwy ryk odrzutowców. W jednej sekundzie cały krajobraz zaczyna drżeć w posadach, jak gdyby znalazł się w epicentrum niewidzialnego trzęsienia ziemi. *Die Russen*, mówi Günther i pokazuje ręką na niebo.

Wygląda jak uczeń, który spłatał figla i kuli się w obawie przed uderzeniem rozzłoszczonego nauczyciela. *Die Russen*, wyjaśnia w końcu, *fliegen nach Grosnyj*.

Samochód z kamerą rusza, przez co obraz ulega jakby zatrzymaniu. Oddalający się Günther wypręża się po błazeńsku i salutuje do swojej czapki uszatki.

Włodzimierz NECHAMKIS

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wiersze

Adam LIZAKOWSKI

ZIELONA KARTA

Gdy otworzył list z nadrukiem
urzędu emigracyjnego, to z wrażenia usiadł
wiadomość dotarła do niego jak huragan
obezwładniła i połamała psychikę:
wstrzymał oddech – rozplakał się jak dziecko
– on rzeźnik ćwiartujący zwierzęta od 8 lat
(chłodni zimno powykrzywiało mu palce
a skóra twarzy nabrała koloru ołowiu)
on, człowiek bez pięknych wspomnień emigracyjnych,
namiętności i pragnień – otrzymał zieloną kartę
choć dawno wyżył się swoich marzeń
szaleństwa lat młodzieńczych
polotu i rozpędu życiowego
otrzymał zieloną kartę;
oczy kiedyś wyblakłe zobaczyły zielony kolor życia
uszy o przytępionym słuchu – usłyszały
dobiegające z dala głosy;
– nikt już nie będzie wyzywać go od „Pollack”
tępych emigrantów, przybłędów;
teraz będzie mógł się odszczekać
przecież otrzymał zieloną kartę
w jednej chwili umarło widmo ponieważ
ciało jego to zrozumiało
krew uderzyła do głowy
zbyt gorące litery parzyły w oczy
serce, którego nie miał
oszałało.

Chicago, grudzień 22/95

PIEKARNIA NA CHICAGO AVE.

Spotkałem ją w piekarni na Chicago Ave.
 (w ukraińskiej dzielnicy)
 piękna kobieca twarz,
 brakło jej kilka centów do chleba;
 bez wahania dałem jej brakującą sumę
 uśmiechnęła się delikatnie
 włożyła bochen do plastikowej torby
 i wyszła;
 – ta Rosjanka ma coś z głową,
 powiedziała sprzedawczyni;
 „nie pracuje, kradnie, żebra,
 potrafi wypić więcej niż niejeden chłop
 karmi chlebem gołębie, a sama głodem przymiera...”
 – tak, tak, kiwałem głową, dzisiaj już takich kobiet
 się nie spotyka, o takich oczach i uśmiechu.

SŁYSZĄC O EMIGRANTACH

„A więc pod koniec XX wieku
 są jeszcze emigranci”
 zasłyszane na pewnym przyjęciu

Emigranci zawsze byli, są i będą –
 wiercie mi;
 ponieważ jest dobro i zło,
 słońce i wiatr,
 gdziekolwiek on powstanie –
 jakakolwiek zawierucha lub zamęt –
 którykolwiek podmuch swoją siłą wyrzuci –
 emigranci jak śmiecie, rozlecą się
 po wszystkich kątach świata
 nikt się o nich nie upomni.

Adam LIZAKOWSKI

Archiwum polityczne

Znowu Korea

Od śmierci Kim Ir Sena w Korei i wokół Korei mają miejsce swoiste obrady Okrągłego Stołu. Oprócz Północnej i Południowej Korei biorą w nich udział Stany Zjednoczone i Chińska Republika Ludowa. Oficjalne i tajne obrady o końcu reżymu komunistycznego w Północnej Korei toczą się w atmosferze rosnącego napięcia na półwyspie. Obie strony konfliktu znajdują się właściwie w stanie wojny, która nie została zakończona lecz tylko przerwana w 1953 roku.

Wojna koreańska zaczęła się od napaści Korei Północnej na jej południowego sąsiada 25 czerwca 1950 roku. Jak dowodzą ostatnio odtajnione z archiwów rosyjskich i chińskich dokumenty, napad ta odbyła się za przyzwoleniem i przy udziale Stalina i Mao.

Obecnie – w końcowej fazie konfliktu koreańskiego Rosja nie odgrywa dużej roli. Jeszcze przed nadejściem Gorbaczowa Związek Sowiecki zawiesił ścisłą współpracę wojskową i polityczną z reżymem w Phenianie. Dwanaście lat temu dyplomaci rosyjscy w Pekinie (pracowałem tam wtedy jako korespondent holenderski) na pytania o terrorystyczne działania (które wówczas kierowane były przez Kim Il Dzunga, obecnego przywódcę Korei Północnej) reżymu w Phenianie reagowali odpowiedzią:

„My z tymi bandytami nie mamy nic wspólnego! Rozumiecie? Nic wspólnego!” W roku 1990 Związek Sowiecki zaprzestał dotowania handlu z Koreą Północną. 29 marca br., Moskwa ogłosiła że nie będzie popierać Korei Północnej w wypadku konfliktu zbrojnego na półwyspie. Podobne oświadczenie zostało jednocześnie ogłoszone przez Pekin.

Chiny również od lat nie udzielają pomocy ekonomicznej Korei Północnej. Nie przeszkadza to im w sprzedaży broni dla armii koreańskiej za twardą walutę, czym też zajmuje się zbrojeniówka sowiecka.

Pekin nie jest zainteresowany w powtórzeniu konfliktu zbrojnego na Półwyspie Koreańskim. Chiny zapłaciły za udział w poprzednim konflikcie ogromną cenę. Około 800.000 żołnierzy chińskich straciło życie w wojnie koreańskiej. Wskutek swego udziału w tym konflikcie Chiny Ludowe straciły Taiwan, a na następne dwadzieścia lat możliwość współpracy z większością rozwiniętych krajów świata.

W zasadzie Chiny nie mają korzyści z istnienia dyktatury komunistycznej w Phenianie. Pekin utrzymuje bardzo dobre stosunki gospodarcze i polityczne z Seulem. Interes polityczny i strategiczny Chin na Półwyspie Koreańskim polega na niedopuszczaniu do rozwiązania problemu koreańskiego wedle życzeń Waszyngtonu. Pekin powtarza od lat (a ściślej mówiąc od momentu gdy koniec Zimnej Wojny między Rosją a Ameryką położył kres ścisłej współpracy wojskowej i politycznej między Chinami a Stanami Zjednoczonymi), że uważa strategiczną obecność Ameryki w „swoim” regionie za „czynnik destabilizujący”. Ocenę tę można znaleźć od lat w publikacjach japońskich i południowokoreańskich specjalistów i jest ona też coraz częściej i coraz bardziej otwarcie powtarzana przez polityków z tych krajów. Nie znaczy to, że rola Stanów Zjednoczonych we Wschodniej Azji się kończy. Kończy się tylko dominacja strategiczna Ameryki w tej części świata, a pertraktacje o przedłużeniu umów o bazach wojskowych na Okinawie czy Itaewoo toczą się przy cichym zrozumieniu, że na początku 21 wieku bazy amerykańskie w Korei i Japonii będą najwyżej jeszcze istniały w symbolicznej i szczątkowej formie.

Tu dochodzimy do ciekawego – choć na pierwszy rzut oka, paradoksalnego stwierdzenia: jedynym mocarstwem, które jest obecnie zainteresowane w (krótkoterminowym) utrzymaniu przy życiu reżymu w Phenianie są Stany Zjednoczone. Drugą, choć trochę mniej korzystną opcją USA jest militarne rozwiązanie problemu koreańskiego przy decydującym udziale amerykańskich sił zbrojnych. W Korei Południowej powtarzane są ciche obawy, iż wojskowi techno-

kraci amerykańscy są zainteresowani „laboratoryjnym” wypróbowaniem lokalnej wojny nuklearnej – podobnie jak w Iraku próbowano nowych broni. Tylko te dwa rozwiązania umożliwiają kontynuację amerykańskiej obecności w Północno-Wschodniej Azji zgodnie z interesami Waszyngtonu. Dla polskiego czytelnika krajowego brzmi to, rzecz jasna, jako antyamerykańska propaganda. Lecz tę interpretację można nie tylko spotkać w obecnych chińskich, koreańskich czy japońskich źródłach lecz nawet w różnych wersjach na przykład w *Foreign Affairs*.

W przeciwieństwie do obiegowych opinii (ostatnio bardzo często powtarzanych przez Eaglebergera, a za nim przez wszystkie media tego świata) na temat motywacji elit północnokoreańskich nie są one ani enigmatyczne ani irracjonalne. Motywacje te zawarte są w jednym słowie – przeżycie (tych elit rzecz jasna). Najlepsze informacje na ten temat posiadają banki zachodnie – w tym kontekście najważniejszym wydarzeniem ostatnich tygodni było przejście na stronę Seulu (w Londynie) funkcjonariusza odpowiedzialnego za północnokoreański handel dewizami.

Dowódca sił USA w Korei Południowej, gen. Gary Luck, stwierdził 28.03. br. przed komisją senacką do spraw wojskowych, że pytaniem nie jest to – czy komunistyczny reżym Korei Północnej upadnie, lecz kiedy to nastąpi i w jaki sposób? Wypowiedź ta nawiązywała nie tylko do katastrofalnej sytuacji żywnościowej Północy lecz także prawdopodobnie, do relacji zbiegłych w ostatnich miesiącach północnokoreańskich „Kuklińskich”.

Odpowiedź północnokoreańska była natychmiastowa. Następnego dnia po wystąpieniu gen. Lucka wiceminister obrony Korei Północnej marszałek Kim Kwang-jim odpowiedział: pytaniem nie jest – czy wojna na półwyspie koreańskim wybuchnie, lecz kiedy? Parę dni później Korea Północna wymówiła rozejm z 1953 i kilkakrotnie naruszyła strefę zdemilitaryzowaną rozdzielającą obydwa państwa.

Do tego swoistego dialogu między Phenianem a Waszyngtonem włączyło się południowokoreańskie Ministerstwo Obrony, twierdząc, że zmiana stosunków na Półwyspie Koreańskim powinna być obiektem rozmów nie między USA a Koreą Północną, lecz pertraktacji między Południem a Północą.

Nie jest tajemnicą jak ma wyglądać rezultat tych pertraktacji wedle wizji Seulu. Między gigantycznym muzeum wojny koreańskiej a Ministerstwem Obrony w Seulu stoi pomnik nazwany „Pomnikiem Braci”. Przedstawia on znużonego żołnierza północnokoreańskiego padającego w objęcia swojego uzbrojonego brata z Południa.

Symbolicznym przesłaniem muzeum wojny w Seulu jest, że wszystkiemu winni są politycy a nie wojskowi. Figury woskowe korpusu oficerskiego obu armii ustawione są w jednym szeregu. Łączy ich wspólny interes: po zjednoczeniu obu Korei będzie to największa potęga militarna regionu.

Ale w tym finale wojny koreańskiej nie można wykluczyć mniej optymistycznego zakończenia; być może dla usunięcia polityków północnokoreańskich potrzebna będzie lokalna wojna. Obecnie Korea Północna grozi wojną mimo, że taką wojnę z pewnością przegra. Jeśli wojna wybuchnie, to tym razem atak niekoniecznie nastąpi z północy.

Perspektywa szybkiego zjednoczenia Korei i powstania w tej części świata supernowoczesnej półtoramilionowej armii, której przedłużeniem geoeconomicznym jest najprężniejsza gospodarka na świecie, nie może wywołać zachwyty ani w Pekinie ani w Tokyo, ani w Moskwie, ani w Waszyngtonie. A entuzjazm ludności południowokoreańskiej, która doskonale zdaje sobie sprawę, że zjednoczenie będzie dla nich dużo bardziej kosztowne niż zjednoczenie Niemiec dla mieszkańców Niemiec Zachodnich, można oględnie określić jako bardzo umiarkowany.

Michał KORZEC

Michał Korzec wykłada nauki polityczne na Państwowym Uniwersytecie w Leiden w Holandii. W latach osiemdziesiątych był korespondentem holenderskim w Pekinie. Obecnie jest akredytowanym korespondentem holenderskiego tygodnika *Elsevier* w Warszawie. Píše książkę o wojnie koreańskiej. Aktualne wiadomości i opinie zostały zebrane w marcu w Pekinie, Sapporo i Seulu m.in. dla krótkiej monografii, która będzie publikowana przez Holenderski Instytut Spraw Międzynarodowych „Clingendael”.

O aktywną politykę wschodnią Polski

Nowojorski *Nowy Dziennik* w numerze z 12-go marca br. zamieszcza streszczenie artykułu, który ukazał się w ostatnim numerze *Foreign Policy* pt. „Poland: Bulwark or Bridge”. Zamieszczamy go ze względu na jego znaczenie.

Zdaniem jego autora, Shermana Garnetta, byłego wyższego urzędnika Pentagonu w administracji prezydenta Clintona a obecnie eksperta konserwatywnej fundacji Carnegie Endowment, położenie geograficzne Polski w naturalny sposób predestynuje ją do roli pomostu między Wschodem a Zachodem, tymczasem: „wszystkie strony w obecnej debacie na temat NATO – włącznie z samymi Polakami – wydają się pchać Polskę ku roli przedmurza”.

„Nowy prezydent Aleksander Kwaśniewski i jego lewicowa koalicja stoją przed szczególnym wyzwaniem: każde ich posunięcie skierowane na Wschód będzie prawdopodobnie postrzegane przez opozycję i znaczną część polskiego społeczeństwa w kategoriach ich komunistycznej przeszłości, a nie wymogów bezpieczeństwa. Kwaśniewskiemu trudniej będzie zatem niż jego poprzednikowi Lechowi Wałęsie, stworzyć skuteczną Ostpolitik” – pisze Garnett. Według niego jednak, dla Polski Ostpolitik nie jest luksusem i nie można jej odkładać na czas po rozwiązaniu kwestii NATO.

Autor twierdzi, że Polska stoi w obliczu dwóch niebezpieczeństw ze Wschodu. Pierwsze, to tradycyjne zagrożenie rosyjskim imperializmem; jest ono teraz bardzo odległe w czasie ze względu na słabość Rosji. Drugie zagrożenie jest obecnie bardziej realne – ryzyko destabilizacji za polską granicą wschodnią, przede wszystkim w słabych, młodych państwach powstałych z byłych republik byłego ZSSR.

Zdaniem publicysty *Foreign Policy*, Polska mogłaby bardziej starać się wpływać na rozwój sytuacji w tym regionie, a także intensywniej współpracować z tymi grupami w Rosji, które czynią mniej prawdopodobnym odrodzenie się Rosji imperialistycznej. Autor przypomina, że w sierpniu 1995 r. ówczesny minister obrony RP Zbigniew Okoński oświadczył,

że jako członek NATO Polska byłaby gotowa poprzeć stacjonowanie obcych wojsk i broni atomowych na swoim terytorium. Po ogłoszeniu raportu NATO – wskazuje Garnett – nastąpiła seria oficjalnych wypowiedzi i publikacji w Rosji sygnalizujących, że Moskwa zamierza odpowiedzieć na przesunięcie NATO do jej zachodnich granic rozmieszczeniem taktycznych broni nuklearnych w zachodniej Rosji i na Białorusi.

Według autora, taka militaryzacja i nuklearyzacja debaty na temat NATO jest igraniem z ogniem i pogłębia konflikt między Polską a Rosją, pogarszając również stosunki z jej kluczowymi wschodnimi sąsiadami, np. z Ukrainą.

Garnett zaleca, by Polska zgłaszając swą gotowość do członkostwa NATO zadeklarowała, że w obecnej sytuacji militarnej nie widzi potrzeby stacjonowania na swym terytorium broni atomowych ani obcych wojsk. Podobna deklaracja przydałaby się ze strony NATO. Proponuje także, by Polska popierała rozszerzanie bloków regionalnych w rodzaju Inicjatywy Środkowoeuropejskiej, tak aby objęła ona kraje bałtyckie, Białoruś, Ukrainę i Rosję. „Takie stanowisko otworzyłoby nowe płaszczyzny współpracy z USA i Niemcami i oddałoby długofalową przysługę całemu sojuszowi” – pisze.

Wywiady „Kultury”

Wojna w Jugosławii

ROZMOWA Z TADEUSZEM OLSZAŃSKIM

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM: – *W latach 1990-94 był Pan korespondentem Polskiego Radia i Telewizji na Węgrzech oraz w Jugosławii. Pana regularnie nadawane korespondencje z Jugosławii wzbudzały ogromne zainteresowanie. Wynikiem tego okresu jest najnowsza książka „Mój brat cię zabije” (Trio, Warszawa 1995) oparta na Pana przeżyciach. Czy dowiemy się kiedyś jak doszło do tej spirali nienawiści i zbrodni, która rozsądziła państwo i wygnała z domów dwa miliony starców, kobiet i dzieci?*

TADEUSZ OLSZAŃSKI: – Bardzo długo zastanawiałem się nad tym, jak napisać tę książkę. Dysponowałem ponad ośmiuset korespondencjami dla radia i telewizji, jakie przekazałem w ciągu czterech lat pracy, a ponadto mnóstwem zapisków, dziesiątkami rozmów. Zakończyłem pracę jako korespondent we wrześniu 1994 roku i wiedziałem jedno, że muszę o tym, co stało się w Jugosławii, napisać. Wiedziałem, co powinienem powiedzieć, ale aż rok szukałem klucza, konwencji tej książki. Wiedziałem, że powinienem ułożyć się na swoim sposobie opisu wojny między „Kaputt” Curzio Malapartego a „Imperium” Ryszarda Kapuścińskiego. A wszystko czego doświadczyłem powinno służyć do wyjaśnienia tej spirali nienawiści, która rozsądziła Jugosławię. Piękny i bogaty kraj życzliwych nam ludzi. Korzenie konfliktu

serbsko-chorwackiego znalazłem w przeszłości i teraźniejszości. Pokazałem mechanizm, w jaki nie tylko odnowiono tę etniczną wrogość – bo ona zawsze istniała – lecz po prostu nakręcono ją niczym zegarówą bombę. W swojej książce staram się to pokazać.

A.Z.-B.: – *Jak dalece rozpad Jugosławii jeszcze w latach 80-tych nie wchodził w rachubę, jak dalece dziennikarze, korespondenci, politolodzy nie byli świadomi sytuacji? Czy wojna ta zaskoczyła wszystkich?*

T.O.: – Tylko nieliczni znawcy Bałkanów liczyli się z nasileniem etnicznych konfliktów w tym rejonie Europy, ale i nawet oni nie przewidzieli rozmiarów tragedii. Świat – politycy, dyplomaci – zakodował Jugosławię jako pewien trwały kształt, który ewentualnie zmieni formułę z Socjalistycznej Federacyjnej Republiki na Konfederację Republik, że i tak symboliczny socjalizm jugosłowiański łagodnie przekształci się w demokrację. Wszak w Jugosławii zupełnie przyzwoicie funkcjonowały demokratyczne struktury, a kolektywny prezydent, czyli powołana po śmierci Tito Rada Prezydencka, była ewenementem na skalę światową. W skład tej Rady wchodziła przedstawiciele wszystkich sześciu republik oraz dwóch okręgów autonomicznych i co roku zmieniał się przewodniczący. Nie uwzględniono tylko jednego, a mianowicie, że cały ład Jugosławii opierał się na kulcie Tito oraz na policji, że tępił nie tylko nacjonalistyczną ekstremę, ale i wszelką tożsamość narodową, negując choćby istnienie języka macedońskiego! Również w Polsce, mimo iż mieliśmy świetnych sławistów oraz tłumaczy literatury południowych Słowian, nie zdawano sobie sprawy z tego, co stanie się na Bałkanach. Polskie Radio i telewizja zlikwidowały placówkę korespondencyjną w Belgradzie, bo w Jugosławii nie działo się nic ciekawego! Dokonano tego w połowie lat osiemdziesiątych i obsługę tamtego terenu powierzono korespondentowi w Budapeszcie. Gdy w 1990 roku we wrześniu podpisywałem umowę jako korespondent PRiTV na Węgrzech i wyraziłem zdziwienie, że mam jednocześnie obsługiwać Jugosławię, uspokojono mnie mówiąc, że wystarczy tam raz czy dwa razy do roku pojechać z okazji wyborów

czy jakiegoś ważnego wydarzenia i większych wymagań nie będzie. Później w pół roku okazało się, że wydarzenia w Jugosławii stały się najważniejsze na antenach i ekranach całego świata!

A.Z.-B.: – *Wspomina Pan, że narodową tradycją w Jugosławii jest posiadanie broni. Skąd ta tradycja?*

T.O.: – Ponad 400 lat zacieklej walki z Turkami z jednej strony, potem zaś z austriacką, węgierską i niemiecką ekspansją z drugiej, wreszcie nieustanne porachunki plemienne wewnątrz, charakterystyczne dla górskich regionów, sprawiły, że na Bałkanach broń stała się tak potrzebna do życia jak woda. Każdy okupant, każdy wróg zaczynał swoje rządy na tych terenach od nakazu zdania broni, ale nikt nigdy jej nie oddawał, bo to oznaczało śmierć. Noże i strzelby, potem snajperskie karabiny i automaty, przechodziły z ojca na syna, były i pozostaną rodzinną świętością. Tylko dwie grupy etniczne na obecnym terenie Jugosławii pozbyły się broni. A mianowicie Albańczycy w Kosowie oraz Węgrzy w Wojwodinie. I uczynili to mądrze. Dlatego nie leje się tam krew i mimo ogromnego konfliktu z Serbami panuje tam spokój.

A.Z.-B.: – *Pisze Pan, że ta wojna najpierw zaczęła się w środkach masowego przekazu, w których zaczął dominować subiektywizm, szowinistyczny ton. Niemal każdy fakt napotykał na inne naświetlenie w Belgradzie, inne w Zagrzebiu. Że „wojna na informacje” wyprzedziła właściwą wojnę. Czy takie były jej początki?*

T.O.: – W lutym 1991 roku belgradzka prasa i telewizja ujawniły aferę nielegalnego zakupu 10 tysięcy kałasznikowów przez Zagrzeb dla organizowanej tam chorwackiej policji. Od tego momentu nastąpiło całkowite rozejście się dróg polityki informacyjnej Chorwacji oraz Słowenii, a Serbii, która utożsamiała się z interesami Federacji. Chorwaci i Słowenci dążyli do swojej niepodległości szermując również ideą demokratycznych zmian, natomiast Serbowie, broniąc jedności Jugosławii, byli za utrzymywaniem dawnych struktur, a

przede wszystkim za federalną, przesiąkniętą komunistycznym duchem armią. Była ona bez reszty podporządkowana oficerskiej kadrze, związanej ze Związkiem Komunistów Jugosławii. A nad tym wszystkim królował coraz to przemożniejszy nacjonalizm. Jest oczywiste, że te podziały znalazły natychmiast odbicie w znajdujących się do dyspozycji tych stron środków masowego przekazu. Stały się one stronnice i zaczęły po prostu napędzać wojnę.

A.Z.-B.: – *Poruszył Pan temat straszliwych zbrodni w Dalj, gdzie z 2500 Chorwatów ocalało zaledwie 150. Zagrzebskie pismo porównywało je ze zbrodnią katyńską. Jak dalece można zaakceptować, że te potworne zbrodnie, ich horror, odbyły się w naszej cywilizacji pod koniec XX wieku?*

T.O.: – Na Bałkanach wszystkie wojny były zawsze szczególnie okrutne. Nasza cywilizacja, niestety, jest ciągle mało uniwersalna, o czym świadczą coraz częstsze akty terroru i wojny. Codziennie mamy tego nowe dowody i nie wiem, co jest bardziej charakterystyczne dla naszego wieku: rzezie między Serbami, Bośniakami i Chorwatami, czy też zachodnioeuropejski parlamentaryzm oraz rozpoczęty właśnie proces integracji Europy? To co współcześnie dzieje się wokół nas, każe się mocno zastanowić najświecześniejszym umysłem nad tym, dokąd zmierzamy i czy w ogóle mamy prawo jeszcze mówić o cywilizacji w dobie raczej militaryzacji życia. Jeśli o mnie idzie, pewną odporność na to, co widziałem w Jugosławii wyrobiłem sobie w czasach II wojny światowej, jako dziecko. Zetknąłem się wówczas z przemarszami wojsk, egzekucjami, sam byłem uchodźcą, straciłem wszystko, co miała moja rodzina naprzód w Stanisławowie, a potem na Węgrzech, ponieważ tereny, z których pochodziła moja matka przypadły Rumunii i Ukrainie.

A.Z.-B.: – *Jakaś szczególna beznadziejność towarzyszy tej wojnie. Podaje Pan funkcjonujące stereotypy: dla Serba Chorwat jest chytry, fałszywy i przekupny, prowokator, chce rządzić a nie pracować. Z kolei Chorwat Serba uważa*

za człowieka wiarołomnego, który zawsze oszuka, jest prymitywny i zachłanny, leniwy, bez powodu wyciąga nóż i zabija. Uważa Pan, że i Chorwaci, i Serbowie są jednakowo przekonani o swojej racji, honorze, niedarowaniu krzywdy, bo: „wrogowi przebaczyć to zniewaga całego narodu”. Serbowie walczą z Muzułmanami i Chorwatami o pozyskanie jak największej ilości ziemi. Zgodnie z doktryną Belgradu, Serbia jest wszędzie tam, gdzie żyją Serbowie, bez względu na to, czy stanowią oni większość czy mniejszość w stosunku do pozostałych nacji. Jak w takim rozumieniu znaleźć porozumienie? ... Przywołuje Pan opinie reżysera serbskiego Duszana Makavejeva, który stan ducha obu tych nacji nazwał „zaślepieniem narodowym i ekstazą śmierci”. Nienawiść zawsze rodzi nienawiść, czy można w ogóle przerwać tę spiralę?

T.O.: – Każdą nienawiść można i trzeba przerwać. Mamy na to liczne dowody. Jeszcze do niedawna Francuzi nienawidzili się z Niemcami, a dziś pozostają w zgodzie, twórczo współpracują. My też zbliżamy się do Niemców. Z rozdziałem Czechosłowacji zmniejszyły się animozje Czechów i Słowaków. W niepamięć przejdzie nasz konflikt z Ukraińcami i choć mocno pamiętam krwawe zajścia na Pkuciu i Podolu, w których moi krewni byli ofiarami, to właściwie nie mam już zaciekleści w traktowaniu tych spraw, coraz rzadziej też spotykam się w gronie kresowiaków z chęcią odzyskiwania Lwowa i Stanisławowa. Na Bałkanach inaczej. Konflikt jest świeży, a w dodatku oprócz globalnego rachunku długo będą istniały osobiste porachunki, bo takie jest prawo na Bałkanach. Nóż za nóż, śmierć za śmierć.

A.Z.-B.: – *Przywołuje Pan straszliwe straty zabytków kultury. Nie zdobywa się bowiem tylko ziemi, ale niszczy zabytki kultury. Zbombardowano Starówkę w Dubrowniku chronioną przez ONZ jako obiekt należący do zabytków światowego dziedzictwa kultury. Zbombardowano most nad Neretwą w Mostarze. Mostar – piękne miasto minaretów i meczetów spięte starym tureckim mostem, było perłą muzułmańskiej kultury w Europie. Słynny most (Kuderet*

Kemeri – Cudowne Sklepienie) przerzucony kamiennym łukiem w 1566 roku na rozkaz sultana Sulejmana Wspianego miał też znaczenie symboliczne – spajał niejako narody Serbów, Muzułmanów i Chorwatów, spajał Wschód z Zachodem. Zbombardowano most, który przetrwał 422 lata, oszczędzili go nawet Niemcy... Spłonęło cudowne arboretum, niezwykle okazy śródziemnomorskiej flory, zniszczono stare klasztory, palace. Domy można zbudować na nowo, ale tego arboretum nie ujrzymy więcej, palmy i drzewa liczyły po kilkaset lat. Czy uważa Pan, że w barbarzyńskiej wojnie ginie świadomość dziedzictwa narodowego i pojęcia zabytków kultury stają się nieważne?

T.O.: – Nieco inaczej widzę to zagadnienie. Ta świadomość istnieje tylko w stosunku do własnego dziedzictwa. Cudze natomiast wolno, ba! – należy zniszczyć! Chorwaci opłakiwali zniszczenia Dubrownika, a sami bez skrępowań zniszczyli cudowny Mostar. Zawsze niszczy się to co cudze, aby wygnani nie mieli do czego wrócić.

A.Z.-B.: – W Lipiku zginęło 200 znanych na całym świecie koni, tak zwanych lipicanów. Rozdział książki o lipicanach jest jednym z bardziej wstrząsających Pana reportaży. Koniom bowiem urządzono pogrzeb...

T.O.: – Lipicany wyróżniło, bo to były... chorwackie konie (uratowało się około 20-30 sztuk). Zwłoki rozkładających się koni buldożery wepchnęły w ogromny dół. Po kilku miesiącach zwłoki końskie ekshumowano, a stało się to za przyczyną Królewskiego Towarzystwa Jeździeckiego z Wielkiej Brytanii, które zwróciło się do ONZ o zgodę na ekshumację. Lipicany są bowiem światową rzadkością i znajdują się pod międzynarodową ochroną. Z Londynu przyjechali specjaliści koniarze, zidentyfikowali część koni, odnotowali we właściwych rejestrach ich śmierć i wszystkie zwłoki przewieziono do Djakova i tam pogrzebano w osobnych mogiłach. Według kodeksu brytyjskiego Towarzystwa Jeździeckiego lipicańskim koniom należy się taki pochówek jak ludziom.

A.Z.-B.: – W wojnie tej zginęli lokalni i zagraniczni dziennikarze, fotoreporterzy. Do końca 1994 roku zginęło 48 dziennikarzy, więcej niż w całej II wojnie światowej! Zginął między innymi wybitny amerykański komentator stacji telewizyjnej ABC, David Kaplan. Polski dziennikarz Andrzej Szmał z Przeglądu Tygodniowego leżał godzinami na asfalcie pod lufami czołgów, które go zatrzymały... Stykał się Pan ze śmiercią. Jakiej specjalnej odwagi potrzebuje dziennikarz?

T.O.: – Dziennikarz, podobnie jak żołnierz, nie ma czasu na wojnie. Musimy zdobyć materiał, sprawdzić, napisać, czekać na połączenie – to najgorsze, a wynik zawsze niewiadomy – i wreszcie przekazać. Już wspominałem o tym, że należę do pokolenia, które przeżyło II wojnę światową. Wierzyłem wtedy, że nie stanie mi się nic złego, a że to się sprawdziło, więc jakoś uodporniłem się na strach. Raz tylko miałem krytyczny moment, gdy w bombardowanym Osijeku zwołano w samo południe konferencję prasową w magistracie i trzeba było przejść półtora kilometra z hotelu. Zaczęłem się dziko bać. Szliśmy w kilku pustą ulicą, oprócz nas żywej duszy, jezdni i chodnik zasypane szkłem i dachówkami. Kilka rozbitych wystaw sklepowych i co minuta, dwie, pękające granaty, bliżej, dalej, bez żadnej logiki. Moździerz, które stały się główną bronią jugosłowiańskiej wojny (bo są najtańsze, jeden pocisk kosztuje 10-20 dolarów) mają to do siebie, że granaty spadają jak z nieba, rażą w najmniej spodziewane miejsca. Początkowo nawet dowcipkowaliśmy, potem jednak już bez słowa szliśmy coraz szybciej, wreszcie biegiem. Baliśmy się wszyscy i nie chcieliśmy się przed sobą do tego przyznać.

A.Z.-B.: – Wchodzenie z kamerą w najokropniejszą śmierć, które to obrazy potem oglądają ludzie w zaciszu domowym. Dyskusje na ten temat toczyły się w Stanach przy transmisji konfliktu zbrojnego z Irakiem. Jak dalece Pana zdaniem tocząca się wojna jest dla telewizji nie tylko fascynującym materiałem do pokazania ale także do manipulowania?

T.O.: – Niestety bywa i jeszcze gorzej. W środowisku korespondentów wojennych, głównie ekip telewizyjnych, zwłaszcza bogatych stacji, istnieje ostra konkurencja w zdobywaniu drastycznych materiałów. Zastanawiająca była więc obecność kamery w niektórych nieprzewidzianych sytuacjach. Nie ma na to żadnych dowodów, ale powszechnie było wiadomo, że za kilkaset dolarów zapłaconych snajperowi w Sarajewie można było mieć na zamówienie krwawą scenę o określonej godzinie i w określonym miejscu. Straszny jest też pośpiech i cynizm w zbieraniu materiału przez niektórych dziennikarzy. Bardzo ładna, młoda fotoreporterka amerykańska, podczas wizyty dziennikarzy w Centralnym Szpitalu Wojskowym w Belgradzie, bez żenady poprosiła młodego chłopca, który dwa dni temu stracił nogę, aby podniósł, wyeksponował bardziej kikut. Byłem przy tym, słyszałem, zrobiło mi się okropnie. Inny kolega, Anglik, w obozie dla Muzułmanek zapytał znajdujące się tam kobiety: która z was mówi po angielsku i została zgwałcona przez Serbów?... To są ciemne plamy naszego zawodu, na szczęście rzadkie. We współczesnych wojnach dziennikarze piórem, głosem, kamerą ukazują to, co się dzieje. Świadczą o prawdzie. I dlatego do nas się nie strzela.

Nie jestem optymistą. Ta wojna przycichła, ale pamiętam dziesiątki zrywanych rozejmów. Tej wojny – póki co – nikt też nie wygrał, ani nie przegrał. Morze krwi – z punktu widzenia Serbów czy Bośniaków – poszło na marne. Pozytywnym konkretem są zbrojne siły IFORM-u, które mogą użyć broni i dysponują potężnym zapleczem bombardujących samolotów, w przeciwieństwie do operetkowych jednostek UNIFORM-u, błyskawicznie zresztą zdemoralizowanych właśnie przez pasywność. Na razie dwie strony – Serbowie i Bośniacy – mocno się wykrwawiły, muszą zebrać siły. Chorwaci natomiast są coraz silniejsi. Będą chcieli odzyskać Słowenię, Baranię i Srem, żyzne ziemie nad Dunajem znajdujące się w rękach Serbów. Pokój w Dayton nakazał zwrot tych ziem. Płoną opuszczone przez serbską ludność dzielnice Sarajewa. Czy w tej sytuacji można mówić o przyszłości?

Rozmawiała Aleksandra ZIÓLKOWSKA-BOEHM

Plan dla Polski

ROZMOWA Z ERICHEM LOESTEM

ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ FRONCZEK: – *Skąd pomysł Pańskiego „Planu dla Polski”, skąd zainteresowanie niemieckiego pisarza Polską?*

ERICH LOEST: – Plan, o czym nie wszyscy wiedzą, zakłada nawiązanie bliższych kontaktów między polskimi i niemieckimi pisarzami, tłumaczami, wydawcami. Popularyzacja polskiej literatury w Niemczech jest także z jednej strony aktem zadośćuczynienia polskim kolegom za brak zdecydowanej postawy niemieckiego Związku Pisarzy w przełomowym dla Polski okresie na początku lat 80-tych. Z drugiej strony plan jest szansą integracji dla niemieckich pisarzy. Proszę pamiętać, że strajki „Solidarności” w roku 1980 zmusiły pisarzy niemieckich do zajęcia stanowiska wobec sprawy polskiej i spowodowały rozłam w środowisku. Günter Grass, Ingeborg Drewitz, Heinrich Vormweg powitali w ruchu „Solidarność” długo oczekiwany zryw przeciw komunistycznej władzy. Inna grupa pisarzy, skupiona wokół Bernsta Engelmana, przewodniczącego VS w tamtym okresie, uznała „Solidarność” za „katolicką kontrrewolucję”. W ich odczuciu ruch „Solidarność” zagrażał z trudem nawiązanemu dialogowi pomiędzy pisarzami RFN i NRD. Tak więc polskie strajki „Solidarności” wywołały niezgodę w środowisku pisarzy niemieckich. Następstwem tego była sprawa słynnego telegramu protestacyjnego, który VS wystosował do gen. Jaruzelskiego. W telegramie żądano reaktywowania związku pisarzy. Niestety, nie konkretnego Związku Literatów Polskich, rozwiązanego dekretem o stanie wojennym, ale jedynie „jakiegoś” związku pisarzy. Nie było to zręczne i zgrabne sformułowanie. Dlatego na znak protestu wielu pisarzy opuściło nasz związek.

Z.W.F.: – *Jakie nadzieje wiąże Pan ze swoim „Planem”?*

E.L.: – Mam nadzieję, że przyczyni się do poznania środowisk twórczych, wymiany doświadczeń i wzajemnej prezentacji. Związek Pisarzy Niemieckich, który popiera moją inicjatywę, za jeden ze swoich celów uważa wnoszenie aktywnego wkładu na rzecz europejskiego procesu zjednoczeniowego. Istotną rolę w działalności Związku odgrywa stosunek do wschodnich sąsiadów. Rozwijanie dobrosąsiedzkich stosunków między Niemcami a Polską oraz budowanie pomostu między Wschodem a Zachodem, to sprawa, do której pisarze niemieccy przywiązują coraz większą wagę. Świat się zmienia powoli, ale te zmiany są doskonale widoczne. Prezydent Niemiec, Herzog, prosił Polaków w Warszawie, w czasie obchodów rocznicy powstania warszawskiego, o przebaczenie. Niemiecki generał Hennig von Ondarza został doradcą w Ministerstwie Obrony.

Z.W.F.: – *Czy to nie paradoks historii, że Niemcy są dzisiaj najbardziej zdeklarowanym sojusznikiem polskich interesów?*

E.L.: – W interesie Niemiec leży, aby Odra nie stała się granicą zjednoczonej Europy. Myślę, że Bonn dostrzega lepiej niż inne kraje Zachodu, a to pewnie z racji geograficznej bliskości, niebezpieczeństwa, jakie stwarza powstanie niczyjej strefy pomiędzy Zachodem a Rosją.

Z.W.F.: – *Polacy doceniają słowa, gesty, czyny, ale bystry obserwator dostrzegł również, że w Polsce po zjednoczeniu Niemiec odżyło zaniepokojenie o zachodnią granicę.*

E.L.: – Kompleks Odry-Nysy odżywał się po obu stronach granicy. Myślę, że sprowadzał się nie tylko do obciążeń historycznych i nieznajomości psychiki drugiej strony. Wzdłuż tej granicy przebiega jedna z największych barier językowych i religijnych w Europie. Wyobrażam sobie, że nadeszły wreszcie czasy, kiedy zbliżenie polsko-niemieckie powinno stać się misją młodego pokolenia, zwłaszcza inteligencji.

Z.W.F.: – *Podjął się Pan trudnego zadania promowania polskiej literatury w Niemczech. Czy polska literatura może zainteresować niemieckiego czytelnika? Przez niektórych niemieckich krytyków lansowana jest teza o hermetyczności polskiej literatury, która jest zrozumiała jedynie dla wąskiego kręgu wtajemniczonych znawców polskiej historii i polskiego „kodu literackiego”.*

E.L.: – Nie podzielam tej opinii. Teza ta nie jest prawdziwa w stosunku do wielu polskich pisarzy różnych pokoleń, choćby Andrzeja Szczypiorskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, czy młodszych jak Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser, Jerzy Pilch, czy wreszcie Manuela Gretkowska. Na spotkaniach z czytelnikami czytam nie tylko swoje teksty. Wieczory autorskie rozpoczynam od prezentacji utworu polskiego pisarza, którego bardzo cenię. To tekst Janusza Głowackiego „Przed burzą”. Czytam go z nie mniejszą pasją i zaangażowaniem niż swoje teksty. Nie wiem, czy w Polsce pamiętają to opowiadanie. Przypomnę więc, że jest to groteskowy opis polskiej prowincji. Odnajduję w nim trochę gorzkiego humoru Mrożka, ale to utwór jak najbardziej oryginalny. Dwaj synowie wiozą ze szpitala ojca, kogoś w pociągu spotykają, jest więc okazja, by uraczyć spotkanego gorzałką, wybuchają gwałtowne spory i wzbierają nagle emocje. W tej operetkowej zawierusze ginie ojciec, a tu nadciąga burza. Podziwiam niezwykle tempo narracji, zaskakującą fabułę i niebanalne rozwiązania. Myślę, że jest to obraz polskiego krajobrazu, polskiej mentalności i polskiej duszy. Tak odbieram Polskę i Polaków.

Z.W.F.: – *Polacy znają literaturę Niemiec. Mają też wyrobiony i zakodowany obraz Niemiec i Niemców. Proszę powiedzieć, jaki tekst, jaką książkę powinni według Pana poznać, aby przybliżyć sobie ten obraz Niemców, na którym osobście Panu zależy?*

E.L.: – Tekst, który sam czytam na spotkaniach autorskich. To moje opowiadanie „Nigdy nie piłem szampana”. Wyśluśchał Pan?

Z.W.F.: – *Tak, to taka spowiedź dziecięcia wieku.*

E.L.: – Zgoda, tekst jest jakąś formą spowiedzi, rozliczenia się z przeszłością, to także biografia Niemca naznaczonego przekleństwem wieku, jakim był hitleryzm. Bohaterem mojego opowiadania jest człowiek wywodzący się z solidnej rodziny o pruskiej tradycji. Ulega jednak zarazie totalitaryzmu. Staje się hitlerowcem.

Z.W.F.: – *To pytanie nurtuje Polaków od lat, ale pewnie także ludzi z całego świata: ile w tej zgodzie na ową zarazę było zniewolenia, strachu, serwilizmu, a ile spontanicznej zgody i akceptacji?*

E.L.: – Postaram się wyjaśnić. Hitleryzm był niemieckim przekleństwem wieku, rakiem na ciele Niemiec. Wiem, jak młodzi chłopcy wpadali w ręce SS. Było to okropne doświadczenie tych ludzi. Po wojnie natomiast, po wejściu aliantów, byli więzieni przez zwycięzców. Od uwięzienia był tylko jeden krok do śmierci. Ratując się przed uwięzieniem wielu fałszowało ankiety. Fałszerstwo było formą ucieczki, ratunkiem. Tak też postąpił mój bohater. Szczęśliwie uniknął uwięzienia, przeżył, później wstąpił do partii komunistycznej. Przeszłości nie da się jednak ukryć. Przeszłość mojego bohatera znali partyjni towarzysze. Zarzucają mu więc, że ich okłamał. Czy okłamał? On w przeszłości ratował tylko głowę. Syn uważa go za zdrajcę, wyjeżdża na Zachód, a porzucenia kraju ojciec nie może mu wybaczyć. Czy można sobie wyobrazić większy katalizm, większą klęskę życiową?

Z.W.F.: – *Współczuje Pan swemu bohaterowi?*

E.L.: – Nie skazuję go... Jest w moim wieku. Wyposażyłem go w pewne doświadczenia, przeżycia, doznania ludzi mojej generacji.

Z.W.F.: – *W tej postaci czytelnik znajdzie elementy Pańskiej biografii?*

E.L.: – Nie ma nic z mojej biografii. Nie byłem w SS. To

postać całkowicie wymyślona, ale – co podkreślam – nie brakowało ludzi, którzy z moim bohaterem mogli się utożsamiać.

Z.W.F.: – *Bohater jest byłym esesmanem. Przedstawiona przez Pana mentalność esesmana niewątpliwie zdziwi, a może nawet zbulwersuje polskiego czytelnika. Polska literatura, pamiętniki, film, wreszcie liczne wspomnienia, podsuwały inny obraz człowieka w niemieckim mundurze.*

E.L.: – Niewątpliwie, sam przedstawiłem go jako człowieka zniewolonego. Czy taki obraz przekonuje? Sam jestem skłonny sądzić, że tak. Ale czy mój tekst jest przekonującym dowodem? Czy jestem wystarczająco zdolnym pisarzem, by taki obraz utwierdzić?

Z.W.F.: – *Utwór Pański nie jest wolny od agresji. Każde zdanie jest nią prześięknięte.*

E.L.: – Zgoda. Agresja jest literackim zabiegiem. Były to bowiem czasy agresji. Ludzkie stosunki prześiękły wrogością. Nie tylko wrogością skierowaną przeciw najbliższym: rodzinie, sąsiadom, ale także i przeciw sobie. Może najgroźniejsza była właśnie ta agresja skierowana na siebie? Starałem się pokazać rozpadający się świat Niemców. Skończyło się na NSDAP, zaczęła się epoka partii komunistycznej.

Z.W.F.: – *Powstała niezliczona ilość książek o ostatniej wojnie. Są wśród nich i Pańskie. Jak Pan je ocenia na tle innych?*

E.L.: – Liczy się każdy głos człowieka skrzywdzonego, szukającego sprawiedliwości, rozliczenia. To sprawa pierwsza. Sprawa druga: wojna to temat niewyczerpany. O tej ostatniej nadal powstają książki. Pojawiają się z okazji 50-tej rocznicy zamachu na Hitlera, wybuchu wojny i jej zakończenia. Sam brałem udział w przygotowaniach zbiorowej pracy związanej z rocznicą zakończenia wojennych zmagani. Myślę, że upływający czas nie zaostreza naszego spojrzenia, ale z pewnością nie wycisza emocji.

Z.W.F.: – *Nie brakowało dramatycznych momentów w Pańskiej biografii. Jak doszło do opuszczenia byłej NRD?*

E.L.: – Przygotowywałem się do takiej chwili. Bunt narastał we mnie od wielu lat. Wystąpiłem ze Związku Pisarzy, nie miałem nadziei, że wydrukują w NRD moje książki. Ktoregoś dnia 1981 roku musiałem sobie powiedzieć: masz 55 lat, to co chcesz pisać o swoim życiu, o swoim mieście, nie może się ukazać, a ty nie możesz już czekać. I wtedy zdecydowałem. Kilka manuskryptów przeszmuglowałem na Zachód. Odbyłem rozmowę z ministrem kultury NRD. Oznajmiłem mu, że książka ukaże się w Hamburgu. „Będziecie zmuszeni mnie ukarać” – powiedziałem. Przypuszczałem, że sprawić to może pewien kłopot. Dlatego zaryzykowałem i podsunąłem rozwiązanie, że najlepiej byłoby może dla wszystkich, gdybym mógł wyjechać. Rzeczywiście, towarzysze po naradzie wyrazili zgodę. Otrzymałem wizę na trzy lata. Wyjechałem i wiedziałem, że nie wrócę. Cóż bowiem miałem z nimi wspólnego, a oni ze mną? Niebawem wyrzucili do RFN moją rodzinę.

Z.W.F.: – *Jak się Pan czuł? Był Pan szczęśliwy, czy może dominowało uczucie, iż został Pan wyklęty za swoją pracę?*

E.L.: – Czy wyklęty za swoją pracę? Tak to można określić, choć mego wyrzucenia nie rozpatrywałem w tych kategoriach. W NRD uchodziłem za złego pisarza. Wyjazd był przełomowym momentem w moim życiu. Rozpocząłem coś zupełnie od nowa, od początku.

Z.W.F.: – *Łatwiej jest być dobrym pisarzem w wolnym kraju?*

E.L.: – Trudno jest być dobrym pisarzem. Zwłaszcza w wolnym kraju. W byłej NRD – a myślę, że także w Polsce przedsierpniowej – lansowano pisarzy nie tylko za literackie osiągnięcia.

Z.W.F.: – *W Polsce pisarze tworzyli opozycję, nielegalne*

pisma, wydawnictwa. Jakie jest miejsce niezależnej literatury w historii Niemiec?

E.L.: – Nie wolno przenosić polskich doświadczeń na grunt NRD. Tam samizdat nie istniał. Wolną literaturę tworzone na Zachodzie. Szmuglowana do NRD była szeroko czytana i komentowana. Nie chciałbym przeceniać roli literatury, ale myślę, iż w całym świecie odgrywa nadal dużą rolę. Chcę przywrócić literaturę w telewizji. Wyobrażam sobie, iż wspinałoby się, gdyby okienka literackie pojawiły się podczas przerw w meczach piłkarskich. A w Niemczech transmituje się niemało spotkań!

Z.W.F.: – *Cóż porabiają Pańscy koledzy z byłego Związku Pisarzy w byłej NRD?*

E.L.: – Związek Pisarzy NRD został rozwiązany. Ale dopiero pół roku po upadku muru berlińskiego. Zachodni Związek Pisarzy Niemieckich zadeklarował, że przyjmie każdego pisarza z terenu Niemiec Wschodnich. Nie wszyscy zdecydowali się na ten krok. Nie rozwiązał się wschodni PEN Club. Nikt nie protestuje i nie utrudnia działalności. Jeśli chcą istnieć, też nie zgłaszam sprzeciwu. Nasz zawodowy związek skupia 3,5 tysiąca członków. W Niemczech działa jeszcze Wolny Związek Autorów Niemieckich. Żyjemy obok siebie na płaszczyźnie pokojowej. Oni przysyłają swoich przedstawicieli na nasze obrady, my się rewanżujemy. A tak na marginesie: uważamy, że jesteśmy zdecydowanie lepszymi pisarzami.

Z.W.F.: – *Jak mają się młodzi pisarze w Niemczech?*

E.L.: – Tak, jak na całym świecie. Nie jest im łatwo. Dlatego radzę, by młodzi adepci pióra szukali sobie żon wśród lekarek. Literatura wymaga poświęceń i wszechstronności. Nie można dziś uchodzić jedynie za powieściopisarza czy nowelistę. Trzeba umieć napisać reportaż, felieton, przeprowadzić wywiad. Ta wszechstronność nie została rozwinięta wśród pisarzy NRD. Można było im powiedzieć, że muszą się uczyć żyć i tworzyć w nowym świecie. Owszem

przyjęli tę informację, ale nauka idzie im opornie. Niektórym już nie wystarczy życia, aby się tego nauczyć.

Z.W.F.: – *Serdecznie dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Zbigniew Włodzimierz FRONCZEK

Erich LOEST urodził się 25 lutego 1926 w Mittweida w Saksonii. Mieszkał i działał w byłej NRD. W roku 1957 został aresztowany i skazany „za brak właściwego stanowiska swojej twórczości” oraz za krytykę stalinowskiej polityki Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED) na piętnaście lat więzienia. Po procesie osadzony został w więzieniu w Bautzen (Budziszyn), gdzie odsiedział 7 lat wyroku. W następstwie wykluczonego go ze Związku Pisarzy NRD. Po opuszczeniu więzienia osiadł w RFN. Na Kongresie Związku Pisarzy Niemieckich w 1984 roku w Saarbrücken został wybrany zastępcą przewodniczącego Związku Pisarzy Niemieckich. Obecnie mieszka w Bad Godesberg.

W twórczości E. Loesta na szczególną uwagę zasługują m.in. takie utwory: „Schattenboxen” (Walka z cieniem) – 1973, „Durch die Erde ein Riss” (Szczelina przez świat) – 1981, „Volkerschlachtdenkmal” (Pomnik bitwy narodów) – 1985, „Fallhöhe” (Wysokość spadku) – 1989.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

O religii bez namaszczenia

Hierarchia polska po komunizmie

Mój tytuł jest parafrazą tytułu znanej książki Jarosława Gowina „Kościół po komunizmie”. Zmieniłem go trochę, by uwidocznąć, że w tym artykule będzie mowa tylko o hierarchii, kierownictwie polskiego Kościoła, nie o samym Kościele i to tylko o jednym aspekcie działalności tego kierownictwa, to jest o jego stosunku do świeckiego państwa i o związanej z tym polityce kościelnej. Na dobrą sprawę o tym też pisze Gowin, stosunkowo mało miejsca poświęcając wewnętrznemu życiu Kościoła jako całości, polskiej części Ludu Bożego, jak to określa Kościół soborowa konstytucja *Lumen Gentium*. Gowin w swym tytule idzie za przyjętym ogólnie zwyczajem, zwłaszcza w publicystyce i to nie tylko polskiej, który po prostu utożsamia Kościół z jego hierarchicznym kierownictwem, traktując całą resztę społeczności kościelnej jako bezwonną masę wykonującą tylko odgórne instrukcje. Tak źle jednak nigdy w historii Kościoła nie było i tak nie jest zwłaszcza dziś w okresie posoborowym. Gdyby tak miało być, to Kościół nie mógłby zasadnie nazywać się światłością świata (*Lumen Gentium*). A że tak nie jest, świadczą tak ogromne ruchy wewnętrzno-kościelne jak teologia wyzwolenia, oddolne inicjatywy ekumeniczne i inicjatywy reformistyczne świeckich wiernych pod hasłem „My jesteśmy Kościołem”¹.

Ograniczona wizja Kościoła, koncentrująca się wyłącznie na poczynaniach hierarchii, jest nie tyle obiektywnie fałszywa,

1. Zob. np. mój artykuł pt. „Kościół żywy”, *Kultura*, Nr 3/1996.

ale często (choć oczywiście nie zawsze) wyrządza Kościołowi krzywdę. Tak jest nawet w przypadku znakomitej pod wielu względami książki Gowina i tak jest także w przypadku innej, równie znakomitej relacji, jaka ukazała się niedawno na łamach francuskiego czasopisma historycznego *Cahiers d'histoire immédiate*². Trudno o to nawet winić autorów; tytuły ich relacji to po prostu nie pretendujące do precyzji skróty myślowe. Zresztą w przypadku francuskojęzycznego artykułu podtytuł precyzuje, że chodzi o określenie przyczyn potęgi (politycznej) Kościoła w Polsce (*causes déterminantes de sa puissance*). Celem moich wstępnych uwag było tylko uprzytomnienie czytelnikowi, że poza zasadniczo polityczną tematyką obu relacji leży ogromny obszar autentycznego wewnętrznego życia polskiego Kościoła, którego obie relacje ledwo dotykają, choć to życie właśnie jest całą relacją jego istnienia. Jeśli można tu mówić o winie, to obciąża ona w pierwszym rzędzie polską hierarchię, która tak nieproporcjonalnie wielką część swoich energii poświęca na budowanie swej politycznej władzy. Gowin, jakkolwiek krytycznie do tych zabiegów nastawiony, wykazuje dla nich zdumiewająco dużo zrozumienia, ostatecznie jednak przyznaje, że odbywa się to wszystko ze szkodą dla wiarygodności Kościoła, w rzeczy samej ze szkodą dla jego duszpasterskiej i apostołskiej misji. Przynajmniej przyćmiewa światłość, jaką Kościół powinien być.

Podobnie ocenia sytuację autor relacji we francuskim czasopiśmie, p. Leszek Kuk z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu³. Zanim jednak do tego przejdę, warto zwrócić uwagę na głos innego krajowego komentatora. Oto Roman Graczyk, niewątpliwie katolicki dziennikarz, omawiając książkę Gowina na łamach *Gazety Wyborczej*, zgadza się, że zaangażowanie polityczne hierarchii jest szkodliwe dla

2. Leszek Kuk (Université Nicolas Copernic, Torun, Pologne): „L'Eglise Catholique dans la Pologne d'aujourd'hui – Causes déterminantes de sa puissance”. *Cahiers d'histoire immédiate*, No. 8, automne 1995.

3. Leszek Kuk w swej publikacji nie legitymuje się żadnym tytułem naukowym, co oczywiście nic a nic nie ujmuje wartości jego pracy. Autor sam przesłał egzemplarz artykułu redaktorowi *Kultury* z uprzejmą dedykacją. Redaktor z kolei przekazał go mnie do omówienia, co z prawdziwą przyjemnością niniejszym czynię.

Kościoła, ale dodaje nie bez racji, że jest szkodliwe również dla odradzającego się demokratycznego państwa; nade wszystko, zdaniem Graczyka, postawa hierarchii jest jedną z przyczyn, dla których do tej pory nie mamy dobrej konstytucji. Leszek Kuk pisał swą obszerną relację (25 stron druku) na długo przed artykułem Graczyka, wynika z niej jednak, że i on w jednym i drugim punkcie zgadza się z Graczykiem⁴.

Systematyczny przegląd sukcesów politycznych hierarchii kościelnej (Kuk też pisze, podobnie jak Gowin i Graczyk: Kościoła) od roku 1989 pozwala autorowi od razu zaanonsować swoją zasadniczą tezę: potęga polityczna polskiego Kościoła jest wynikiem słabości polskiego państwa. W dalszych częściach swego studium Leszek Kuk prezentuje szerokie historyczne uzasadnienie tej tezy, którym są wzajemne relacje Kościoła i państwa w ciągu ostatnich trzech stuleci, w tym oczywiście także Kościoła i państw zaborczych w latach narodowej niewoli oraz obcych okupacji w czasie ostatniej wojny i po wojnie. Państwa zaborcze czy rządy okupacyjne z natury rzeczy nie mogły liczyć na lojalność narodu polskiego, który w tej sytuacji znajdował w Kościele zastępczy obiekt, w którym mógł lokować swą polityczną lojalność. I oczywiście Kościół nie tracił związanego z tym politycznego prestiżu także w stosunkowo krótkich okresach pełnej państwowej niezawisłości, to jest w okresie Drugiej Rzeczypospolitej i obecnej Trzeciej Rzeczypospolitej od r. 1989. Ale pierwszy swój sukces formalno-prawny zdołał Episkopat osiągnąć już przed formalną zmianą ustroju w postaci ustaw rewindykacyjnych z 17 maja 1989, wynegocjowanych jeszcze od komunistycznego rządu. Te ustawy dotyczyły w pierwszym rzędzie zwrotu dóbr skonfiskowanych przez władze komunistyczne. Potem kolejne rządy „solidarnościowe” tym łatwiej ulegały kościelnym presjom, często gwarantując zupełnie fundamentalne przywileje Kościołowi katolickiemu przed wszystkimi innymi i to drogą poufnych negocjacji, możliwie bez szerszej publicznej dyskusji, bez mała z dnia na dzień. Dotyczy to zwłaszcza nagłego wprowadzenia nauki religii do szkół drogą zwykłej ministerialnej instrukcji

4. Roman Graczyk: „Kłopot z Kościołem, kłopot z demokracją”. *Gazeta Wyborcza*, 4 marca 1996.

w czasie wakacji letnich w sierpniu 1990 i następnie podpisania przez rząd konkordatu, również w sezonie letnim w roku 1993 i to w sytuacji, w której rząd Hanny Suchockiej już był utracił poparcie większości w Sejmie i pełnił swoje funkcje już tylko tymczasowo w oczekiwaniu wyniku wyborów, które odbyły się we wrześniu. Tak samo bez większego rozgłosu odbywała się przez cały czas trwania rządów „solidarnościowych” penetracja przez władze kościelne sił zbrojnych, zwłaszcza wyższych eszelonów korpusu oficerskiego, widoczna na zewnątrz tylko przez spektakularną „katolicyzację” uroczystości państwowych, bez względu na przekonania religijne zaangażowanych w nich osobistości, oficerów czy szeregowych⁵. Natomiast tematem głośniejszej i zacieklej publicznej debaty była sprawa ustawy anty-aborcyjnej oraz sprawa tak zwanych wartości chrześcijańskich w radiu i telewizji, a w dalszej przyszłości także w konstytucji. I ta debata oczywiście trwa po dziś dzień. Również szczegóły konkordatu wypłynęły na szersze publiczne forum dopiero z chwilą przejścia władzy przez koalicję PSL i SLD we wrześniu 1993. Ta debata też nadal trwa, jako że koalicja, zwłaszcza SLD, nieskłonna jest do poddania konkordatu ratyfikacji.

Te rzeczy są ogólnie znane i poza pewnymi szczegółami studium Leszka Kuja do opisu tego stanu faktycznego niewiele wnosi nowego. Opublikowane we francuskim piśmie, stanowi ono oczywiście cenne źródło informacji dla zagranicznego obserwatora. Natomiast istotny wkład do całej problematyki stanowi przeprowadzone przez autora dochodzenie owych *causes déterminantes*, decydujących przyczyn tej niezwyklej dominacji władz kościelnych w polskim życiu publicznym i państwowym. Dlaczego kolejne rządy „solidarnościowe” okazywały się tak skłonne do ulegania kościelnym presjom, często wbrew swym własnym bardziej liberalnym inklinacjom i interesom? Co dziwniejsze, dlaczego rządy koalicji „postkomunistycznej”, choć zdecydowane nie dopuścić, by wynegocjowane w konkordacie kościelne przywileje nabrały mocy prawnej, nie są jednak skłonne przed-

5. Koszt wszystkich tych przywilejów w dużej mierze obciąża skarb państwa, ale ich użytkowanie, w myśl proklamowanej przez hierarchię zasady niezależności Kościoła, nie ma podlegać państwowej kontroli.

stawić ich Sejmowi do ratyfikacji, co w obecnym składzie Sejmu oznaczałoby definitywne odrzucenie konkordatu? Nowy prezydent i rząd najwidoczniej boją się wojny religijnej z episkopatem. Jest to tym bardziej godne zastanowienia, że niezależnie od wyników wyborów parlamentarnych w r. 1993 i prezydenckich w r. 1995 (w tym kontekście nie jest istotne, że studium Kuja zostało napisane przed wyborem Kwaśniewskiego) kolejne badania opinii publicznej wykazują dowodnie, że większość społeczeństwa negatywnie ocenia polityczne zaangażowanie episkopatu i dlatego widocznie nie jest losem konkordatu bardzo przejęta. Najwyraźniej prestiż społeczny biskupów i duchowieństwa pozostaje mimo to zasadniczo nienaruszalny i rozsądek polityczny każe nawet „postkomunistom” z instytucją kościelną raczej nie zadzierać.

Jak widzieliśmy, Leszek Kuja przypisuje to temu, że naród polski w ciągu kilku wieków narodowych nieszczęść nauczył się widzieć w Kościele źródło nie tylko duchowej pociechy, ale i czynnik politycznej stabilizacji, którym w normalnych warunkach powinno być państwo. A właśnie w ciągu tych trzech wieków tworzyła się w świecie koncepcja nowoczesnego państwa prawa, trwał proces, który Polskę w dużej mierze ominął. Co więcej, instytucjonalny Kościół też przyzwyczaił się do tego, by traktować siebie jako namiastkę państwowości i ulegał w ten sposób swoistemu wewnętrznemu upolitycznieniu⁶. Ale oczywiście funkcje Kościoła jako nosiciela Objawienia są całkowicie inne i wszelkie środki natury prawnej, nie mówiąc już o politycznych, mogą w wykonywaniu jego misji pełnić rolę tylko instrumentalną i pomocniczą. I odwrotnie, jego środki duchowe też powinny spełniać rolę pomocniczą, tylko jako źródło inspiracji, w budowie cywilizowanej świeckiej państwowości.

Tymi myślami wyszedłem nieco poza treść omawianego studium Leszka Kuja, ale sądzę, że są one w nim *implicite* zawarte. Kuja w zakończeniu swego studium rysuje szcze-

6. Nasuwa się tu analogia z sytuacją całego zachodniego Kościoła w czasach, gdy po upadku cesarstwa rzymskiego sam stał się *volens nolens* koniecznym czynnikiem nowej politycznej stabilizacji. To zdaje się w dużej mierze tłumaczyć późniejsze polityczne aspiracje nade wszystko papieżstwa, aż do naszych czasów włącznie. Ale jest to temat zbyt obszerny, by się tu nim zajmować.

gólową mapę polityczną Polski (również partyjno-polityczną) i zastanawia się nad możliwościami zbudowania w Polsce nowoczesnego konstytucyjnego porządku na wzór zachodni. (Jest to oczywiście obraz jeszcze sprzed ostatnich wyborów prezydenckich, ale fakt wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego nie wprowadza do tego obrazu większej zmiany). Trudno się nie zgodzić z autorem, że nastawienie polskiej hierarchii jest wciąż jeszcze bardzo dalekie od zachodnich wzorów nowoczesnej państwowości (tym bardziej dalekie od ideału, jaki ja pozwoliłem sobie przed chwilą naszkicować), jest bardziej przeszkodą niż pomocą w kształtowaniu nowej konstytucji. Hierarchia jest nadal zapatrzona w przeszłość, zafascynowana swą obecną formalną potęgą i niezdolna do ujżenia swej roli i roli Kościoła, w wolnym i światopoglądowo neutralnym państwie. Równocześnie jest pełna obaw o przyszłość, zaniepokojona brakiem posłuszeństwa dużej części swoich własnych wiernych i dlatego próbuje na gwałt zapewnić sobie drogą prawnych zabezpieczeń to, czego coraz bardziej odmawiają jej ludzkie serca.

Czy ten ponury obraz jest jedyną możliwą perspektywą? Zaczęłem ten artykuł od stwierdzenia, że hierarchia kościelna i Kościół to niekoniecznie jedno i to samo. Teraz chciałbym dodać, że fakt, iż dwie trzecie społeczeństwa nie solidaryzuje się z politycznymi ambicjami hierarchii, niekoniecznie znaczy, że ci ludzie wyrzekli się swej wiary. I fakt, że połowa społeczeństwa, w tym zapewne też połowa, podobno w 90 procentach chrześcijańskiego, społeczeństwa, głosowała na niechrześcijańskiego prezydenta, niekoniecznie oznacza katastrofalną jego laicyzację. Wprost przeciwnie, może oznaczać (choć nie musi) większą jego chrześcijańską dojrzałość. I prędzej czy później świadomość tej niezbadalności ludzkich serc musi dotrzeć również do umysłów i serc hierarchii. W rzeczy samej, jak wyczytałem ostatnio w gazecie, hasłem ogólnopolskiej sesji Synodu Plenarnego w połowie marca miał być „Kościół niosący pojednanie”. A na posiedzeniu przygotowawczym do Synodu sekretarz Episkopatu biskup Pieronek miał podobno gorzkie słowa pod adresem katolickich ekstremistów dla których największymi wrogami, wręcz „wrogami wiary”, są katolicy inaczej myślący. Dowiedziałem się również, że Lech Wałęsa złożył wizytę w

redakcji *Tygodnika Powszechnego*. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Wałęsa zabrał ze sobą na tę wizytę ks. Henryka Jankowskiego (który podobno wcale nie żałuje głupstw, jakie kiedyś powiedział), ale to, co były prezydent powiedział przy tej okazji, jest godne uwagi. Bo powiedział między innymi, że w niedawnej kampanii wyborczej zaszkodziła mu zbyt gorliwość części duchowieństwa agitującego za jego kandydaturą. Powiedział także, że gdyby obecna ekipa rządząca utrzymała się dłużej u władzy, a realizowała jednocześnie cele służące wspólnemu dobru Rzeczypospolitej, to nie będzie nieszczęścia. Nie jestem entuzjastą obecnej ekipy rządzącej ani Lecha Wałęsy, ale podziwiam trzeźwość i umiarkowanie tej wypowiedzi. To są rzeczy napawające otuchą.

Antoni POSPIESZALSKI

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kraj

Już znowu przed wyborami

1.

Zapewne w czerwcu 1997 odbędą się w Polsce wybory parlamentarne, choć kadencja obecnego parlamentu upływa dopiero we wrześniu. Przyspieszenie zapowiedział Kwaśniewski uzasadniając je potrzebą solidnego przygotowania budżetu na 1998 przez nowy rząd i wszyscy, jak się zdaje, argument ten uznali. Nieznaczące przesunięcie terminu wyborów ma nieproporcjonalnie duży efekt psychologiczny: teraz już tylko jedne wakacje oddzielają polityków od urn, to zaś sprawia, że poczucie „jeszcze mamy czas” ustępuje powszechnie poczuciu nagłości. Przy dobrze ustabilizowanej scenie politycznej taka ponad całoroczna atmosfera wyborcza byłaby czymś zupełnie nienormalnym, ale polscy politycy są w sytuacji generałów, którym wyznaczono już termin bitwy, ale którzy jeszcze nie mają armii, lub przynajmniej nie mają jej gotowej i zdatnej do starcia. Jest to oczywiste po stronie opozycji. Tutaj wspomnę więc tylko niektóre nowości według stanu z połowy kwietnia; ale za miesiąc, nawet za tydzień rzeczy mogą się mieć inaczej, bo ruch w opozycji jest wielki.

Tak więc notuję pewne uspokojenie tendencji odśrodkowych w Unii Wolności, gdzie zawisły w próżni obie inicjatywy – Kuronia i Kuratowskiej (wraz z Modzelewskim) w lewo oraz Rokity i jego tzw. Grupy Windsor (nieuleczalny snobizm Krakowa *intra muros*) w prawo. Nie tyle jest to skutek energicznej reakcji kierownictwa, ile raczej braku realnego partnerstwa. Unia Pracy stara się z trudem wydobyć z kryzysu kierownictwa i odzyskać utracony elektorat (nadal ma $1/2$ do $2/3$ poparcia sprzed pół roku) i wyraźnie nie stać

jej (jeszcze?) na podjęcie dużej, nowej inicjatywy. Zresztą, prawdę rzekłszy, tak jak Unia Pracy nie jest zbyt wiarygodnym partnerem dla lewicowo-liberalnej grupy w UW, tak również ta grupa nie wygląda wiarygodnie dla Unii Pracy, a pomysł konstruowania nowej struktury wokół Kuronia jako przywódcy (z Modzelewskim w roli doradcy z doskoku, gdyż profesor nie zamierza się poświęcić polityce) jest po fiasku w wyborach prezydenckich całkiem niezachęcający. Po drugiej stronie, Rokita i jego przyjaciele znaleźli właściwie takich tylko, ewentualnie chętnych adherentów, jakich i tak mieć mogą. Balcerowicz i Unia Wolności jako całość. Jest to owo mrowie konserwatywno-liberalnych inicjatyw i publicystów raczej niż polityków, jak Aleksander Hall, spośród których wystaje ponad innych Ruch STU, dzięki nieprzeciętnym talentom mediatycznym i kampaniom autoreklamy. (Miłośnikom historii zalecam w tym miejscu refleksję nad rolą publicystyki i publicystów w życiu politycznym Polaków: przy braku swobody była ona jego niezbędnym surogatem, ale dzisiaj jest aż nazbyt często areną ćwiczebną iluzjonistów.) Nie wydaje się natomiast, aby Grupa Windsor zdołała przybliżyć się do właściwego celu: dużej formacji prawicowej, od liberałów do narodowców i katolików, która by jednocześnie zastąpiła aktualną Unię Wolności, eliminując jej resztkową lewicę i izolowała „oszołomów” ze skrajnej prawicy. Być może, wystartowano zbyt wcześnie: niektórzy czekają, co pokaże Lech Wałęsa, gdy inni, z Janem Olszewskim na czele, nie chcą dopuścić, by cokolwiek pokazał.

Prawdę rzekłszy, nie wygląda na to, żeby były prezydent miał jeszcze cokolwiek pokazać. Przy okazji swego „powrotu do Stocznii” Wałęsa wykazał raz jeszcze, że stracił nawet swe dawne wyczucie efektu: nieprawdziwy powrót na pokaz był żenującą błazenadą. Do tego dołączyła się sprawa swoistych apanaży dla b. prezydentów przyznanych pośpiesznie przez Sejm. Unia Wolności, która miała jednak wyczucie, jaki będzie tego odbiór w opinii, daremnie proponowała, na wzór przedwojenny, dożywotnie miejsca w Senacie. SLD chytrze wybrało model amerykański wiedząc, że z trzech uposażonych, dwaj, Jaruzelski i Kaczorowski, zakończyli już czynne życie zawodowe i wobec tego ich apanaże będą miały w oczach opinii charakter emerytury (Jaruzelski zresztą wybrał

ostatecznie emeryturą wojskową), natomiast Wałęsa, niby-
elektryk, wyjdzie na darmozjada.

Ale kłopoty Jana Olszewskiego nie skończą się wraz z Wałęsą. Właściwym problemem jego Ruchu Odbudowy Polski, po pierwszym rozpędzie, który jak się zdaje, już się wyczerpał (obecnie 9% do 12% wskazań, zależnie od sondażu), są stosunki z Solidarnością. Najpierw zdawało się, że Mecenasa liczy na dogadanie się ze związkiem na swoich warunkach. Ale Marian Krzaklewski, przewodniczący NSZZ „S”, wystawił cierpliwość przywódców ROP na ciężką próbę, powtarzając raz po raz, że Solidarność poprze w wyborach prawicę, ale tylko całą i w komplecie, jeśli natomiast prawica się nie dogada, to „S” zabierze swoje manatki i wystartuje w wyborach na własną rękę. „S” to w tej chwili 15% do 17% wskazań i bez niej żadna formacja prawicy nie może liczyć na sukces. Z pozoru – i temu pozorowi ulegali, zdaje się, przywódcy ROP – Krzaklewski trzymał tylko miejsce dla Wałęsy jako zjednoczyciela prawicy. W rzeczywistości, ambitny związkowiec sam chce odegrać tę rolę. W ostatnich dniach ROP postanowił pograć z Krzaklewskim ostrzej: Jacek Kurski, przyboczny „pampers” Olszewskiego (był dziennikarzem w TV) zwymyślał publicznie Krzaklewskiego od „rozlażnych bab”. ROP jest, być może, gotów postawić na zmianę przywództwa w związku lub przynajmniej na przyciągnięcie kilku najważniejszych regionów ze Śląskiem i Gdańskiem. Wypada jednak zauważyć, że stosunkowo wysokich notowań Solidarności w sondażach przedwyborczych nie da się przenieść na ewentualnego politycznego sojusznika związku. Również w samym aktywie „S” Olszewski i jego ruch mają bardzo wielu przeciwników.

Tak czy inaczej, zapowiada się na prawicy kolejny rozłam. Jest chyba coś w etosie tych formacji, co sprawia, że tak trudno wśród nich o porozumienie: zapewne to, że nim jeszcze zaczynają działać, czy choćby myśleć politycznie, już widzą świat podzielony na „swoich” i „obcych”, i to podzielony radykalnie. Z obcymi trudno o porozumienie, to też właściwą formą jedności na tej radykalnej prawicy jest podbój.

2.

Nowości sporo również w koalicji. PSL usztywnia swe

zachowania wobec alianta, mając na względzie zarówno swą klientelę wyborczą jak i jesienny zjazd z obiorem nowych władz. Zeszłoroczną poprawę przeciętnych realnych dochodów wiejskich o 10% trudno będzie podtrzymać w roku bieżącym i przyszłym metodami protekcji: np. ceny jaj, drobiu, wieprzowiny już dorównują cenom na rynku europejskim lub je przewyższają. Potrzebne są rozmaite oddziaływania strukturalne, w tym zmniejszenie marż za pośrednictwem przechwytywanych aktualnie przez monopolistów handlu rolnego kosztem chłopów i konsumentów. Większość polityków i parlamentarzystów z PSL woli metody prostsze i bardziej efektowne jak np. forsowanie kolejnej protekcyjnej ustawy o gospodarstwie rodzinnym lub boje przeciw nowelizacji ustawy z 1920 o możliwościach zakupu ziemi przez cudzoziemców (w latach 1990-1995 zakupili oni łącznie 7112 ha z tego 1952 ha w 1995). Wprawdzie frakcja „rynkowców” w Stronnictwie, pod wodzą wicepremiera i ministra rolnictwa Jagielińskiego, nie zgadza się z większością, ale nie może tego, właśnie ze względu na terminy wyborcze, powiedzieć głośniej: jej opozycja sprowadza się najczęściej do podgryzania pozycji prezesa Pawlaka.

Nie jest specjalną nowością zaciekleść PSL w walce o pozycję u władzy: w okresie sprawozdawczym PSL zdobyło posadę prezesa TVP dla Ryszarda Miazka. Natomiast jest czymś nowym, że rywalizacja SLD-PSL prowadzi teraz do definitywnego blokowania rozmaitych inicjatyw reformatorskich rządu Cimoszewicza. W ten sposób premier oficjalnie zrezygnował z forsowania w tej kadencji reformy podziału administracyjnego kraju, w dwa miesiące po tym, jak jego szef URM, Leszek Miller, ogłosił projekt „preferowany” swego rządu – 12 dużych województw i powiaty. PSL na powiaty stanowczo się nie godzi. Dla porządku zaznaczę, że moim zdaniem, przywracanie powiatów jest błędem, bez którego można się obejść. Nie wiadomo, co będzie z tzw. reformą centrum, którą po wyborach 1993 koalicja zapowiadała na koniec... 1994. Komentując wycofanie się premiera z reformy powiatowej, red. naczelny *Polityki*, Jerzy Baczyński – jego pismo gorąco „powiatyzację” popiera – pisał (*Polityka* nr 15):

„Rozbieżności między PSL i SLD nie dotyczą tylko

powiatów czy województw; właściwie w żadnej poważnej sprawie partnerzy nie potrafią się już dogadać. Pole kontrowersji rozciąga się od kwestii światopoglądowych (ratyfikacji konkordatu czy liberalizacji ustawy aborcyjnej) po sprawy finansowe (reforma podatkowa, tempo ograniczania inflacji), aż do całkowicie odmiennych poglądów na prywatyzację, reformę centrum gospodarczego, inwestycje zagraniczne, zakup ziemi przez cudzoziemców, ochronę rynku wewnętrznego, politykę przemysłową... Koalicja, w sensie programowym, przestała istnieć (...)"

Odpowiedzią powinny być przyspieszone wybory parlamentarne. Niestety, nie wiadomo co gorsze: czy trwanie obecnego, wypalonego już układu, czy perspektywa, że po wyborach większy wpływ na politykę uzyskają ugrupowania fundamentalnie wrogie wobec reform rynkowych (ROP, Solidarność). Deklaracja premiera Cimoszewicza, nawet jeśli bezpośrednio odnosiła się do powiatów, jest ważną cezurą w historii III RP. Zapowiada koniec reform ustrojowych, podjętych w 1990 roku."

Wprowadzie „koalicja programowa” SLD-PSL w sensie, jaki nadaje jej Baczyński, nie istniała nigdy i wobec tego nieco historyczny ton komentarza może dziwić – choć i to prawda, że liberałowie, przyjaciele rynku, historyzują w Polsce nieustannie – jednak widoczny jest rzeczywisty powód historii: perspektywa zmiany sojuszy i wejście do parlamentu silnego ROP i silnej Solidarności. Baczyński, jak i *Polityka* w ogóle, należą do tych liberałów, którzy sądzą, że bez SLD niemożliwa jest jakakolwiek „proreformatorska” koalicja. Cóż za smakowity paradoks, i zwłaszcza reformatorzy z Grupy Windsor powinni go rozważyć: bez SLD nie ma reform, nie ma nas w Unii Europejskiej, a może i w NATO...

Prawdziwym więc zmartwieniem liberałów z *Polityki* jest, czy SLD sprostą roli gwaranta liberalnych reform.

3.

Nawet jeszcze przed rozstrzygnięciem sprawy Oleksego były oznaki, że w SLD nie wszyscy są zadowoleni z życia. Sojuszu, w którego skład wchodzi 29 organizacji i stowarzyszeń, a w którym rolę przewodnią sprawuje SdRP – 120

spośród 200 posłów i senatorów SLD – miał dotychczas za zasadę, że żadnych sporów nie wynosi się na zewnątrz, raz jeden zdarzyło się, że trzyosobowa grupka posłów z tzw. PPS Piotra Ikonowicza złamała dyscyplinę klubową SLD w głosowaniu i natychmiast została wykluczona. Stąd też Marek Borowski, wicemarszałek Sejmu z ramienia SLD, zaskoczył wszystkich zapowiedzią, że SLD podejmie działania, by się przekształcić w regularną partię, do której każdy zapisuje się indywidualnie. „Chodzi o to, żeby była to jednolita struktura złożona z ludzi zakładających SLD, a nie z organizacji” – oświadczył Borowski w *Rzeczypospolitej* (84/1996), nie ukrywając, że w Sojuszu są kontrowersje, że mnożą się one w miarę, jak upływa kadencja parlamentu i że kiedy wzrośnie ciśnienie przedwyborcze „działania odśrodkowe mogą być jeszcze silniejsze”. Oleksy, który uchodzi za zwolennika rozszerzania formuły Sojuszu, m.in. poprzez włączenie doń grup formalnie chrześcijańskich (jak UChS Morawskiego), zapytany przeze mnie o wywiad Borowskiego wręcz go wyśmiał i uznał za chwilową aberację. Wiadomo jednak skądinąd, że zacieśnienia dyscypliny domaga się wielu przywódców SdRP, z Leszkiem Millerem, i że zbliżające się wybory stanowią najlepszą, ich zdaniem, okazję: układa się listy kandydatów i decyduje o bycie i niebycie ambitnych działaczy. (Tak właśnie chce teraz wrócić do SLD spokojniaki Ikonowicz).

Nawet jeśli deklaracja Borowskiego była tylko groźbą na wyrost, to fakt, że uznano za wskazane do niej sięgnąć, zasługuje na uwagę. A głównym adresatem tej groźby są afiliowane do SLD związki zawodowe: OPZZ i należący do niego Związek Nauczycielstwa. Po upływie 2,5 roku rządów koalicji – związkowcy ci widzą, że program socjalny SLD pozostaje na papierze („dowcip” polega na tym, że lepiej realizowany jest program samej SdRP, który miał charakter bardziej techniczny i mniej ogólny, ale też był mniej atrakcyjny). Tymczasem zaś ciśnienie społeczne rośnie. Dlaczego?

Wzrost dochodu narodowego wyniósł w 1995 r. – 7% wobec 5,2% w 1994, 3,8% w 1993 i 2,6% w 1992, ale towarzyszyło mu nieustanne rozwieranie nożyc nierówności społecznych, co publikowane statystyki po prostu przemilczają (nawet duży *Rocznik Statystyczny GUS* nie zamieszcza żadnych danych o piramidzie dochodów).

Również badania przeglądowe (*surveys*) nie dają dobrego rozeznania, ponieważ najwyższe dochody powstają – jak pisze prof. Lidia Beskid („Potocznie oceny poziomu życia w 1995 r. w porównaniu z 1989 r.” tekst w druku, łaskawie udostępniony mi przez autorkę) – „nie tylko w drodze legalnej działalności” nadto zaś „z reguły nie poddają się takim badaniom osoby rzeczywiście bogate”. Choć jednak biegun bogactwa pozostaje statystycznie i naukowo nierozpoznany, jest społecznie jak najbardziej na widoku i zapewne w wyobraźni społecznej wygląda jeszcze atrakcyjniej niż w rzeczywistości.

Biegun ubóstwa i nędzy jest rozpoznany lepiej. Z okazji Dnia Bezdomych 14 kwietnia Polska dowiedziała się, że ma kilkaset tysięcy bezdomnych (mowa o 700 tysiącach, dotychczas mówiono zazwyczaj o 300 tysiącach). Kolejnym kilkunastu tysiącom rodzin z dziećmi grozi teraz eksmisja (skończyła się zima) donikąd, na którą zezwala *lex Blida*, od nazwiska pani minister budownictwa z SLD. Bezrobocie tej zimy ponownie przekroczyło 15%. Prof. Kabaj, znany specjalista od rynku pracy, stwierdza, że planowane w strategiach min. Kołodki przyrosty PNB nie dadzą do 2000 r. żadnego spadku stopy bezrobocia wbrew obietnicom: cały wzrost będzie wynikał z restrukturalizacji, przebrojenia pracy i wzrostu intensywności. Według takiego właśnie schematu odbywa się wzrost gospodarczy np. w RFN, ale w Polsce konieczne byłoby tworzenie również zatrudnienia bardziej pracochłonnego. Wszyscy też badacze dość zgodnie podkreślają, że rola szarej strefy w redukowaniu bezrobocia jest zasadniczo przeceniana. Wprawdzie w szarej strefie zatrudnia się wg różnych ocen od 800 tys. do 1100 tys. osób, ale jest to zatrudnienie niepełne i od przypadku do przypadku, i odpowiada co najwyżej 200-300 tysiącom miejsc pracy pełnowymiarowej. Ponadto, z definicji, jest to praca nieubezpieczona. Bezrobotni żyją najczęściej we wspólnym gospodarstwie domowym z pracownikami najemnymi, głównie robotnikami, oraz emerytami i rencistami (głównie rodzicami). Bezrobocie, jak wynika z ocen subiektywnych, obniża poziom życia we wspólnej grupie domowej przynajmniej o 15%.

Badając w przytoczonej pracy zmiany w okresie 1989-1995, subiektywnych ocen własnej sytuacji materialnej,

zaspokojenia potrzeb oraz oczekiwanej ewolucji w najbliższych 2-3 latach w rozmaitych przekrojach społecznych prof. Beskid znalazła kilka zasadniczych faktów.

W przeciętnej samoocenie sytuacji materialnej rodziny na 7-miopunktowej skali (4=poziom uznany za średni) pozostała właściwie nie zmieniona (trochę poniżej średniej): 3,7 punkta w 1989, 3,8 punkta w 1995. Ale ta przeciętna obejmuje cztery grupy respondentów odpowiadające czterem kategoriom, przy czym decyduje miejsce w strukturze społeczno-zawodowej:

- w pierwszej są zamożni, którzy zyskali: dyrektorzy przedsiębiorstw, wyższe kadry kierownicze, inteligencja nietechniczna, inteligencja techniczna, pracownicy biurowi, pracownicy handlu;

- w drugiej są niskozamożni, którzy stracili (bezrobotni, robotnicy rolni, robotnicy wykwalifikowani, robotnicy niewykwalifikowani, pracownicy fizyczni usług);

- w trzeciej są średniozamożni, też tracący: właściciele gospodarstw rolnych, niższy dozór techniczny;

- w czwartej są niskozamożni, zyskujący emeryci i renciści, studenci (zaskakujący „awans” studentów tłumaczy się pewną zmianą składu socjalnego tej grupy: w 1995 studiuje już młodzież raczej zamożniejsza z domu).

Zaskakuje brak w tym wyliczeniu przedsiębiorców prywatnych, ale ewolucja ich sytuacji jest najbardziej zróżnicowana, nadto ich odpowiedzi są mało wiarygodne (ukrywanie bogactwa, szara strefa).

Politycznie najbardziej interesująca jest ewolucja oczekiwań i aspiracji co do poziomu życia w ciągu najbliższych lat. Od 1989 do 1995 procent tych, którzy nie oczekują zmiany wzrósł bardzo wydatnie z 35% do 47% ogółu. Znacznie mniejszy procent spodziewa się spadku własnego poziomu życia (10% w 1995 wobec 21% w 1989), natomiast procent oczekujących poprawy jest mniej więcej ten sam (43% wobec 44%). Wśród 47% oczekujących stabilizacji swej sytuacji materialnej, aż 24% (18% w 1989) zajmuje najniższe pozycje od 1 do 3 punktów; aż 57% spośród osób uważających się za bardzo biedne (1 punkt) nie spodziewa się zmiany swej sytuacji, podczas gdy w 1989 r. odpowiedni wskaźnik wynosił 29%.

Z drugiej wszakże strony w grupach niskozamożnych – wśród bezrobotnych, robotników niewykwalifikowanych, robotników rolnych, fizycznych pracowników usług – „wysoki odsetek przewiduje polepszenie się swej sytuacji materialnej za dwa, trzy lata. Są to równocześnie grupy społeczne o bardzo wysokich aspiracjach dochodowych, minimalnych i maksymalnych*.

Deprawacja w materialnych warunkach życia grup niskozamożnych przejawia się, gdy chodzi o przewidywane zmiany, przede wszystkim niemożnością lub nieumiejętnością „wychodzenia z dołka” u części osób ale nie oczekiwaniem pogorszenia się sytuacji. Wysokie aspiracje dochodowe i oczekiwanie zmian na lepsze u ponad 60% z tych respondentów jest ważnym czynnikiem motywującym do zwiększonej aktywności, może się też stać przesłanką do zachowań roszczeniowych.

W roku przedwyborczym zachowanie roszczeniowe mogą owocować skutkami politycznymi. Dla SLD oznacza to wzrost wewnętrznego napięcia pomiędzy „linią reform” a „linią socjalną”. Odraczaniem działań i zastępowaniem ich niekończącymi się dyskusjami nie uda się chyba napięcia tego zniwelować. Stąd nagle zainteresowanie dyscypliną partyjną i uznanie OPZZ za godnego baczonej uwagi partnera.

15 kwietnia 1996

Krzysztof WOLICKI

* asp. minimalna: stosunek postulowanego dochodu na osobę w rodzinie, mającego zapewnić utrzymanie na poziomie minimum dochodu aktualnego

asp. maksymalna: stosunek postulowanego dochodu na osobę w rodzinie mającego zapewnić utrzymanie na poziomie upragnionym do dochodu aktualnego.

Z ukosa

Wiem, że powtarzam się w swoich tekstach, że cierpię na polską czkawkę. Na czkawkę poleca się wstrzymywanie oddechu, lub walenie w plecy. Nie lubię by mnie ktoś bił w kręgosłup a przyduszać się samemu też nie mam ochoty. Zastosowałem więc lekarstwo sentymentalizmu, popadając w ostatnich tekstach w pewną łzawość wobec dawnych czasów. To jednak też nie pomogło. By zlikwidować sentymentalizm i czkawkę jadę nagle na Białoruś. Czy to kolejna polecana metoda – przestraszyć!

Byłoby pewną przesadą oświadczyć, że jadę tylko po to, by w Mińsku wziąć udział w manifestacji przeciwko podpisaniu w Moskwie aktu miłości i jedności między Rosją a Białorusią. Ale termin podróży był wybrany z rozmysłem – unosił się jeszcze w Mińsku zapach wody kolońskiej, której używa Prezydent Kwaśniewski. (Trudno było tę wizytę odwołać, ale nie była ona złączna w tym czasie).

Ruszamy z granic dawnego wielkiego Księstwa Litewskiego, z progu pałacu mojego przyjaciela K., który z ruin podniósł i z miłością pielęgnuje posiadłość z wieku XVIII, a też stajnie i spichlerze. Kupił niedawno drugą krowę, szczęśliwiej niż pierwszą, bo ta pierwsza kopie. Wokół pałacu, park jeszcze nie odrestaurowany, stawy jeszcze nie oczyszczone i jeszcze nie rybne. Tak oto odtwarza się, ale bardzo powoli, dawna tkanka dworska, co może uratuje choćby skrawek tego, co zostało przez wojnę i przez PRL zniszczone. A też stanowić będzie wzorzec dla naszej wsi. Jak na razie brudne chałupy przeglądają się w lustrze pałacu, ale czy widzą swoją szpetotę?

Zbliżanie się do granicy, której zwiastunem są fotele. Ciemnobrązowy, zupełnie obrzydliwie niegustowny fotel sterczy przy szosie, usadowiony przed niemal wszystkimi równie niegustownymi zabudowaniami. Napisy po polsku i po rosyjsku reklamują ten przedmiot oraz inne meble. Jakby w Białorusi i w Rosji był zakaz produkowania foteli, bez zakazu

używania ich do siedzenia. Te fotele jadą potem w pocie samochodowej maski, ciągnięte w wielkim spiętrzeniu na przyczepach, na wschód, wszystko na wschód. Przejście graniczne przypomina jakąś przełęcz górską, wysoką, jak w Himalajach, którą przebyć można tylko z wielkim uporem, cierpliwością i wysiłkiem. Kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt kilometrów od granicy zaczyna się kolejka samochodów towarowych. Stoi tu cały świat, bo widzę znaki wielu krajów, a kolejka czeka nawet do tygodnia, sunąc jak żółw ku granicy. Gdyby ją tak postawić w pionie, to byłby dopiero podniebny pomnik absurdu! Widząc gdzie indziej polską przedsiębiorczość, nie rozumiem dlaczego wzdłuż tego monstrualnego węża nie ma sklepów i domów publicznych. Może nieszczęśliwi kierowcy czekają oszczędnie, węgotując w swoich szoferkach, jedząc co popadnie, i wydając gdzie popadnie bo przenośnych toalet przecie nie widać! Rozboliła mnie głowa gdy tak kilkanaście minut jechaliśmy wzdłuż tego zdumiewającego węża. Zamrożone miliony dolarów stoją w tej kolejce, wiele towarów się psuje, ilu przewoźników to odstrasza, jakie straty z powodu czekania, kto to oszacuje? To jest bez wątpienia skandal na skalę europejską, ten brak przejść granicznych, bo chyba jednak odpada teza, że Polska i wschód celowo ograniczają i blokują ruch handlowy. Natomiast fotelarze i inni przewoźnicy osobowi ustawiają się w kolejce bardziej łaskawej, na oko czeka się około doby.

Podjeżdżamy z boku, mijając beczelnie monstrualne ogony. Soldat rzuca na nas podejrzliwie okiem, a to leniwe ale czujne oko pamięta carskie przejścia graniczne i blokady stalinowskie. K. na niego kiwa paluszkami. Taki paluszek od stuleci w tym rejonie posiada tylko ważna osobistość, więc żołnierz zebrał dziarsko w kupę swoje czujne lenistwo i ruszył ku nam.

– „To nie widzicie, że my dyplomaty, zrobić dla nas miejsce!” – K. mówi spokojnie, ale głosem zwiniętym w pięść.

Żołnierz przemieszcza karabin by się upoważnić i rozgania wozy pospólstwa, które jak spłoszone owce rozsypują się, a my jedziemy, przez kolejne kontrole, biorąc po drodze papierki i zdając te papierki. W zonie granicznej widać rozpaczliwie wybebeszone autobusy, z których wylewają się fotele, ale też kartofle i masę innego dobra wiezionego z Polski. Na budynku

przypominającym stary dworzec autobusowy z lat 60-tych widnieje niechlujny napis „Respublica Białorus”.

Brześć, teraz Brest, wita budynkami z wielkiej płyty, te nowsze wyglądają z daleka nowocześnie – mówię – gdyby je nagle wykroić z kadru, można by pomyśleć, że to jakiś cywilizowany kraj. Tak mi się odruchowo powiedziało, a na to S., młody biznesmen o pionie humanistycznym, który towarzyszy nam w drodze, mówi celnie – „zapominasz, że oni przecież ścigali się w kosmosie z Amerykanami”. Rzeczywiście, zupełnie o tym zapominałem. ZSSR był obszarem nie do pojęcia, a dzisiaj jego resztki są jeszcze bardziej osobliwe. Przypominają skrzyżowanie sterowanego komputerem silnika z motyką, w stanie pociętym na fragmenty. Białoruś posiada bardzo wyrafinowane zakłady i potrafi produkować nikomu już niepotrzebne cuda techniki, choćby wojskowe celowniki optyczne. To była jednak przede wszystkim wielka montownia.

Polesie w zimowej szacie, wioski na małych wzniesieniach, a wokół wielka pustka. Tu były słynne wody i bagna poleskie. Jeszcze między wojnami Ossendowski tak pisał: „W środku Europy, w dwudziestym wieku – tak bardzo dziwny, egzotyczny kraj!” Pisał pięknie o Polesiu Newerly i oczywiście przed wiekami Syrokomla.

*„Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary.
Snują się niekiedy, jakby senne mary”.*

Mieszkali tu niezwykli ludzie i niezwykle były ich obyczaje, i jaki jędrny kawał historii Polski. Tereny te zostały połknięte przez ZSSR. Wyszuszone wielkie wody i wysuszono duszę tej krainy do dna.

Wsie drewniane, jakby czas stanął, zniknęły tylko zabudowania gospodarskie, bo trzymanie własnego bydła było zakazane w ramach kolchozowej ekonomii. Domki malowane na żółto z niebieskimi okiennicami, kolorowe płoty. Mimo biedy o ileż to bardziej estetyczne od szarości naszej wsi, gdzie tyle murowanej brzydoty. Ale tu chyba właśnie bieda i lodowiec imperium zakonserwowały dawną ludową estetykę.

Wielka płyta, która architektonicznie zniszczyła Polskę, nadal rozszepeca Białoruś. Uderza zamiłowanie do umieszczania wielkich obrazów, zwykle w postaci mozaiki, na czołe niektórych gmachów, gdzie historyczni bohaterowie z komunistami i kosmonautami wyrwywają się do przodu, uskrzydleni jak czerwoni batmani. Ludzie na dole lekko przygarbieni i bez energii, a postacie na ścianach fruną. Można powiedzieć, że to wszystko dofrunęło do swojego garbatego kresu.

Szosa, zwana olimpijską, bo wiedzie do Moskwy, a zbudowano ją na Olimpiadę, jest dwupasmowa, a kojarzy mi się ze Szwajcarią z powodu dziur. Co kilkadziesiąt kilometrów posterunek milicji, bo tu nadal jest milicja a nie policja. Szpetne blaszane budy z uzbrojoną strażą. Przypomina to przekroczenie kolejnych zon w jakimś obozie pracy. Coś obrzydliwego. Na jednym posterunku, milicjant z twarzą jakby cierpiał na przewlekły nieżyt jelit. Każe nam otworzyć bagażnik... K. warczy...

– Nie widzisz co trzymasz w ręku, to paszport dyplomatyczny...

Milicjant oddaje paszport, a minę ma taką jakby go wydalal. Co za obrzydliwa kombinacja u ludzi władzy, mieszanina buty, poczucia wszechmocy i przerażenia wobec władzy wyższej. Bardzo to typowe dla azjatyckiej tyranii. Tam gdzie prawo nie jest prawem, prawem jest milicjant, ale jeśli pomyli się i brutalnie potraktuje kogoś, kto jest wyższy rangą, poniesie straszną karę. Dlatego zgięty palec, który przywołuje, podniesiony głos, ostre spojrzenie w oczy, potrafią zachwiać nawet tęgim chłopem w mundurze. Kiedyś to było prostsze. Bo elegancki wóz był już znakiem władzy, dzisiaj takimi pojazdami jeździ biznes i mafia. Do tej ostatniej trzeba od razu strzelać, albo brać łapówki, puszczać wolno i z szacunkiem.

W drodze powrotnej na terenie niezabudowanym przekroczyliśmy niemiłosiernie limit prędkości. Sprawdzamy morale milicji? Niestety test wypada fatalnie. Nagle miły milicjant chowa skromną sumę do kieszeni i nie daje mandatu.

Uderza gęstość zalesienia kraju Leninami, wszędzie ich pełno. Chyba ani jeden Lenin nie został ścięty? Gdyby ścięli chociaż jednego, ujawniłby się fakt, że Lenin zwykle zrobiony jest z tandetnego betonu. Wódz rewolucji kroczy z wyciągniętą ręką – zawsze żywy i aktywny. Są kraje gdzie najśmielej kroczą

pomniki. Dzisiaj kroczą donikąd. Jak mało jednak budzi emocji źródło nieszczęść tego regionu, skoro nikt nawet nie domalował choćby wąsów tym pomnikom. W Nieświeżu Lenin kroczy przed Ratuszem i Sukiennicami, które wydają się, że jeszcze potrafią mówić po polsku.

Dzisiaj Lenin coraz częściej idzie na tle nowych cerkiewnych kopuł, a w Janowie, zwanym teraz Iwanowem, widnieje Lenin odnowiony, srebrny, który błyszczy na tle świeżo posrebrzonych cerkiewnych kopuł. Ktoś to zjawisko nazwał trafnie prawosławnym ateizmem. Wielka cerkiew budowana jest w Brześciu, jej fundamenty ukazują skalę budowli. Ale drewniane krzyże przy wsiach wzniesione zostały spontanicznie przez ludność, i ten duży w Mińsku.

Największego Lenina widziałem w Pińsku. Tam był przed wojną słynny polski port rzeczny. Jest piękny kościół i o dziwo kilka kawiarni. Jakby bliskość Polski rozkawiarniła to miasteczko, w kraju gdzie kawiarnie raczej nie były praktykowane, bo to miejsce, gdzie mogła wykluć się nieprawomyślna idea. U stóp Lenina marmurowa trybunka do przyjmowania pochodów, już nadgryziona zębem zaniedbania. Stoję na niej i patrzę na brzydkie zabudowania wokół – tylko nieco z boku jaśnieje piękne kolegium jezuickie. I oczyma wyobraźni widzę, co widzieli z tych marmurów miejscowi dygnitarze – smutne ludzkie rzeki rozkrwawione czerwonymi sztandarami. Przy kolegium stoi inny pomnik, traktor. Dostał nawet imię, „Kapitan”. W czasie wojny rozebrany na części przez kolchozowych chłopów, przeżył wojnę i potem przez lata budował komunizm.

Cerkiew, w której wiele pięknych ikon, wydaje się jednak bardziej muzeum niż miejscem żywym, ale nie jest to już muzeum ateizmu.

W Nieświeżu zamek Radziwiłłów, obecnie sanatorium dla żołnierzy. Zbudowany na planie sześciokąta, z fosami, z obronnymi wałami. Zamek zbudował Sierotka Radziwiłł, a za udział Radziwiłła Panie Kochanku w Konfederacji Barskiej, Rosjanie zamek spustoszyli wywożąc co się da.

Wąska grobla prowadzi do budowli a przed nią jest surowy zakaz wjazdu, który rzecz jasna lekceważymy. Przy resztkach ziemnych fortyfikacji stoi pomnik współczesnego żołnierza z

płonącym u stóp zniczem, po drugiej stronie stoi bodaj Nike, z kiepskiego betonu, z wąsiastym sputnikiem w dłoni, a te wąsy układają się w znak zwycięstwa. Na bramie zamku tablica, na niej nie ma ani słowa o Radziwiłłach, a informuje, że w tym miejscu „w roku 1917 był rewolucyjny komitet...”.

Na dziedzińcu wyrosły wysokie drzewa. Wejście zakazane, ale tu zakazy były zawsze tylko dla niektórych, a dzisiaj każdy zakaz jest podminowany. Sowieckim zwyczajem przy drzwiach siedzi pilnująca kobieta, bez względu na wiek z kiepskim stanem uzębienia. Jeśli wchodzi się twardo, z butnym spojrzeniem, to kobieta na wszelki wypadek o nic nie pyta.

Niewiele zostało z dawnej świetności zamku, który upadł już w wieku XVII, a nową świetność w połowie XIX wieku dała mu niemiecka żona kolejnego Radziwiłła, pani de Castellane. Zostały do dziś resztki ciemnego, ciężkiego wystroju z końca wieku. W sali niegdyś balowej, półmrok. Ktoś brzdąka na zaniedbanym pianinie, a te dźwięki chociaż tak niestaranne są jak marmurowe schody do przeszłości.

Tu spotykał się w roku 1926 Piłsudski z ziemiaństwem i arystokracją, by się uwiarygodnić, a Cat Mackiewicz tak o tym pisał w *Słowie Wileńskim*: „To nie sztuka zabić kruką, albo sowę strzelić w głowę, ale sztuka całkiem świeża, trafić z Bezdan do Nieświeża”.

Chociaż to kwiecień, uderza w nas śnieżna zawieja, jakieś nie pamiętam. Samochód tonie w białym тумanie, a ja ślepiąc przez przednią szybę widzę oczyma wyobraźni zarysy końskich zadów, które ciągną sanie. W tym śnieżnym wiosennym szaleństwie, tym bardziej niezwykle wydają się polskie zamki, dwory i kościoły.

Mińsk ma socrealistyczne centrum i monstrualne, betonowe dzielnice z wielkiej płyty. A ten socrealizm, jak to socrealizm w architekturze, starzeje się zaskakująco dobrze. Architektura, może nie z twarzą, lecz z gębą, a gęby bywają ciekawe. Budynki rządowe z lat 30-tych na Placu Niezawisłości, to zaskakująco dobra architektura, z której dumne byłoby każde miasto europejskie.

Ale nawet w tych nowych okropieństwach można doszukać się ornamentu, czegoś z miejscowej sztuki ludowej. Lepiej jest z tym, niż byłoby bez tego. I te okiennice, nawet

w blokach są malowane czasami na niebiesko, z niebieskimi balkonami.

Dom Literatury, budynek pisarzy białoruskich, wielce pokazny, od razu widać, że pisarz był, czy nadal jest to zawód popierany przez państwo. Istotne fragmenty tego zjawiska mieliśmy w Polsce, a pisarze, którzy dożyli kapitalizmu nadal nie mogą się przyzwyczaić, że nie mają szczególnych przywilejów jako inżynierowie dusz lub choćby dusz karmiciele.

Osobliwa zona gdzie spędzimy noc. Nazywa się Drozdy. Teren kilkunastu hektarów starannie odgrodzony i pilnowany jak więzienie. Tu mieszkają dyplomaci i miejscowi dygnitarze. Mieszka tu też podobno żona wieloletniego I sekretarza republiki – Maszerowa, co miał być nawet pierwszym sekretarzem ZSSR, ale zginął w przypadkowym lub nieprzypadkowym wypadku. Drewniane domki, z dala od siebie, wśród wysokiego śniegu. Wygląda to malowniczo, spokojnie. Nieco z boku miasta luksusowa wieś odcięta od zgiełku miasta i od hołoty.

W pobliżu stolicy, Pryłuki, majątek ojca Marii i Józefa Czapskich. Mieści się tam instytut ochrony roślin, pewnie dlatego mury są w dobrym stanie. Jak zawsze u drzwi siedzi przy obskurnym biurku niewiasta dozorująca. Na ścianach holu dwie gazetki ściennie. Jedna opowiada o bohaterach wojny ojczyźnianej, druga o bohaterach pracy. Oglądam je uważnie a kobieta też na nie zerka z szacunkiem odkurzoną przez moją uwagę, nie przychodzi jej do głowy, że ja na to patrzę, jak na żywe muzeum komunizmu.

Wielogodzinne gadanie o prezydencie Łukaszence z ludźmi znającymi się na rzeczy. Dzielenie włosa na czworo, czy wielki cwaniak, człowiek inteligentny, wariat. Tak bodaj twierdzi wielu ludzi z opozycji i zbyt wyrafinowane analizowanie posunięć Łukaszenki wydaje im się śmieszne, kiedy to należy rozpatrywać w kategoriach szaleństwa lub głupoty.

Jest chyba tak i nie tak. Czuję w tym człowieku jakiś złowieszczy spryt, ale na krótki dystans. To sprinter sprytu. Robi wszystko by utrzymać się przy władzy i nasycić się promieniami potęgi dawnego imperium. Ale blokada reform skazuje Białoruś nie tylko na Rosję, ale też na ekonomiczny upadek. X. wspomina jak rozmawiał kiedyś z Łukaszenką a ten

pytał pełen zdziwienia i rozpacz – „dlaczego nie ma przyrostu ekonomicznego choćby o 1%, o ten jeden procencik?”

Jest w tym politycznym spektaklu element groteski. Żona prezydenta nie chce wyprowadzić się z kołchozu w Szklowie. Mówi, że jej mąż „nigdy nie utrzyma się na posadzie dłużej niż dwa lata”. Łukaszenka toczy wojnę z językiem białoruskim, a jego żona mówi, że: „mowa białoruska jest piękna”.

Wymieniając bohaterów narodowych, ciekawe kogo to wymienił prezydent? „Kościszko, Kalinowski (powstaniec styczniowy), Pytrycki i Maszerow”.

X. opowiada, że Łukaszenka żalił mu się na inteligencję. „Jest mu potrzebna a czepia się, że nie mówi dobrze po białorusku. A on się stara mówić, kaleczy, ale mówi. O tego Maszerowa wśród bohaterów, też się czepiali a on go przecie musiał wymienić dla swojego elektoratu”.

Język białoruski płynie podskórną rzeką, a dzisiaj jest świadomie spychany coraz głębiej. Od jakiegoś czasu jednak, już nie wstyd mówić po białorusku na ulicy. W miastach zwykle słyszy się rosyjski, ale w miasteczkach i na wsiach ludzie pytani po białorusku o drogę, odpowiadają w tym języku. Kłótnie o wolną Białoruś odbywają się zwykle po rosyjsku. Trudno powiedzieć, czy bez wielkiego wysiłku białoruski przebiję się przez rosyjski? Język jednak jak wiadomo nie musi stanowić o odrębności narodowej.

Dawny szef Szklowa traktuje kraj jak swój kołchoz, który chce z powodów ekonomicznych, ale też ideowych, przyłączyć do wielkiego rosyjskiego sadu. Cynizm, spryt i pragmatyzm miesza się z naiwnością i z jakimiś skrawkami ideologii. Bo jest w prezydencie nabożny mir dla dawnej potęgi ZSSR. To ma niemal charakter religijny. Wielkość Rosji spłynie na Białoruś, zrusyfikuje ją, czyli ucywilizuje. Pozostanie jednak ogrodzenie z napisem Białoruś, a on Łukaszenka będzie doglądał tego kołchozu. W tym celu trzeba spacyfikować takie fanaberie jak parlament i opozycja.

Chociaż w zachowaniu nowej władzy jest wiele groteski i prowincjonalnej operetki, historia nas uczy, że od groteski do prawdziwego dramatu bywa zaskakująco blisko. Są tacy co przewidują, że pod koniec roku prezydent da rozkaz by strzelać. Gdy rozczaruje się do niego wieś, która go wybrała. I to będzie jego koniec.

Sam prezydent twierdzi, że jest pragmatykiem. Białoruś ekonomicznie nie przeżyje bez Rosji. Ale jeśli nie wprowadza się reform, jeśli biznes jest ograniczany, a gospodarka kołchozowa na wsi ma być kontynuowana, jeśli w końcu nie uwalnia się ludzkiej ekonomicznej energii, a utrwała myślenie kategoriami gospodarki socjalistycznej, to być może rzeczywiście tylko Rosja uchroni ten kraj od śmierci głodowej? Ale Rosja przecież sama ledwie jest w stanie siebie wyżywić, a w dziedzinie demontażu komunizmu stoi o milę dalej od Białorusi. Rosja śmiertelnie boi się brać na swoje barki Białoruś, ale ich odruchy imperialne są bezwarunkowe. Jak mogą połknąć, połykają. A Jelcynowi to na dodatek jest potrzebne do kampanii wyborczej. Czy Duma zatwierdzi tę wspólnotę? Nawet to nie jest pewne. Bo w Rosji obok dawnych odruchów połykania i scalania, jest nowe niezwykle zjawisko. Działają potężne siły odśrodkowe. Rosja jest dzisiaj krajem, który nie potrafi spacyfikować Czeczenii, a też krajem, gdzie współrządzi mafia, gdzie oddzielają się wielkie obszary przemysłowe, kierowane przez nowych feudałów, których pilnują małe, prywatne armie. K. który obserwuje to zjawisko nie tylko swoimi oczami, porównuje rzecz do sytuacji Francji w wieku XIII. A skoro Kreml już nie rządzi kasą, to kto utrzyma Białoruś?

Łukaszenka został wybrany w wolnych wyborach, głównie głosami wsi. I co za paradoks, ten jego wybór, w konkurencji z komunistą Kiebiczem, był dla społeczności jakąś formą buntu. To był ich Szela. Wielokroć bunt źle lokuje swoją miłość, ale kto raz się zbuntował, potrafi się buntować powtórnie. Pierwszy podmuch wolności na Białorusi to lata 80-te, był to jednak głównie ruch inteligencki (Zianon Paźniak). To szok Czernobyla i odkrycie Kuropat, gdzie jest mogiła co najmniej 100 tysięcy ofiar stalinizmu. K. który widział to miejsce, wspomina jeden wzgórek rozkopany przez ludzkie szakale, stos czaszek i gliniane kubeczki ręcznie robione, znak, że w tym dole zakopano chłopów.

Jeszcze jednym paradoksem jest, że prezydent przylepiając się do Rosji, przez Rosję może zostać usunięty, gdy ta ujrzy, że jego myślenie głównie kategoriami własnego interesu rujnuje Białoruś, a tą ruinę musi Rosja dźwigać.

Prezydent jest łysawy, resztki włosów zaczesane na bok

zakrywają tę powszechną męską słabość. Lubi całować, całuje kogo może, kołchozników i polityków. Pewnie żałuje, że już nie całuje się w usta jak za dawnych czasów, więc wyżywa się na policzkach. Jelcyna całował w uniesieniu i wszystkich jego urzędników, kiedy Jelcyn urzędników białoruskich całować nie chciał.

To wszystko można było sobie obejrzeć w telewizji, podczas niezwykle długich uroczystości związanych z umową „o pogłębieniu integracji i wszechstronnym zbliżeniu”. Pomińmy szczegóły tej umowy powołującej „Stowarzyszenie Suwerennych Republik”. Trzeba tylko wspomnieć, że planuje się unifikację systemów ekonomicznych i prawnych.

Poruszająca była ta ceremonia unifikacji. Do Moskwy pojechał pociąg przyjaźni z licznym białoruskim dworem. A na ceremonii Jelcyn i Łukaszenka byli połączeni nie tylko umową, ale też brodatym metropolitą Rosji Aleksiejem. Metropolita Białorusi też był pod ręką. Dostojeństwo Popa jest tak wielkie, że dwaj prezydenci wydawali się niesieni przez niego na ramionach, ale my wiemy, że to pozór, że siły duchowej prawosławni duchowni nie mieli i nie mają za kopiejkę. Wznoszenie toastu! Łukaszenka pije wino jak wódkę, popada w egzaltowane uniesienie i tłucze kieliszek.

W warsztacie gdzie robi się odlewy rzeźb i metaloplastykę. Zbiorowisko form, symboli upadłego imperium, groteskowy śmietnik historii. Rzemieślnicy kończą detale na pomnik Afgańców, tłumaczą się: „dali nam takie zamówienie, ale trochę wstyd”. Gdzie indziej spotykamy robotnika, który przeklina po białorusku Łukaszenkę i jego dwór. „A to swołocz. Sprzedali nas Rosji”. Idzie na manifestację. „Ale jak młodzież dorośnie, to im pokaże. Tak, muszą tu wyrosnąć nowe pokolenia”. Po chwili dodaje jednak: „Ale u mnie już optymizmu niet”.

Jedziemy obejrzeć pomnik. Na cyplu rzeki Swisłocz, gdzie obszerny i ładny widok na miasto. Pomnik otulony plastikową folią. Prowizoryczny napis głosi: „bojowcom – internacjonalistom poległym w Afganistanie”. Czuję, że mnie szlag trafia. Zrozumiałbym hasło: „żołnierzom radzieckim ofiarom sowieckiego imperializmu”. Wchodzimy pod plastik, robota wre, spawanie, kucie, tłok poskręcanych postaci z fragmentami umundurowania i wojskowego rynsztunku.

Monument ma o zgrozo plan cerkiewki, ołtarzyki z wybrzuszonych płaskorzeźb, a w ich wnętrzu rozgrywa się martyrologia. Jest nawet pieta, matka trzyma na kolanach martwego żołnierza z przebitymi dłońmi i stopami. Żołnierze komunistycznego imperium zmieniają się nagle w ofiary walki o wolność, a ich ofiara ma biblijny charakter. Kto by to kiedyś przewidział?

Na godzinę 17-tą jest zapowiedziana manifestacja przeciwko podpisywaniu w Moskwie aktu jednoczenia narodów Rosji i Białorusi. Dochodzę do centrum, ale ulice na Plac Niezawisłości są blokowane przez milicję. Nie mogę się dostać na plac, a tam ma sformować się pochód. Ludzie krążą przeganiani z miejsca na miejsce. Nie ma w nich wielkiego strachu, chociaż wyczuwa się w pełni stopniały lód z lodowca, który opasywał imperium. Jeszcze stąpają ostrożnie by się nie pośliznąć. A lodowiec i tak topnieje szybciej niż można było się spodziewać. Ludzie trzymają flagi biało-czerwono-białe, gdy od niedawna prezydent wprowadził nową flagę, krwawą rosyjskiej, a galopującą „Pogoń” zastąpił postsowieckim symbolem. Ale ta Pogoń jednak nadal galopuje nad bramami wielu urzędów. To już nie te czasy, gdy jednego dnia tworzone nową rzeczywistość. Dzisiaj króluje bałagan. A nad tłumem, nad flagami, nad biegającymi oddziałami milicji, chropowatym głosem megafonów, nad tym całym zgiełkiem wisi w poprzek szerokiej ulicy wielki napis reklamowy – Pierre Cardin.

Na chodniku kobieta i mężczyzna toczą istotny spór polityczny. Ona jest za Łukaszenką i unią z Rosją, bo tylko Rosja pomoże Białorusi przeżyć, a przede wszystkim uchroni ją od fali bandytyzmu. Mężczyzna na to, że ten cały bandytyzm właśnie płynie od nich. Rozmowa była prowadzona po rosyjsku, na najprostszym, podstawowym poziomie fobii i niepokoju tego kraju. Na tym gra dzisiaj władza i opozycja.

Część ludzkich strumieni złała się w pochód, który grupą kilkutysięczną ruszył bocznymi ulicami, ja gapa, mimo tylko rodzimych doświadczeń, zostałem za milicyjnym kordonem. S. i K., którzy mieli więcej szczęścia, wrócili bardzo podekscytowani i zbudowani.

Co za czasy, że trzeba pojechać do Białorusi, by móc przyłączyć się do manifestacji ludu, czuć do niego szczerą

sympatię a niechęć do milicji. U nas już teraz to różnie bywa. Rok temu po raz pierwszy na bruku Warszawy odkryłem ze zdumieniem, że w starciach ulicznych robotników z policją, potrafię czuć się po stronie policji.

W centrum Mińska na ulicy bodaj Lenina polska katedra. Jeszcze niedawno był tam „dom fizykultury” przeznaczony dla sportów walki. Dobudowano kościołowi socrealistyczną fasadę. Wchodzimy do środka, trwa remont, krząta się ksiądz proboszcz Szutkiewicz. Jest kardynał Kazimierz Świątek, arcybiskup Mochylewsko-Miński, biskup Piński. Piękna, uduchowiona twarz, wyrzeźbiona przez mrozy Workuty.

Niedługo zburzona zostanie socrealistyczna atrapa i odsłonięta barokowa fasada tego kościoła jezuitów, a też dobuduje się starą wieżę. Dopiero co z czoła budowli strącono czerwoną gwiazdę. Rozsypała się na setki kawałków. Myślę, byle zbyt wiele jej skrawków nie powpadało ludziom do oczu. A jednak, czerwone gwiazdy są strącane na ulicy Lenina z fasady kościoła.

Rozmawiamy o niezwykle subtelnych i trudnych problemach katolickiego kościoła na tych terenach, a polskich kościołów tu niezwykle wiele, z głębokim korzeniem, który spleta się z korzeniami Wawelu.

Kardynał opowiada o egzaminowaniu kandydatów do wyższego seminarium w Grodnie. Na pytanie, co wiesz o religii? – zdarza się odpowiedź – „słyszałem, że Boga nie ma”. „To nie jest taka zła odpowiedź, to dobrze rokuje na przyszłość” – mówi Kardynał – „to znak, że ten młody człowiek w ogóle wie, że istnieje pojęcie Boga”.

Rozmawiamy o Związku Polaków na Białorusi, a jest ich tu aż pół miliona. To potęga, ale jesteśmy bardzo skłóceni, a jakżeż by inaczej.

Na terenie stolicy w Łosynie, pałac Pruszyńskich, dwór piękny i malowniczo położony, w stanie upadku, ale na szczęście w remoncie. Trzeba przyznać, że mimo zapaści ekonomicznej trochę się na Białorusi ratuje i odnawia. Nasza obecność i dobry samochód, wzbudziły małe poruszenie okolicznej ludności. Ujawniają swoje ukryte marzenia – „moglibyście otworzyć restaurację”. Tu ciągle liczy się na czyjeś zewnętrzne siły, nie na swoje.

W niewielkim mieście odwiedzamy starą kobietę, Polkę z Wilna. Losy zagnały ją na jedną z partyzanckich wysp na bagnach. Wyszła za mąż za jednego z nich i tak została na Białorusi. Ciężki, smutny los. Ze szlacheckiej rodziny, całe życie sprzątała na dworcu, który jest tuż obok jej ubogiego domku bez wygod. Taki dworzec to było ważne miejsce w ZSSR, tam nawet musiało być czysto. Opowieść o tym, jak rozpręgała się powaga dworca, jak stracił na znaczeniu główny zawiadowca, jak rozmyły się prawa do jabłek z dworcowej jabłoni, wiele mówi o zmianach ostatnich lat.

W domku na ścianie wisi głośnik zwany „kołchoźnikiem”. Cała miejscowość, cała Białoruś, cały obszar ZSSR miał takie głośniki montowane w czasach, gdy świeciło nad ZSSR słońce ludzkości. Był tam, tu jest nadal, jeden centralny program. Kiedyś lała się z głośnika tylko propaganda, teraz jest kontrolowana przez Prezydenta nuda. Ale kobieta ma też ledwie żywy telewizor, gdzie najciekawsze są rosyjskie programy polityczne.

Pokoik i kuchnia, którą wypełnia drewniany warsztat tkacki. Dorabia też dziś do emerytury, wczoraj do pensji, na małym kawałku ziemi. Rosną tam wiśnie, sady pomidory i kartofle. I pomyśleć, te miniaturowe działki uratowały Imperium od śmierci głodowej i nadal pozwalają przeżyć. Kobieta mówi: „mam dwóch wielkich wrogów, nie mogę nawet na nich patrzeć. Jeden to piec, co mi gaśnie, a drugi to ten Łukaszenka”.

Widzę ludzi z telefonami komórkowymi, czyli jest już taka sieć, a na balkonach wielu domów widnieją satelitarne anteny, jest też dostępna telewizja kablowa z wieloma światowymi programami. Nie da się więc informacji zacisnąć w jednej pięści, już nie te czasy. W jakimś barze słyszałem jak niechlujnie ubrany mężczyzna zachwalał innym obdartusom kabel z programem Polsat: „tyle tam dobrych filmów, a język polski każdy zrozumie”.

Dlatego chyba mało realne na długi dystans są próby wprowadzenia cenzury, kontrolowania telewizji. Ale pułkownikowi Zamietialinowi wiele póki co udało się pablokować i ocenzurować. Wszystkich szczelin już się nie da zatkać, a dżuma płynie nawet z Rosji. Oto dumano jak wstrzymać

napływ pewnych rosyjskich periodyków, gdy w *Komsomolskiej Prawdzie* ktoś ironicznie i beczelnie napisał, że Łukaszenka chce zostać prezydentem Rosji.

Białoruś ma krótką, niepewną historię swej państwowości. Nawet jest problem z nazwą kraju. Obecna jest podobno wymyślona przez carów. W latach 60-tych emigracja proponowała zmianę na nazwę starego plemienia Krywicze, albo na Wielkolitowcy.

Doprawdy trudno się dziwić, że tak wątko to dzisiaj wygląda. Ale kto wie czy gwałtowny zwrot Łukaszenki ku Rosji, czy próby rządów kołchozowo-dyktatorskich, w kraju, gdzie jednak już istnieje parlament, upokarzany, słaby, ale mimo wszystko istnieje, czy to paradoksalnie nie zaczną rodzić poczucia wspólnoty narodowej szybciej, niż brak tej presji. Poprzednia i ta manifestacja, są ważnym znakiem. I słowa mówione w stronę prezydenta, w przemówieniach na demonstracji, (szkoda, że przy okazji obrażono Cyganów): „Nie będzie jakiś Cygan kupczył moim krajem, za który oddali życie moi przodkowie, jak kupczy się kradzionym koniem”.

Cała ta gra o Białoruś jest dla Polski sprawą gardłową. Czego nie widać zresztą w polskiej polityce zagranicznej, która boję się jest słaba, co jest określeniem dyplomatycznym. Nasze społeczeństwo też zupełnie nie interesuje się zdarzeniami za wschodnią granicą. Jakby wschód przestał istnieć, wszyscy są tak zajęci walką o dorobienie się lub o przetrwanie. A przecież toczy się gra. Kto będzie sąsiadem Polski? Duże niezależne państwo, którego społeczność jest do Polski nastawiona niezwykle życzliwie, czy to będzie Rosja? Teraz nagle znowu „odzyskaliśmy” granicę z Rosją. Naiwnością jednak byłoby mieć pewność na jak długo, jaki diabeł czy anioł wyskoczy z kotła dawnego imperium.

Wracamy do Polski, której szarość rozogniona jest przez pożary kapitalizmu, które płoną tylko w niektórych miejscach. Gdzie indziej on krzawi się niechlujnie, nawet brutalnie, ale na tle Białorusi nawet to krzewienie się jest optymistyczne.

SMECZ

Sprawy i troski

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

Biblioteka im. Domeyki, Buenos Aires – Argentyna	50 USD
Centrala Zaopatrzenia Energetyki i Węgla Brunatnego, Warszawa	1.000 ZŁ
Książka Szkolna, sp. z o.o., Kielce	1.500 ZŁ
Libreria Polaca, Buenos Aires – Argentyna	50 USD
Nova s.c., Rzeszów	3.000 ZŁ
Sezam s.c.; Kraków	5.000 ZŁ
Signum Polonicum – Klub Miłośników Dawnego Orzęza Polskiego, Zawiercie	.60 ZŁ
Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań	1.000 ZŁ
Wkra sp. z o.o. hurtownia, Warszawa	8.000 ZŁ
WSiP – Service s.c., Wrocław	6.000 ZŁ
Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa	10.000 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Bartnikowski Bogdan, Zalesie Górne	50 ZŁ
Biderman Alfred, Poznań	60 ZŁ
Czartoryski Tadeusz, Jastrzębie Zdrój	50 ZŁ
Derdowski Mirosław, Bydgoszcz	50 ZŁ
Giedroyc Michał, Oxford – Wielka Brytania	100 GBP
Horodyska Teresa, Warszawa	60 ZŁ
Jędrysek Eleonora, Nowy Jork – USA	100 USD
Kłossowscy Małgorzata i Andrzej, Warszawa	80 ZŁ
Kossakowski Jacek, Warszawa	120 ZŁ
Kowalczyk Leszek, Warszawa	35 ZŁ

Kowalski Zbigniew, Łódź	100 ZŁ
Kruk Maria i Lesław, Gdynia-Orłowo	20 ZŁ
Krzystanek Janina, Trzemeszno	20 ZŁ
Mantay Jarosław, Płock	20 ZŁ
Mazur Grzegorz, Kraków	25 ZŁ
Niedźwiedz Kazimierz, Warszawa	100 ZŁ
Ofierska Maria, Warszawa	100 ZŁ
Paczkowski Andrzej, Warszawa	50 ZŁ
Pawlak Florian, Mińsk Mazowiecki	15 ZŁ
Pietruszka Maria, Tychy	50 ZŁ
Ruszczak Andrzej, Gdańsk	55 ZŁ
Ruszczak Jadwiga, Gdańsk	55 ZŁ
Soldrowski Andrzej, Chorzów	30 ZŁ
Szestakowska Janina, Warszawa	36 ZŁ
Talarczyk Marian, Port Augusta – Australia	200 FRF
Timoszewicz Jerzy, Warszawa	120 ZŁ
Trojanowiczowa Zofia, Poznań	100 ZŁ
Twarosz Ryszard, Kraków	100 ZŁ
Uziembło Aniela, Warszawa	60 ZŁ

Apelujemy do Czytelników *Kultury* w kraju i za granicą o wsparcie naszych działań. Wystarczy zadeklarować wysokość rocznej składki członkowskiej i przekazać odpowiednie kwoty na nasze konto:

Bank Zachodni S.A. II Oddział Warszawa: 380014-7520-132-3000

Wpłaty z zagranicy prosimy przysyłać bezpośrednio na:

Fundusz Kultury w Instytucie Literackim w Paryżu.

Deklaracje prosimy kierować listownie na adres naszego biura lub na adres Instytutu Literackiego. Wszystkie wpłaty zostaną potwierdzone przesłaniem legitymacji członka wspierającego Towarzystwo. Darowizny te zgodnie z obowiązującymi w Polsce ustawami o podatku dochodowym od osób prawnych i fizycznych podlegają odliczeniu do wysokości 15% dochodu przed opodatkowaniem.

Jednocześnie informujemy, że od początku listopada 1995 biuro Towarzystwa mieści się pod adresem:

00-511 Warszawa, ul. Nowogrodzka 22 p. 124

tel. 621 67 51 fax. 621 87 50

Biuro czynne jest od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00-15.00

Warszawa, kwiecień 1996

Prezes Zarządu Marek KRAWCZYK

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

2 kwietnia 1996 r. Borys Jelcyn puścił się w tan na moskiewskim placu. Prezydent Rosji wyrażał radość z zawarcia układu z Białorusią. Na kilka dni przed tym tańcem, miało miejsce w Moskwie podpisanie układu o „pogłębieniu gospodarczej i humanitarnej integracji” Białorusi, Kazachstanu, Kirgistanu i Rosji. Nie wszystkie te umowy są jednakowe. Układ z Białorusią otwiera drogę do zjednoczenia, porozumienie z Ałma Atą i Biszkekiem podkreśla pełną suwerenność Kazachstanu i Kirgizji.

W marcu *Gazeta Wyborcza* opublikowała wywiad z dyrektorem rządowego Ośrodka Badań Wschodnich, Markiem Karpem. Mowa w nim jest między innymi o tym, że Białoruś domaga się konfederacji, a Moskwa chce jej uniknąć. – Aleksander Łukaszenka – informuje Marek Karp – robi wszystko, deklaruje, że na kolanach pójdzie do Rosji. A z Moskwy wciąż „nie”. Po dziesięciu dniach Moskwa powiedziała wreszcie – tak. Tego ekspert nie przewidział. Ani słowem nie wspomniał o nadchodzących umowach z państwami środkowoazjatyckimi, choć można je było przewidzieć. Na początku roku wystąpił w rosyjskiej Akademii Nauk prezydent Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew i wspominał o porozumieniu z prezydentem Rosji, które może stać się podstawą do przejścia „od związku sowieckiego do związku euroazjatyckiego”. Proces toczy się powoli. Białoruś wprasza się do związku, a Moskwie się nie spieszy. Historycy pamiętają jednak, że w połowie XVII wieku zbuntowana przeciw Polsce Ukraina bardzo długo prosiła cara, aby ją przyjął pod wysokie berło. A Aleksiej Michajłowicz cierpliwie

czekał. Bismarck, który obserwował Rosję z okien poselstwa niemieckiego w Petersburgu, zauważył: Rosjanie zaprzęgają powoli, ale jadą kłusem. Do jazdy jeszcze daleko, ale zaprząg już się zaczął. Proces integracyjny ruszył. Wiosną 1996 nabrał nawet rozpędu, bo stał się przedmiotem gry wyborczej. Pierwszy krok zrobili komuniści. Zgromadzona w Dumie większość anulowała przyjętą w Białowieży uchwałę o rozwiązaniu ZSSR. Była to głupota polityczna, nie dlatego, że komuniści postanowili wskrzesić ZSSR, a dlatego, że zdradzili się z takim zamiarem, zanim mieli siły wprowadzić go w życie. W odpowiedzi nastąpiły realne akty państwowe prezydenta Jelcyna. Proces dośrodkowy toczy się równolegle z procesem odśrodkowym. Wszyscy wiedzą, że stanowisko Ukrainy odgrywa ważną rolę. Jej sprzeciw wobec integracji powstrzymuje proces, ale go nie zatrzymuje. W ostatnim czasie zwiększyły się poważnie wpływy rosyjskie w Bułgarii. Borys Jelcyn pozwolił sobie pomarzyć, że Bułgaria mogłaby pójść w ślady Białorusi, na co Sofia zaprotestowała. Postępy ruchu dośrodkowego zależą przede wszystkim od sytuacji w Rosji, od jej możliwości politycznych i ekonomicznych. Rzekomy rychły rozpad Rosji przestał być przedmiotem rozmów, ale tendencja do rozległej autonomii regionów nabiera siły. Dotyczy to na przykład Syberii i dalekiego Wschodu. Prezydent Tatarstanu Mintimer Szajmijew wywalczył sobie znaczną samodzielność, nie psując zarazem stosunków z centralą. Stosunki Kazania z Moskwą są przeciwieństwem stosunków Moskwy z Groznym. Mimo to tatarscy nacjonaliści opozycyjni wobec Szajmijewa, szermując hasłem – moralnego separatyzmu i opowiadając się za wzorem czeczeńskim. Rodzi się też i nabiera kształtu narodowa ideologia wschodnich Finów. Termin ten, który wszedł w użycie niedawno, określa narody Powołża: Maryjczyków, Mordwinów, Udmurtów, Komiaków i kilka nielicznych narodów Północy. O ile w Tatarii i Baskirii głębią nacjonalizmu są często różne odmiany islamu, o tyle wschodni Finowie opowiadają się za powrotem do religii przodków, czyli pogaństwa. Nie są to apele teoretyczne – ok. 8% Maryjczyków wyznaje czyste pogaństwo, 21% zaś uprawia kult zarówno pogański jak prawosławny. Partia Żyrynowskiego ostrzega przed niebezpieczeństwem „ugro-fińskiego

pierścienia wokół Rosji” i wzywa, aby zamiast autonomicznych, narodowych republik tworzyć gubernie.

Postępy „integracji” idą na kredyt kandydata do prezydentury Borysa Jelcyna. Kiedy zdecydował, że będzie kandydował do drugiej kadencji, prezydent trzeźwo ocenił swoje szanse: jeżeli nie zakończy wojny w Czeczenii, o zwycięstwie nie ma mowy. Oznajmił więc, że ma siedem projektów rozwiązania konfliktu czeczeńskiego. 31-go marca ujawnił plan, który w końcu wybrał: negocjacje z przeciwnikiem, umowa o zawieszeniu działań wojennych, następnie wybory. Na początku Borys Jelcyn oznajmił, że rozpoczął negocjacje z partyzantami czeczeńskimi poprzez pośredników. Kilka dni później zgodził się na otwarcie bezpośrednich rozmów z Dżocharem Dudajewem.

W połowie kwietnia wciąż trwają walki, wojska rosyjskie bombardują osady ludzkie w Czeczenii. Można jednak przypuszczać, że drogę do rozmów otwarto. Będą one długie. Moskwa gotowa jest zgodzić się na bardzo szeroką autonomię Czeczenii, nie godzi się tylko na pełną suwerenność. Dudajew natomiast upiera się przy całkowitej niezawisłości. Są to, naturalnie, pozycje wyjściowe, które mogą się zmienić w toku negocjacji.

Moskiewska gazeta *Wiek* zatytułowała charakterystyki kandydatów na prezydenta jak ogłoszenie matrymonialne: – Samotne, porządne, zmęczone życiem państwo pozna energicznego, przystojnego polityka. Kandydatów zgłosiło się sporo, ale już widać, że na poważne zainteresowanie wyborców może liczyć tylko dwóch: Borys Jelcyn i Giennadij Ziuganow. Słuchy o zmianie daty wyborów ucichły, choć niespodzianka między dwiema turami nie jest wykluczona.

Przedwyborcza strategia Borysa Jelcyna jest prosta: zagrozić drogę komunistom. Jeśli zajmą stanowisko prezydenta, będą mieli pełną władzę. Komuniści, jak zwykle, prowadzą podwójną kampanię: Zachodowi przywódca ich partii wmawia, że będzie kontynuował reformy, na użytek wewnętrzny zaś obiecuje, że przywróci stare dobre czasy. Przymilne obietnice Ziuganowa na użytek Zachodu działają za granicami Rosji, zaś przykład Polski, która wybrała postkomunistów, wpływa na samą Rosję. W wywiadzie Marka Karpa, który cytowałem powyżej, problem rosyjskich

wyborów został zdecydowany. Kimkolwiek by był następca obecnego prezydenta, uważa polski ekspert, nie uda mu się zmienić systemu, który okrzepł za rządów Jelcyna. Na pytanie, czy wobec tego Ziuganow będzie Jelcynem bis? – Marek Karp odpowiada: – Oczywiście.

Komsomolska Prawda z 5 marca 1996 ogłosiła wyniki sondażu, przeprowadzonego wśród Polaków na temat wyborów w Rosji. 52% indagowanych nie chciałoby, żeby prezydentem został Ziuganow, 3% ucieszyłoby się „za wschodnich sąsiadów”.

Potocznym argumentem wczorajszych demokratów, którym brak poważnego kandydata, jest: a w czym Jelcyn jest lepszy od Ziuganowa? Na poparcie dodają, że obecny prezydent przechylił nacjonalistyczne hasła komunistów, a jego reformy są niezdecydowane i niekonsekwentne. Koronny argument zaś brzmi: gorzej być nie może, powrotu do przeszłości nie ma. Są to argumenty ludzi przegranych w walce z zawodowymi politykami. Borysowi Jelcynowi jest co zarzucać. Wystarczy jednak zapoznać się z poglądami Ziuganowa, by przypomnieć sobie mądrość Leca: – Znalazłszy się na dnie, usłyszałem pukanie z dołu.

Giennadij Ziuganow puka z dołu. Salę, w której przywódca komunistów rosyjskich ogłosił swoją kandydaturę, zdobił czerwony transparent z hasłem: „Za naszą sowiecką Ojczyznę”. Nad nim wisiało drugie hasło: „Rosja, Ojczyzna, Naród”. Kandydat oznajmił, że chce zbawić Rosję od „nienasyconych grabieżców”, którzy ją rozszarpują i usiłują „zmienić na obcą, zamorską modłę”. Prowincjonalny prawnik Władimir Isakow, o którym mówią, że po zwycięstwie Ziuganowa będzie ministrem spraw zagranicznych, występuje jako felietonista w piśmie *Zawtra* (Jutro), którego naczelnym redaktorem marzy o posadzie ministra prasy, pisze otwarcie to, o czym Ziuganow marzy skrycie. Oto fragment felietonu z marca 1996: „Słuchaj prawniku, i powiedz co ze mną będzie, jeśli nie zwyciężę w wyborach? – Sądzić Was będą, Borysie Nikołajewiczu... A tych tam, Burbulisa, Szachraja, Kozyriewa, też oddadzą pod sąd? – Obowiązkowo. Mamy przecie państwo prawa.”

Giennadij Ziuganow wysoko ceni działalność Stalina: „Dorastałem po wojnie, za moich czasów represji nie było”.

Tygodnikowi *Spiegel* Ziuganow zdradził: „Dziś więcej jest ofiar represji w łagrach, niż było za Stalina”. O takich wypowiedziach Dostojewski pisał: „Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno”.

W wywiadzie dla *Newsweeka* (marzec 1996) Giennadij Ziuganow wspomina m.in. o kwestii narodowej. Nie uważa, że „Związek Sowiecki nie był związkiem dobrowolnym”. Zaś ci, którym się nie podoba, to niewdzięczne narody. Na przykład: „Bałtowie nie dostali od Boga ani bogactw mineralnych, ani gęstych lasów, ani niczego poza piachem i morzem. Wszystko, co mają, dostali od Rosji”. Bóg, należy rozumieć, Bałtów obdzielił, ale Rosja okazała się znacznie szczodrzejsza.

Program zagraniczny komunistów rosyjskich wykłada *Zawtra* zwięźle: Rosja znalazła się pod okupacją Ameryki, co jest nie do wytrzymania. Rozmowy prezydenta litewskiego i polskiego w Wilnie (*Zawtra* Nr 11, marzec 1996) pismo skomentowało następująco: „Polska jawnie zmierza do dawnych granic Królestwa Polsko-Litewskiego”.

Ważniejszy jest program wewnętrzny. Pełna repriwatyżacja nie wydaje się dziś możliwa. Program domaga się nacjonalizacji „fundamentalnych gałęzi przemysłu”, np. energetyki. Walkę z własnością prywatną (nie należącą do komunistów) Ziuganow proponuje prowadzić za pomocą „podatku progresywnego”. To samo zrobił Stalin na początku lat 20-tych. Szykuje się (z góry) ustawa o pociągnięciu do odpowiedzialności osób winnych oczerniania historii i ataków na wielkich myślicieli jakimi byli Lenin i Stalin oraz na kierownictwo partii komunistycznej. Szykują się i inne przydatne Rosji, Ojczyźnie i Narodowi prawa, uchwały i ukazy. Grunt jednak to zwyciężyć w wyborach.

Czy możliwy jest wielki skok do tyłu, w przeszłość? Wielu ludzi pociesza się, że nie. Znowu wstrząs, znowu katastrofa gospodarcza? To jest argument racjonalny. Historia partii komunistycznych pokazała jednak, że nie kierują się one przesłankami racjonalnymi. Komunistów interesuje tylko władza, władza totalna.

Politolodzy używają terminu „korzeni trawy”. Nazywają tak podściółkę, jaką stanowią dla wszelkich partii i organizacji ich podstawowe struktury. Po krótkim okresie oszołomienia

rosyjska partia komunistyczna w znacznym stopniu odbudowała swoją podściółkę. Przed wyborami zjazd partii uchwalił: „Centralny Komitet Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, komitety republik, komitety krajowe i miejskie oraz podstawowe organizacje partyjne winny mobilizować wszystkie swe siły kadrowe, materialne, informacyjne i intelektualne, aby jak najskuteczniej przeprowadzić kampanię wyborczą”. Postanowić rzecz jasna nie trudno, wygrać wybory – trudniej. Tym niemniej faktem jest, że Rosja ma dziś tylko jedną partię, dysponującą rozległą podściółką trawy.

Mówi się też, że cofnąć się nie sposób, bo ludzie się zmienili, oduczili się strachu. Nie jest to argument przekonujący. Ustrój sowiecki w stanie czystym trwał ponad siedemdziesiąt lat. Strach osadził się w genach człowieka sowieckiego. Wystarczy tylko włączyć odpowiedni mechanizm. Michaił Wołoszyn, wydawca opozycyjnego pisma, które ukazuje się w Mińsku po angielsku (a ukazuje się, bo cenzorzy nie czytają w obcych językach), wytłumaczył tygodnikowi *Time* (15.4.96): „Totalitaryzm wisi w powietrzu. Ludzie przestali mówić, czuje się strach”.

Banalizacja komunizmu jest głównym niebezpieczeństwem naszych czasów.

12.4.1996

Adam KRUCZEK

Wiosna z przymrozkami

Dzwony Czernobyla

Dziesiąta rocznica katastrofy czernobylskiej wyrwała świat na chwilę z obojętności wobec tego nieszczęścia, które ciąży nad Ukrainą i stale zbiera żniwo śmierci nie tylko w samym epicentrum zatrucia ludzi i przyrody. Zdaniem leka-

rzy nie można jeszcze stwierdzić jakie będą do końca skutki, które teraz występują głównie jako ogólne zmniejszenie odporności organizmu na wszelkiego rodzaju choroby i gwałtowny wzrost zachorowań na raka, głównie tarczycy i na białaczkę.

Duża pomoc charytatywna w postaci leków i zaproszeń na leczenie, szczególnie dla chorych i zagrożonych dzieci, nadeszła z dwóch krajów: Niemiec i Kuby. Następnie pomoc emigracji ukraińskiej z USA i Kanady. Większość krajów europejskich, jak Francja, Anglia czy Włochy odniosły się do następstw Czernobyla całkowicie egoistycznie, bez wyrazów najmniejszego współczucia. Mniej więcej taka była i jest reakcja krajów sąsiadujących z Ukrainą. Jest to nieco dziwne stanowisko, bo kraje te przeważnie nie mają siłowni atomowych a więc nie posiadają też silnych *lobby* broniących energii nuklearnej i działających systematycznie na rzecz pomniejszania skutków katastrofy czernobylskiej.

Zachód, jak w wielu zresztą sprawach i w tej kwestii choruje na schizofrenię. Z jednej strony twierdzi, że dalsze istnienie Czernobyla stanowi śmiertelne zagrożenie dla ludzkości i żąda jak najszybszej likwidacji tej zmy, a z drugiej strony wymiguje się jak może od finansowania tego przedsięwzięcia dobrze wiedząc, że Ukraina nie ma na to pieniędzy. Inne koła zachodnie, które chciałyby na miejscu Czernobyla wybudować siłownię własnego typu, licząc na późniejsze dochody, starają się też obniżyć poprzeczkę strachu w swoich społeczeństwach. Tylko zachodnie ruchy ekologiczne i partie „zielonych” biją na alarm, ale nie mają potrzebnej siły przebicia, zwłaszcza w sferze materialnej.

Na Ukrainie też nie wszystko wygląda cacy. Dawny wspólny front przeciwko nieokiełznanemu atomowi uległ rozbiciu. Rząd robi wiele hałasu, ale nie może działać konkretnie i czeka na bogatego wujaszka z Zachodu.

Na trzecim polu gry wyrasta ukraińskie *lobby* atomowe, zainteresowane w utrzymaniu Czernobyla i rozroście energii jądrowej.

W przepełnionych szpitalach Kijowa, Żytomierza i Winnicy tysiące dzieci znajduje się między życiem i śmiercią. W tym samym czasie politycy na wschodzie i zachodzie minimalizują niebezpieczeństwo niewidzialnej śmierci i kłócą

się o koszty finansowania usunięcia groźby ponownego nieszczęścia. Rosja zaś, która ogłosiła się sukcesorem Związku Sowieckiego, nie chce nic wiedzieć o odpowiedzialności za Czernobyl zbudowany swego czasu na rozkaz Kremla.

Za kilka dni, w dziesiątą rocznicę fatalnej eksplozji, we wszystkich cerkwiach i kościołach Ukrainy zadzwonią dzwony. Odprawione będą msze żałobne. Ale poza tym religijnym rytuałem hierarchie kościelne i kler faktycznie niczego nie uczyniły, co by mogło ulżyć doli ofiar i wzmóc akcję pomocy z zagranicy. Nie rozwinęły akcji charytatywnej, biskupi nie zwrócili się z apelem do pobratymczych hierarchii Kościołów ani do Watykanu, ani do patriarchów prawosławnych, ani do biskupów ewangelickich. I nie zabrali się do akcji zwalczania korupcji i złodziejstwa, które rozpanoszyły się nawet wśród nędzy i nieszczęść Czernobyla. Tylko nieustraszony szermierz sprawiedliwości w parlamencie, pułkownik Omelczenko, ujawnił na dwa tygodnie przed smutnym jubileuszem aferę kradzieży z funduszy publicznych przeznaczonych na pomoc dla ofiar katastrofy. Dotyczy to kilku ministrów, wiceministrów i całej plejady wysokich rangą biurokratów. Omelczenko żąda postawienia winnych przed sąd, ale czy do tego dojdzie? Bardzo wątpię. Sitwa łajdaków nad Dnieprem była dotąd zawsze silniejsza od litery prawa. A do niezawisłego sądownictwa na Ukrainie jeszcze tak daleko jak do podróży na księżyc.

Spór o konstytucję

Od miesięcy trwa konflikt między prezydentem Kuczmą i parlamentem pod przewodnictwem marksistowskiego przywódcy, Moroza. Państwo ukraińskie znajduje się pod tym względem jeszcze w gorszej sytuacji niż Polska, gdzie również istnieje jeszcze prowizorium konstytucyjne. Na Ukrainie jest jednak o wiele gorzej, bo nie tylko, że nie ma tu porządnej ustawy zasadniczej, ale brakuje nawet instytucji prawnych regulujących spory na wierzchołkach władzy, w rodzaju Trybunału Konstytucyjnego.

Już przed rokiem powstał ostry konflikt między prezydentem a Najwyższą Radą. Kuczma wprowadził za przykła-

dem Polski ukraińską odmianę Małej Konstytucji na okres przejściowy. Wówczas lewica komunistyczno-socjalistyczna, posiadająca większość w Radzie, wypowiedziała mu wojnę. Prezydent chciał wygrać walkę drogą plebiscytu, do tego jednak nie doszło. Posłowie z umiarkowanych frakcji podjęli akcję mediacyjną i w czerwcu ubiegłego roku doszło do podpisania układu rozjemczego pod nazwą „Uгода konstytucyjna” obowiązującego jeden rok. W międzyczasie miała zostać uchwalona nowa konstytucja. Uformowano odpowiednią komisję w parlamencie, która zajęła się opracowywaniem projektu.

Kuczma domagał się przyjęcia nieco zmodyfikowanego modelu francuskiego z mocnym prezydentem i zależnym od niego rządem. Komisja te dezyderaty Kuczmy w dużym stopniu zrealizowała. System parlamentarny miałby być dwuizbowy czyli składający się z parlamentu i senatu.

Nie wszyscy z tego projektu byli zadowoleni. Zarówno rosyjscy szowiniści na Krymie jak też autochtoni – krymscy Tatarzy, skarżyli się na niedostateczne uregulowanie roli i funkcji samorządu. Ale najostrzejsze głosy negatywne rozległy się ze strony lewicy (komuniści, socjaliści i większość rolników), która ośmielona aktywnością swych rosyjskich towarzyszy spod znaku Żiuganowa i żerująca na niezadowoleniu społeczeństwa ukraińskiego, zwłaszcza rencistów i urzędników skazanych na żebrackie zarobki, których państwo w dodatku od miesięcy nie płaci, postanowiła utracić projekt. Lewica odwleka debaty parlamentarne (absencja), dążąc do upływu kadencji ugody konstytucyjnej a w konsekwencji do zmiany władzy.

Zwolennicy demokracji pragną się temu przeciwstawić. Są gotowi do połknięcia tych wszystkich elementów projektu, które im nie pasują, jak na przykład zbyt dużą koncentrację władzy w rękach prezydenta, byle tylko zapewnić państwu stabilizację polityczną. Kuczma grozi znowu plebiscytem, chociaż demokraci nie bardzo są pewni odniesienia zwycięstwa nad lewicą przy pomocy takiej procedury. Proponują uchwalenie konstytucji zwykłą większością głosów i montują za kulisami takie rozwiązywanie kryzysu.

Kłopoty z Rosją i Białorusią

Chociaż Ukraina, jak dotąd, nie stała się przedmiotem walki wyborczej pomiędzy kandydatami na urząd prezydenta w Rosji, pośrednio ten okres nie wpływa na polepszenie stosunków rosyjsko-ukraińskich. Jednym z przejawów ochłodzenia jest ponowna odmowa Jelcyna przyjazdu do Kijowa dla podpisania od dawna przygotowywanego traktatu między państwowego, regulującego wzajemne relacje na dziś i jutro. Wydawało się, że po ostatnich spotkaniach komisji rządowych na szczęblu szefów rządów i po podpisaniu dodatkowych umów w kwestii podziału Floty Czarnomorskiej, wszystko już zostało ostatecznie zaklepane i wymaga tylko podpisów ze strony Jelcyna i Kuczmy. Nawet data przyjazdu prezydenta Rosji do Kijowa była też zapowiedziana na 4-go kwietnia, ale w przeddzień wizyty Jelcyn wycofał się, tłumacząc nową zwłokę brakiem ostatecznych ustaleń właśnie co do Floty Czarnomorskiej. Oznacza to wycofanie zgody Kremla na wydzierzawienie Rosji, na określony czas, baz w Sewastopolu, mniej więcej w podobny sposób jak to czyni Japonia z Ameryką na wyspie Okinawa. Ale możliwy jest też inny wariant, a mianowicie, że Jelcyn po prostu boi się porozumienia z Ukrainą według zasady równouprawnienia, by mu nacjonałści Żyrynowskiego i nacjonal-bolszewicy Ziuganowa nie wzięli tego za złe i wykorzystali w walce wyborczej jako polityczną amunicję przeciwko niemu. Ukraina natomiast chciałaby aby traktat z Rosją doszedł do skutku przed wyborami według zasady – lepiej z Jelcynem teraz, bo potem nie wiadomo co będzie.

Z drugiej strony, Borys Jelcyn zademonstrował, po sławetnej uchwale Dumy w sprawie unieważnienia układu z Białowieżą likwidującego Związek Sowiecki, serię posunięć, które nie wywołały co prawda w Kijowie paniki, ale zmusiły elitę polityczną Ukrainy do refleksji nad dalszą orientacją w polityce zagranicznej państwa. Dotyczy to zarówno tak zwanego Paktu Czterech pomiędzy Rosją, Kazachstanem, Kirgistanem i Białorusią, wdrażającego nowy typ integracji poza ramami Wspólnoty Niezawisłych Państw, jak i jeszcze dalej idącej umowy Moskwy z Mińskiem o fuzji Rosji z

Białorusią. Rząd ukraiński ogłosił po tym wydarzeniu uspokajające oświadczenie, ale wielu polityków i publicystów w Kijowie i we Lwowie uważa, że geopolityczna sytuacja Ukrainy, jak również Polski, uległa pogorszeniu. Radykalni demokraci, jak przywódca Ruchu, Władysław Czornowil, oferują białoruskim patriotom pomoc w walce o przywrócenie niepodległości, ale sprawa realizacji takiego przedsięwzięcia jest co najmniej wątpliwa. Wymagałoby to bardziej przemyślanych akcji ze strony sąsiadów nieszczęsnego kraju, a więc Ukrainy, Polski i Litwy. Niestety, we wszystkich trzech krajach nie ma mężów stanu na miarę takiego zadania. Sytuacja wymagałaby od Polski i Ukrainy automatycznego zbliżenia we wszystkich sferach życia politycznego i gospodarczego. Gdyby dzisiaj żyli ludzie o formacie Piłsudskiego i Petlury, na pewno poszliby na daleko idące sojusze. Ale ani od Kwaśniewskiego, ani od Kuczmy nie można oczekiwać nawet mniej odważnych decyzji. Obydwaj mówią frazesy o zbliżeniu i obaj boją się Moskwy. A w historii państwa ze strachu nigdy nie zbudowano solidnych konstrukcji. Ostatnio trochę przełamał barierę milczenia o stosunkach polsko-ukraińskich nowy minister spraw zagranicznych w Warszawie, Rosati, ale i to może okazać się bańką mydlaną jak to było, niestety, od czasów Suchockiej i Olechowskiego. Tylko Milewski przedstawił podobno podczas dyskusji w Komisji Spraw Zagranicznych Senatu koncepcję z głową.

Do Kijowa wyrusza nowy ambasador RP, Jerzy Bahr, dobry fachowiec, i zdaje się, szczerzy przyjaciel Ukrainy. Miejmy nadzieję, że wpłynie to na pogłębienie współpracy.

16 kwietnia 1996

Bohdan OSADCZUK

Notatki Redaktora

Prezydent Kwaśniewski koncentruje się przeważnie na polityce zagranicznej, ilość składanych przez niego wizyt jest naprawdę imponująca. Ale jaki jest ich bilans? Nierozumiałe jest przede wszystkim dlaczego tych wizyt nie rozpoczął od Kijowa. Ostatnie wydarzenia światowe spowodowały, że Ukrainą zaczynają się interesować Stany Zjednoczone i świat zachodni, tymczasem z naszej strony nic się tutaj nie robi. Nowo mianowany ambasador RP jeszcze nie objął swej funkcji, nie został stworzony Instytut Polski w Kijowie. Wizyta min. Kołodki, jak do tej pory, nie przyniosła żadnych rezultatów, natomiast wydaje się, że wizyta na Białorusi była niepotrzebna, a nawet szkodliwa. Naród białoruski potraktował ją jako poparcie polityki Łukaszenki, rozmowa z przedstawicielami opozycji odbyła się w obecności ludzi Łukaszenki, a jednocześnie nasze Ministerstwo Kultury obcięło dotację dla *Niwy* – pisma białoruskiego, wychodzącego w Białymstoku – o 100 milionów złotych i to jest dopiero początek. Na uniwersytecie w Białymstoku jest cicha dyskryminacja Białorusinów, nie mówiąc już o tym, że nasza ambasada jeszcze nie została obsadzona.

Wizyta na Litwie też nie była sukcesem. Są ciągle kłopoty ze Związkiem Polaków na Litwie. Mianowicie z pp. Sienkiewiczem i Maciejkiańcem, którzy prowadzą zdecydowanie antylitewską politykę, uniemożliwiającą normalizację stosunków i którzy głównie zajmują się zaostrzaniem stosunków Polski z Litwinami i wojną z ambasadorem RP. Tak samo nasza polityka w stosunku do mniejszości litewskiej w Polsce przedstawia dużo do życzenia. Już po raz 7-my konsulat litewski w Sejnach jest atakowany przez nieznaną sprawców, a ochrona policyjna jest niewystarczająca, nie mówiąc już o konflikcie z hierarchią kościoła polskiego w sprawie nabożeństw w języku litewskim czy mianowaniu księży Litwinów lub przynajmniej mówiących po litewsku.

Wizyta w Moskwie odbyła się w czasie nie najlepszym, bo

przedwyborczym, a więc nie mogła dać żadnych rezultatów poza zawarciem kilku drobnych umów, które przecież nie wymagały obecności prezydenta. Pozytywną była chyba wizyta w Irkucku i stworzenie tam konsulatu generalnego. Trzeba mieć nadzieję, że konsulat zajmie się nie tylko opieką nad Polakami i potomkami zesłańców, ale również rozbudowaniem stosunków gospodarczych między Polską a Syberią, które mogłyby być obiecujące.

Sytuacji nie ułatwia fakt, że mimo odwołania ambasadora Cioska do tej pory nie wyznaczony jest jego następca.

Kolejny skandal jest z Oświęcimiem, gdzie wojewoda Trombski dopuścił do manifestacji antysemickiej Polskiej Wspólnoty Narodowej Tejkowskiego tłumacząc się, że w zamian za to uzyskał zapewnienie, że nie będzie manifestacji antysemickiej w czasie „marszu żywych” do Oświęcimia, upamiętniającego Holocaust, w którym wzięło udział 5.000 młodzieży żydowskiej z całego świata. Jedynym logicznym załatwieniem tej sprawy byłoby dymisjonowanie z miejsca wojewody, no, ale premier Cimoszewicz tego nie zrobił. Przyjęcie przedstawicieli „marszu żywych” przez prezydenta było dobrym posunięciem, które sprawę załagodziło, ale to nie jest wystarczające.

Zaskakującą była wizyta w Moskwie ministra Obrony, Stanisława Dobrzańskiego. Min. Dobrzański zaproponował szefowi rosyjskiego MON-u – Pawłowi Graczowowi – utworzenie polsko-rosyjskiego batalionu sił pokojowych oraz wspólne ćwiczenia. Informacje o tych propozycjach podała prasa rosyjska. P. Dobrzański po powrocie do kraju nic na ten temat nie wyjaśnił. Ponadto pertraktowano dostawę rosyjskich części zamiennych do sprzętu wojskowego naszej armii, która w przeważającym stopniu używa broni produkcji sowieckiej. Zachodzi pytanie, dlaczego te pertraktacje prowadził p. Dobrzański w Moskwie, a nie w Kijowie czy Mińsku, gdyż produkcja tego sprzętu ma miejsce w tych krajach. (Nie mówiąc już o tym, że np. czołg T80-U, produkowany na Ukrainie, do

tej pory uchodzi za najlepszy na świecie. To samo dotyczy helikopterów.) Pytanie: kto upoważnił p. Dobrzańskiego do tego rodzaju pertraktacji?

Ciągle jest niewyraźna sprawa budowy autonomicznej autostrady łączącej obwód kaliningradzki z Rosją, która ma przebiegać przez Polskę i Białoruś. Mimo categorycznych zaprzeczeń jakieś plany w tej sprawie były opracowywane. Głównie jest tym zainteresowany suwalski wojewoda Cieślowski, który przypuszczał, że w ten sposób zlikwiduje bezrobocie na Suwalszczyźnie.

Myszę, że w pierwszym rzędzie należałoby uporządkować przejścia graniczne, które są prawdziwym skandalem. Samochody są na nich przetrzymywane nieraz ponad 70 godzin, nie ma żadnych urządzeń sanitarnych, nie mówiąc o jakichś barach samoobsługowych czy czegoś w tym rodzaju. Rozbudowa przejść granicznych jest niewątpliwie rzeczą niezmiernie kosztowną, ale można by ją ułatwić przez stworzenie ludzkich warunków dla oczekujących oraz przyspieszenie odpraw celnych. Czy nie można byłoby tu wykorzystać pomocy wojska? Ułatwiłoby to również walkę z nadużyciami i korupcją. Ten katastrofalny stan rzeczy dotyczy prawie wszystkich przejść granicznych w Polsce.

W swoim czasie pisałem o skandalu na Dworcu Wschodnim w Warszawie, gdzie pasażerowie pociągu Berlin-Moskwa zostali ograbieni przez mafię rosyjską. Domagałem się wówczas wprowadzenia specjalnej ochrony pociągów. Niestety nie zostało to wprowadzone i obecnie rosyjskie ministerstwo transportu chce zrezygnować z połączeń kolejowych z Brukselą i Berlinem z powodu częstych napadów na terenie Polski. Nasze władze bezpieczeństwa widocznie stoją na stanowisku, że są to sprawy dotyczące jedynie Rosjan czy Ukraińców. Jest najwyższy czas, by skończyć z tym skandalem i wprowadzić naszą ochronę policyjną w tych pociągach. Wymaga to naturalnie wyszkolonych kadr władających językiem rosyjskim. Powinno się to wprowadzić również przy tranzytowych TIR-ach jadących przez Polskę, których ładunek rozplywa się po drodze.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Próba syntezy polskiej prozy

Nakładem wydawnictwa Petera Langa z Frankfurtu nad Menem ukazała się bardzo interesująca książka Wolfganga Schlotta* poświęcona poszukiwaniom polskiej prozy powojennej – zatytułowana „Od opisu Holocaustu do 'małej apokalipsy'”, jest rozprawą habilitacyjną autora. Jest też efektem prac nad szerszym projektem badawczym zajmującym się odbiciem konfliktów społecznych w prozie polskiej. Projekt ten należy do programu *Forschungstelle Osteuropa* przy Uniwersytecie w Bremie. Warto też przy okazji zwrócić uwagę na fakt, że biblioteka tego właśnie uniwersytetu zgromadziła jeden z najbardziej kompletnych zbiorów polskiej prasy drugiego obiegu z lat 1977-1989.

Wolfgang Schlott zajmuje się polską literaturą od dłuższego czasu, zaś jego niezwykle kompetentne i wnikliwe omówienia pojedynczych książek, jak i wybranych problemów, ukazują się regularnie w fachowej prasie niemieckiej, między innymi na łamach kwartalnika *Osteuropa*. Przed kilku laty ukazała się też redagowana przez niego praca zbiorowa „Kultura w okresie przełomu” („Kultur im Umbruch, Polen, Tchechoslovakei, Russland”, Edition Themen, Bremen 1992) poświęcona przemianom kulturalnym w Polsce, Czechosłowacji i Rosji po roku 1989 – w książce tej Schlott opracował też rozdział o przemianach w Polsce.

* Wolfgang Schlott: Von der Darstellung des Holocaust zur „kleinen Apokalypse“. Fiktionale Krisenbewältigung in der polnischen Prosa nach 1945. Slavische Literatur. Texte und Abhandlungen. Herausgeben von Wolf Schmid, Band 10, Peter Lang Europäischer Verlag der Wissenschaften, Frankfurt am Main-Berlin-Bern-New York-Wien 1996, s. 292, ISSN 0939-8066, ISBN 3-631-49380-0.

Obecna rozprawa Schlotta jest poświęcona przeglądowi polskiej literatury podporządkowanemu tezie mówiącej, iż pisarstwo to stanowi wysiłek zmierzający do przezwyciężenia kryzysu wartości i upadku porządku etyczno-moralnego, jakie towarzyszyły kulturze polskiej w momencie zakończenia II wojny światowej. Dla polskiego czytelnika książka ta ma o tyle istotną wartość, iż pisana jest z dystansu, bez uwikłania w wewnętrzne dyskusje tej literatury, a więc widząca to pisarstwo niejako „chłodnym okiem” badacza. Interesujące wydają się uwagi badacza dotyczące, jak to określa tytuł jednego z podrozdziałów, „negatywnej estetyki tych, co przeżyli” – tu przede wszystkim referuje autor stanowisko Różewicza. Książka wyodrębnia w polskiej literaturze powojennej kilka konstelacji problemowych, które decydowały o jej rozwoju, takich jak np. kwestia stosunku do tradycji, dyskusja na temat realizmu czy sprawa obecności cenzury. Osobny rozdział pracy poświęcony jest „Miazdze” Andrzejewskiego i podkreśla znaczenie stosowania przez autora zróżnicowanych form narracyjnych. W ogóle problem różnicowania narracji w dążeniu do rozpoznania w prozie sytuacji społeczno-politycznej – a właśnie literatura podejmująca te zagadnienia jest głównym przedmiotem uwagi Schlotta – badany jest przez autora szczególnie starannie: tu na uwagę zasługują zwłaszcza rozdziały poświęcone pisarstwu Kazimierza Brandysa i Konwickiego – u pierwszego jest to związane z próbą ukazania „polskiej nierzeczywistości”, u drugiego z kreacją „realizmu groteskowego”. Wiele uwagi poświęca też autor prozie tworzonej przez Marka Nowakowskiego, Orłosa oraz Andermana. Zwraca też Schlott uwagę na istotną rolę – w Polsce wciąż chyba jeszcze niedocenianą – jaką odgrywa pisarstwo Leopolda Buczkowskiego.

Punktem wyjścia pracy jest teza mówiąca, iż tekst literacki stanowi modelowe odwzorowanie rzeczywistości. Rzecz jasna, iż nie może dotyczyć to całej literatury, tym samym musiał autor wyodrębnić z niej grupę utworów ową tezę ilustrujących. Szkoda jednak, iż w ogóle pominął w tym kontekście prozę pisaną „na zamówienie”: czy blok tekstów socrealistycznych, czy choćby książki Bratnego („Rok w trumnie”) lub Dobrowolskiego („Głupia sprawa”) – pozwoliłoby to na szerszą interpretację dyskusji wokół pojęcia realizmu, postaw wobec historii czy artystycznego „modelowania rzeczywistości” w zależności od ideologicznego czy ideowego zaplecza utworu. Kwestii dyskusyjnych jest zresztą

w tej pracy więcej, co w żadnej mierze nie pomniejsza jej wartości. W kolejnych jej rozdziałach zwraca Schlott uwagę na współzależność rozwoju prozy polskiej i zachodzących w kraju przemian historycznych oraz podkreśla wpływ czynników pozaliterackich na kształtowanie artystycznej fikcji. Ukazuje, jak dążenie do opisu zjawisk społeczno-politycznych wpływało na kształtowanie nowych form wypowiedzi tej literatury. Bez wątplenia zatem mamy do czynienia z pracą, która powinna zainteresować nie tylko niemieckich polonistów, lecz także badaczy polskich.

I jeszcze jedna uwaga na koniec tego z natury rzeczy krótkiego omówienia: wyjątkowo irytująca wydaje się notka na okładce, z której dowiedzieć się można, że Andrzejewski, Brandys i Konwicki należą do „pokolenia 1956”, zaś Głowacki, Nowakowski i Orłoś do „generacji 1968”. Tym bardziej to irytujące, że w książce dość sumiennie omówiona została rola „pokolenia 68” w kształtowaniu myślenia o literaturze.

Leszek SZARUGA

II-gie WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem, we wrześniu 1996 r. odbędą się w Lailly en Val (Francja) drugie „Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czap-
skiego”.

Warsztaty te pomyślane są jako pomoc zarówno dla wyróżniających się studentów polskich jak i dla Polaków z Rosji i krajów byłego Związku Sowieckiego, studiujących w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, z których siedmiu przyjedzie na zajęcia plenerowe do miejsca, w którym Józef Czap-
ski wielokrotnie przebywał i malował. Organizowane warsztaty służyć mają:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu znajomości Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą tak bardzo był związany,
- spotkaniom z artystami polskimi żyjącymi we Francji,
- pogłębianiu więzi polsko-francuskich poprzez sztukę.

Zwracamy się do przyjaciół i miłośników twórczości Józefa Czapskiego z prośbą o pomoc finansową w realizacji tego przedsięwzięcia i uczczenia w ten sposób setnej rocznicy Jego urodzin, która przypadła 3 kwietnia br. Dary prosimy przesyłać na adres:

Fonds Humanitaire Polonais
24, rue de la Mairie
45740 Lailly en Val (France)

Inicjatywa Warsztatów Artystycznych im. Józefa Czapskiego zasługuje na poparcie. Redakcja *Kultury* przekazuje na ten cel 5.000 fr. Apelujemy do czytelników o poparcie dla „Warsztatów”.

Polska książka w Lipsku

IMPRESJE Z WIOSENNYCH TARGÓW KSIĄŻKI
28-31.03.1996

Lipskie Targi Książki usiłujące od zjednoczenia stworzyć konkurencję a zarazem wiosenne dopełnienie ogromnych frankfurckich targów, stawiają na Europę Środkową i Wschodnią. Co roku zatem jeden z krajów Europy byłego bloku sowieckiego prezentuje w lipskim centrum targowym swoje osiągnięcia w dziedzinie wydawniczej. W tym roku Polska otrzymała szansę, aby pokazać swojemu zachodniemu sąsiadowi, co i jak się w Polsce pisze, co i jak wydaje. Głównie

stoisko polskie zorganizowała Ars Polona. Przestronna, ekspozycja reprezentatywna a zatem interesująca, w kątach stoliki dla honorowych gości podpisujących książki – Tadeusza Różewicza i Władysława Bartoszewskiego. Niestety, polscy organizatorzy zlekceważyli jakże przecież ważną dla prezentacji targowej architekturę stoiska, które zrobiono w estetyce późnego komunizmu. Warto przypomnieć, że kilka lat temu niezwykle, estetyczny i nowatorski sposób zaprezentowania literatury holenderskiej we Frankfurcie, do tego momentu w Niemczech niezbyt zauważanej, dał początek prawdziwej ekspansji książek z Holandii na rynek niemiecki. Mam tu na myśli nie tylko estetykę, ale również prospekty i materiały w języku niemieckim wydane specjalnie na taką okazję. Materiał taki to inwestycja niewielka, a przynosząca daleko idące następstwa. Miejscem spotkań autorów polskich z publicznością na terenie targów była kawiarnia „Kraków”, zrobiona chyba na wzór słynnej cukierni Jana Michalika. Niestety, tutaj z kolei miejscowi organizatorzy pokpił sprawę, ponieważ zamiast choćby i zaimprovizowanej secesji królowała Cepelia. Przy stoliku na tle makatki z widokiem Wawela czytali zarówno autorzy już w Niemczech znani, jak święcące na rynku sukcesy Hanna Krall i Maria Nurowska, jak i autorzy do „odkrycia” – Stefan Chwin, Maciej Niemieć, Jacek Podsiadło, Anna Bolecka. Publiczność, zwłaszcza młoda, dopisała, na oferty wydawców trzeba jeszcze poczekać.

Imprezy poświęcone literaturze polskiej odbywały się nie tylko na terenie targowym. W czwartek, pierwszego dnia targów, spotkał się w Operze Lipskiej Tadeusz Różewicz z Günterem Grassem. Pomysł nienowowy, już dwa razy w Berlinie inicjowano spotkanie i dyskusje na niemiecko-polskim Parnasie literackim. Dlatego prawdopodobnie obyło się tym razem bez zapowiadzianej dyskusji Grassa z Różewiczem – obaj przeczytali po prostu przed tłumnie zgromadzoną publicznością fragmenty ze swoich tekstów. Ulubiony przez niemieckie media autor i publicysta Andrzej Szczypiorski wystąpił w pięknej sali Starego Ratusza. Jedyne przedstawicielami literatury polskiej powstającej za granicami kraju był Henryk Grynberg i zaproszone przez „Radio Brandenburg” pisarki generacji *brulionu* Natasza Goerke i Izabela Filipiak.

Obok imprez literackich zorganizowano w Lipsku wiele arcyciekawych wystaw artystycznych. Instytut Kultury Pol-

skiej zaprezentował wystawę rysunków Bruno Schulza. Renomowane wydawnictwo Hanser wydało piękny katalog poświęcony plastyce autora „Sklepów cynamonowych”. W kuluarach Opery Wilanowskiej Muzeum Plakatu zaprezentowało sto pozycji ukazujących rozwój tzw. Polskiej Szkoły Plakatu. W Bibliotece Uniwersyteckiej odbyła się wystawa warszawskiej Biblioteki Narodowej na aktualny temat restauracji książek. W świeżo wyremontowanej Szkole Mikołaja (*Nicolaischule*) na surowych betonowych ścianach niezwykle fotografie: Warszawa z września 1939 roku, tuż po wkroczeniu wojsk niemieckich. Miasto niby normalne, Żydzi jeszcze bez gwiazd na rękawach, ale już „w przedśionku piekła”. Dopiero niedawno fotograf Michael Geins z Passau odkrył 250 negatywów zdeponowanych na pięćdziesiąt lat w pudełku po butach. „Er war ein mal Polen” („Była kiedyś Polska”) – to napis widniejący na jednym ze zdjęć, na wagonie przeprawiającym niemieckich żołnierzy na wschód. Fotografie te wykonał prawdopodobnie jeden z nich. Niewywołane filmy wysłał do rodziny. W wydawnictwie Neue Presse Verlag ukazał się album z tekstami Władysława Bartoszewskiego, ekskluzywne wydanie, książka dla zainteresowanych tematem i dla bibliofili.

Można było pomyśleć, iż wydawnictwa niemieckie zaprezentują na lipskich targach szereg pozycji z literatury polskiej już przełożonych, do zakupu. Niestety, ofert było niewiele. Pierwsze miejsce na arenie dzieł polskich wydanych po niemiecku zajęła monumentalna antologia poezji polskiej wydana przez zasłużonego tłumacza i założyciela Niemieckiego Instytutu Polski Karla Dedeciusa¹. Ukazał się również „Testament” Gombrowicza w monachijskim wydawnictwie Hanser i „Nowolipie” Józefa Hena w lipskim wydawnictwie Reclam. Wielki sukces odnoszą reportaże Hanny Krall „Dowody na istnienie”. Szalenie pozytywnie ocenione przez niemieckiego „papieża literatury” Marcellego Reich-Ranickiego znikają jak ciepłe bułki z księgarni.

W ciągu Lipskich Targów Książki temat polski był przez media podejmowany wielokrotnie. Rozgłośnia telewizyjna w Nadrenii-Westfalii WDR zaprezentowała czterdziestopięciominutowy film, w którym ukazano obraz współczesnej literatury polskiej. W czasie trwania targów w prawie wszystkich programach telewizyjnych zdawano relacje z cen-

1. Panorama der polnischen Literatur. 1. Abteilung: Poesie, Zürich: Ammann Verlag 1996.

trum książki polskiej w Lipsku. Niestety, równie często dawały się słyszeć wyświechtane opinie i dawały się widzieć te same twarze odpowiadające na podobne pytania zdezerorientowanych redaktorów.

Polska należy do najważniejszych w Europie środkowo-wschodniej partnerów Niemiec jeżeli chodzi o zakup licencji. Blisko dziesięć procent (!) wszystkich niemieckich praw autorskich zakupują polskie wydawnictwa. Jeśli chodzi o polskie licencje sprzedawane do Niemiec sprawa ma się na pewno gorzej. Dobrym pomysłem było całonocne „Polsko-niemieckie sympozjum wydawców” zorganizowane przez Niemieckie Zrzeszenie Księgarzy.

Na kilka dni Polska zaistniała w telewizji i w prasie. Mój lekarz domowy przy ostatniej wizycie stwierdził, że polska literatura „jest na czasie” i poprosił o polecenie czegoś do czytania. Oby ta hipnotyczna siła mediów działała jak najdłużej.

Dorota DANIELEWICZ-KERSKI

Nagrody

Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego zostały w tym roku przyznane: Stanisławowi Dubiskiemu (nauki biologiczne) za osiągnięcia w biochemii i immunologii; Jerzemu Woy-Wojciechowskiemu (medycyna) – jest on pionierem medycyny jądrowej w Polsce; Krystynie Kuperberg (matematyka) – specjalizuje się w topologii; Wandzie Błęńskiej (medycyna) za działalność charytatywną; Alicji Iwańskiej (nauki społeczne), Tadeuszowi Żenczykowskiemu za osiągnięcia społeczne i kulturalne; Ryszardowi Kiersnowskiemu (historia); Karolowi Bergerowi (muzyka); Józefowi Szajnie (teatr); Ursuli von Rydingsvard (sztuki plastyczne).

Nagrody są w wysokości 6 tys. dolarów każda.



Roman Aftanazy, autor monumentalnej monografii „Ma-

teriały do dziejów rezydencji na dawnych Kresach Wschodnich” został uhonorowany nagrodą *Przeglądu Wschodniego*. Dzieło Aftanazego dokumentuje polskie rezydencje na obecnych terenach Litwy, Białorusi i Ukrainy. Autor opisał ponad 1300 obiektów. Praca została zilustrowana 6 tysiącami fotografii.

Laureatem nagrody w kategorii zagranicznej został Bohdan Osadczuk, mieszkający w Niemczech ukraiński historyk i publicysta. Osadczuk od lat działa na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego, publikuje na łamach paryskiej *Kultury*, a ostatnio również w *Rzeczypospolitej*.

Przegląd Wschodni przyznał też nagrody historykom sztuki Janowi Ostrowskiemu i Jerzemu Petrusowi za inwentaryzację obiektów sakralnych na Litwie.

MARC S. FRANCISZKOWSKI
LETTRES SLAVES
LIBRAIRIE – EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS
Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

I

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

I

Na życzenie wysyłamy katalogi

Ci, co odeszli

Polska obchodzi stulecie urodzin Józefa Czapskiego*

Malarz, pisarz, wielki świadek wieku, żołnierz generała Andersa od Iranu po Monte Cassino, Józef Czapski urodził się w Pradze 3 kwietnia 1896 roku w polskiej artystokratycznej rodzinie. W Krakowie, gdzie niegdyś studiował malarstwo, w ramach poświęconej mu wystawy, odtworzono obecnie pokój, który zajmował w domu *Kultury* w Maisons-Laffitte, dobrze znany jego gościom – mieszkał w nim przez lata aż do śmierci 12 stycznia 1993 roku.

„Wyszliśmy nadzy ze spalonego świata”, napisał w 1947 roku, i z najgłębszym przekonaniem sięgał znów po pędzel, choć całe jego dzieło uległo zniszczeniu.

Czapski ma wówczas lat pięćdziesiąt jeden. Osiada w Maisons-Laffitte. Świetlista postać polskiej emigracji, cudem ocalały z katyńskiej masakry, jest przecież kimś więcej niż zaangażowanym patriotą i współtwórcą *Kultury*.

Proust w Gulagu

Ten pisarz polityczny, eseista, świadek na procesie Davida Rousseta, związany był niemi przyjaźni z Romainem Rollandem, Anną Achmatową, Gertrudą Stein, także z Malraux, Camusem, Maritainem, Gabrielem Marcellem, Danielem Halévyem; utrwalił ich wizerunki i świadectwa o nich w dzienniku liczącym ponad dwieście tomów. Ten humanista, który w wieku lat dwudziestu jeden wystąpił z wojska kierując się nakazami sumienia, w czasie drugiej wojny światowej, miał w żołnierskiej torbie dwa tomy listów Norwida.

* Artykuł ukazał się 9 kwietnia 1996 w dzienniku *Le Monde*.

Towarzyszom w nieszczęściu, współwięźniom w sowieckich obozach, w Starobielsku i w Gрязowcu, opowiadał o Prouście (wygłaszane po francusku odczyty ukazały się jako „Proust contre la déchéance. Conférences au camp de Gрязowietz”, Noir sur Blanc, 1987). Czapski jest jednak przede wszystkim malarzem.

Ten dziedzic Soutine'a, Goyi, zafascynowany koloryzmem Bonnard i cézanne'owską syntetyczną budową obrazu, jest jednym z najważniejszych przedstawicieli „ekspresjonizmu latyńskiego”; wielu dzisiejszych „młodych dzikich” mogłoby się w nim rozpoznać. Czapski, zawsze przejęty ludzkim obliczem, wybrał jako temat swych wielkich kompozycji teatr codzienności: zatłoczone metro, kawiarnie, podmiejskie pociągi, poczekalnie, perony dworców, stragany na targowisku. W ciągłym poszukiwaniu sekretu twarzy przez półwiecze szkicował w paryskich teatrach, linią ostrą i bezlitosną, aktorów i śpiewaków: Madeleine Renaud, Michael Lonsdale, Roger Blin, Marc Eyraud itd.

Postępował podobnie w eleganckich dzielnicach Paryża i na jego przedmieściach: stosował zbijającą z tropu kompozycję, punkt widzenia jakby operatora filmowego, wybierał zaskakujące kadrowanie; ulegały przemianie i nabierały szczególnej intensywności szare kolumny dworca Saint-Lazare, ręka zmęczona całodzienną pracą trzymająca się poręczy w autobusie, żywa czerwień mankietu kelnera zamiatającego o świetle przed Café de la Paix.

Nowoczesność

Doprowadzona do paroksyzmu gra między pustką i pełnią zezwała Czapskiemu na przesunięcie centrum i na zwrócenie uwagi na peryferie. Potrafi on przeobrazić obiekt żalonych kpín w zjawisko jedyne w sobie; przemienia plamę barwną w tonację psychiczną. Jego postaci, intensywnie obecne przez fakturę i kolor, często zduszone jeszcze czarną linią jakby średniowiecznym narzędziem tortur, te postaci pokawałkowane, pocięte, okaleczone, wydają się paradoksalnie umykać z naszego świata, wzywane przez jakieś zagadkowe inne światy. Nostalgia za utraconym światem? Poszukiwanie metafizyczne? A może to kulisy skrywające inne sceny rozgrywające się w nieświadomości?

Dzieło Czapskiego, powstałe w całości we Francji i budowane w kręgu paryskiej wyobraźni kulturalnej, odzwierciedla nowoczesność prawdziwą, niezmierzającą, podobną odnaleźć można chyba tylko u Dostojewskiego, gdy pisze: „Kto chce zrozumieć sens życia, powinien przedtem głęboko pokochać życie”.

Murielle GAGNEBIN

tłumaczył Wojciech Karpiński

Dariusz Fikus (1932-1996)

Bardzo trudno pisać o kimś bardzo bliskim, kto odszedł nagle, jakby w pół zdania przerywając rozmowę, którą toczyliśmy ze sobą codziennie przez ostatnie piętnaście lat.

Darek był niewątpliwie człowiekiem-instytucją. Dopiero gdy po jego śmierci spłynęła na nas do redakcji lawina depesz, kondolencji i telefonów, a wkrótce pojawiły się dziesiątki wspomnień we wszystkich polskich mediach – zdaliśmy sobie sprawę, jak ważną był postacią także poza naszą gazetą, w jak wielu środowiskach i instytucjach się udzielał i jak liczni poczuli się osobiście dotknięci jego odejściem.

Nie znałem go w latach wcześniejszych, kiedy współtworzył tygodnik *Polityka*, którego był jednym z filarów. Można dziś różnie oceniać tamtą *Politykę*. Daleka od opozycyjności, zawsze przecież jakoś szła pod prąd, była pismem stosunkowo „otwartym” i niewątpliwie najbardziej czytany w Polsce w owych czasach. W dużej mierze zawdzięczała to Fikusowi, który przepracował tam 22 lata.

Jego drogi z *Polityką* rozeszły się zaraz po Sierpniu 80, kiedy to wraz ze Stefanem Bratkowskim stanął na czele Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które wymówiło posłuszeństwo władzy. Wielu się wtedy dziwiło, że to właśnie Fikus został sekretarzem generalnym SDP, mało kto wiedział,

że już dużo wcześniej nawiązał kontakty ze środowiskiem KOR-u. Te kilkanaście miesięcy nieustannego kołowrotu zebrań, spotkań, oświadczeń, rezolucji, nieprzespanych nocy, kiedy SDP przekształcała się w „trzecią siłę”, próbującą z lepszym lub gorszym skutkiem mediować między władzą a „Solidarnością”, ukazały środowisku nowego Fikusa – człowieka o niespożytej energii, sprawnego organizatora, a jednocześnie umiarkowanego w sądach, świetnego taktyka.

Ale dla władzy i tak przez cały ten czas byliśmy „ekstremą”.

Po 13 grudnia, gdy natychmiast, jednocześnie z „Solidarnością”, władze PRL zawiesiły Stowarzyszenia, Fikus ukrywał się przez kilka tygodni, na szczęście z dobrym skutkiem.

W mediach zaczął się ponury okres czystek, zwanych „weryfikacjami”, w wyniku których poza zawodem znalazło się blisko dwa tysiące dziennikarzy. Wielu z nich znalazło się bez środków do życia – trzeba było organizować ogromną akcję pomocy.

Trudno uwierzyć, że znalazł jeszcze w tym wirze czas, aby napisać książkę „Foksal 81”, gdzie nie tylko opisał dzieje zbuntowanego Stowarzyszenia, ale przedstawił też wizję niezależnego dziennikarstwa, której pozostał wierny do końca życia. Wtedy też zaprzyjaźniliśmy się.

A później były długie lata podziemia. Darek wyładował w miesięczniku *Niewidomy Spółdzielca*, którego redakcja szybko przekształciła się w jeden z ważnych ośrodków zdelegalizowanego SDP. Nadal koordynował pomoc, szukał pracy dla kolegów, zabierał głos w sprawach publicznych wszędzie, gdzie było to możliwe. No i współtworzył prasę i wydawnictwa „drugiego obiegu” – *Vacat*, *Horyzont*, *Most*.

Wtedy dowiedziałem się, że pisze książkę o „Łupaszce”, legendarnym dowódcy wileńskiej AK. Choć urodził się w Poznaniu, miał swoje wileńskie sentymenty i fascynacje, w czasie okupacji jako młody chłopiec mieszkał z rodzicami w Wilnie i tam gdzieś poznał majora Zygmunta Szendzielarza, straconego po wojnie przez komunistów. Zabrał się do tego z zapałem i nerwem zawodowego historyka. Zebrał ogromną dokumentację. Książka miała kilka podziemnych wydań, a później jeszcze dwa, już po przełomie, w oficjalnym obiegu – i bardzo wysokie oceny.

Myślał też o następnej książce – do czego bardzo go namawiałem – o innym wielkim i tragicznym bohaterze narodowym, wówczas jeszcze zupełnie nie znanym szerszej publiczności, o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, który pozwolił zamknąć się Niemcom w Oświęcimiu, by zbudować tam struktury ruchu oporu. Podobnie jak „Łupaszka”, również i Pilecki, człowiek, któremu – jak mówił Darek – ukradł życiorys Cyrankiewicz, stracony został na Rakowieckiej.

Ale tej książki już nie napisał, bo nadszedł czerwiec 1989 roku. Zaczynała się jego największa życiowa przygoda – sprawa z *Rzeczpospolitą*.

Ówczesna *Rzeczpospolita*, w swym trzecim już wcieleniu, zaczęła się ukazywać jako organ rządu. Pierwszy numer gazety ukazał się w wyniku biurokratycznej mitręgi dopiero 13 stycznia 1982 roku. W istocie rzeczy była nudnym, przygnębiającym biuletynem tego stanu. Jej swoistym wyróżnikiem była też publikacja stenogramów z cotygodniowych konferencji prasowych Urbana, podczas których ten natrząsał się z opozycji i ubliżał zdrowemu rozsądkowi i ludzkiej godności.

Była też przez rząd utrzymywana i sownie dotowana z budżetu państwa.

I tak to trwało przez całe lata 80-te.

Dla premiera Tadeusza Mazowieckiego obsadzenie nowymi ludźmi przynajmniej kilku głównych mediów było sprawą kluczowej wagi. Na pierwszy ogień poszła telewizja, którą Mazowiecki powierzył Andrzejowi Drawiczowi, następna w kolejności była *Rzeczpospolita*, gdzie w październiku 1989 r. pojawił się Fikus. Nominacja ta była dla niego zaskoczeniem.

Mazowiecki dał wolną rękę Darkowi; uzgodnił tylko, że spod winiety zniknie zapis „organ rządu” i że gazeta będzie sprzyjać nowemu gabinetowi, a przede wszystkim reformom, które przygotowywała ekipa Leszka Balcerowicza. Dlatego jeszcze przez jakiś czas Fikus uczestniczył w posiedzeniach Rady Ministrów w randze podsekretarza stanu, podobnie jak wszyscy poprzedni naczelni tej gazety. Nie lubił tego, ale dawało mu to świetną orientację, w jakim kierunku będą szły zmiany.

Problemów, przed którymi stanął jako nowy szef *Rzeczpospolitej*, było co niemiara. Przede wszystkim kwestia

ponad 100-osobowego zespołu, który przez lata uprawiając dworskie dziennikarstwo przerażony był zmianą kierownictwa firmy i zachowywał się, jak sparaliżowany.

Tę kwestię rozwiązaliśmy dosyć szybko, zwalniając kilka sztandarowych postaci, których dalsza obecność po prostu kompromitowałaby gazetę i uniemożliwiałaby współpracę z ludźmi, których chcieliśmy przyciągnąć do współpracy. Darek nigdy nie był mściwym człowiekiem i sprawa ta bardzo go trapiła, ale po prostu nie było innego wyjścia. Natomiast dalsza selekcja zespołu trwała znacznie dłużej i jej kryteria były już tylko zawodowe. Do dziś pracuje w redakcji wiele osób z tamtego okresu, które przyjęły za swoje kilka podstawowych zasad Fikusa – że informacja jest bezpartyjna, że należy starannie oddzielać informację od komentarza, że prawdziwym właścicielem gazety jest czytelnik, który na nią codziennie głosuje, kupując ją w kiosku.

Jednak redaktorski talent Darka polegał przede wszystkim na tym, że był chyba pierwszym człowiekiem w branży prasowej w Polsce, który zrozumiał, jak głębokie i zasadnicze zmiany oczekują nas po przełomie 1989 roku.

To wiązało się z określeniem profilu gazety. Jej tradycyjnymi odbiorcami byli urzędnicy, przedstawiciele biurokracji państwowej i gospodarczej, którzy abonowali *Rzeczpospolitą* w 80-procentach jej nakładu. Choć byli to ludzie związani z dawnym obozem władzy, Fikus nie miał najmniejszego zamiaru ich utracić; mówił, że to przede wszystkim ich trzeba reformować, aby mogło zostać zreformowane państwo i gospodarka. Postawił też na ludzi nowej, rodzącej się prywatnej przedsiębiorczości. Uznał, że to oni wszyscy – aby móc w ogóle funkcjonować – będą potrzebowali szybkiej informacji gospodarczej, prawnej, prezentowania tysięcy zmieniających się ustaw, przepisów, komentowania ich. I miał rację. Ten właśnie czytelnik stanowi dziś największą siłę gazety.

Z drugiej strony, domagał się od dziennikarzy również rzetelnego informowania o funkcjonowaniu – jak mawiał – Trójkąta Bermudzkiego, trzech głównych filarów władzy w Polsce: rządu, parlamentu i Kancelarii Prezydenta.

Tymczasem pod względem ekonomicznym sytuacja, w chwili gdy obejmował *Rzeczpospolitą* była dramatyczna. Firma była po prostu bankrutem. Był to okres galopującej

inflacji i gazeta w 1990 kosztowała 20 zł. za egzemplarz, podczas gdy już wiosną ceny gazet nie miały prawa utrzymywać się na rynku, nawet otrzymując dotację rządową. Darek podjął więc drakońskie kroki oszczędnościowe, zmniejszył objętość gazety z 12 do 8 stron (ceny papieru i druku!), jeszcze bardziej ograniczył liczebność zespołu, pozbywając się najtańszych, zlikwidował placówki zagraniczne, wynegocjował korzystniejsze warunki rozliczeń z RUCH-em, szybciej odbierając należne nam pieniądze, no i zainwestował w rozwój biura ogłoszeń, dając najwyższe pensje pracującym tam ludziom, co bardzo nie podobało się dziennikarzom, przyzwyczajonym do myśli, że gazeta to „pan redaktor”.

Ale gdy to wszystko zaczęło przynosić rezultaty, gdy – mimo tego bardzo chudego roku – nie daliśmy wyrzucić się z rynku, kryzys został przełamany. Wkrótce, przestając być organem rządu, mogliśmy już zrezygnować z dotacji budżetowej, co jeszcze bardziej podkreśliło naszą niezależność.

Nie dawała mu jednak ciągle spokoju myśl o konkurencji. Przetrwaliśmy, ale nie mogło być mowy o szybkim rozwoju firmy; już mówiło się o komputerach, o druku offsetowym, ale tylko się mówiło. Na to wszystko trzeba było ogromnych środków. Ale Fikus nie byłby sobą, gdyby nie zorientował się wcześniej niż inni, że na polski rynek mediów musi wkroczyć kapitał zagraniczny i że to może być szansa na rozwój.

Już od grudnia 1989 roku prowadziliśmy dyskretne rozmowy z przedstawicielem największej francuskiej grupy prasowej Roberta Hersanta, hrabią d'Ornano. Rozmowy coraz bardziej konkretne, ale też i coraz trudniejsze, trwały – przy aprobachie premiera Tadeusza Mazowieckiego, którego Fikus zjednał do tej idei – około roku. W wyniku tych rozmów powstała spółka *joint-venture* „Presspublica”, nowy wydawca *Rzeczpospolitej*, w której Francuzi wykupili 49 proc. udziałów za wiele milionów dolarów i zadeklarowali zbudowanie w ciągu roku nowoczesnej gazetowej drukarni offsetowej. Była to pierwsza tego typu wielka transakcja prasowa.

Fikus został prezesem spółki. Miał wreszcie swoje upragnione środki na rozwój i daleko wyprzedził konkurencję.

Gazeta wkroczyła w okres wielkiej rewolucji. Jej objętość rosła w oczach, zainstalowano największą – jak lubił się Darek chwalić – od Łaby do Władystoku, cywilną sieć komputerową działającą w systemie, zaczęła działać własna drukarnia, powiększał się zespół redakcyjny, najlepiej opłacany w kraju – można więc było zatrudnić najlepszych, biuro ogłoszeń rozrosło się do 60 osób, powstały – nieznane wcześniej w prasie polskiej – działy promocji, marketingu, informatyki. Powstało wielkie, nowoczesne, najsilniejsze w kraju pod względem kapitałowym przedsiębiorstwo prasowe i nowoczesna, na poziomie europejskim, gazeta informacyjna o wielkim prestiżu i wysokim stopniu wiarygodności. Zasługi Darka w tym zakresie są nie do przecenienia, choć oczywiście nie tylko on był autorem tego bezprecedensowego sukcesu. Wiedział, że dziś jeden człowiek nie jest w stanie sam pokierować tak wielką fabryką informacji. Ale miał jeszcze i tę zaletę, że potrafił dobierać sobie przyjaciół i współpracowników, i – co istotne – obdarzać ich zaufaniem. Umiął i potrafił żyć z ludźmi.

Osobnym, być może najważniejszym rozdziałem tych ostatnich lat życia Darka, są boje o zachowanie niezależności gazety od kolejnych rządów, z których część nigdy nie porzuciła myśli o „posiadaniu” własnego organu. I to – jak się okazało – niezależnie od swoich korzeni. Ironią losu było bowiem, że pierwszym rządem po przełomie 1989 r., który zapragnął miłego sercu kaczki w wielkiej rządowej gazecie, był gabinet Jana Olszewskiego. A później, już po wyborach jesienią 1993 roku, każdy kolejny rząd kombinował jak się do nas dobrać. Szczegóły tych zapasów wymagałyby osobnego wspomnienia. Darek prowadził – bo w ogóle na wszelkich spotkaniach, naradach i rozmowach notował wszystko, o czym była mowa – kronikę tej kilkuletniej walki o niezależność naszej gazety, której współwłaścicielem był Skarb Państwa. Cierpliwie tłumaczył rozmaitym decydentom, że własność państwa nie jest własnością każdego kolejnego rządu, czego owi decydenci nie byli w stanie (a przede wszystkim nie lubili) rozumieć. Te notatki, to miała być jego książka, która niestety już się nie ukaze. Książka o wolności słowa.

Dodam wreszcie, że choć stworzył i kierował gazetą o wyrazistym profilu gospodarczo-prawnym, w istocie rzeczy był humanistą.

Ale mawiał często, że gazeta jest jak człowiek i że musi mieć wszystkie członki. Dlatego, gdy tylko środki na to pozwoliły, zadbał również o rozwój innych działów, kulturalnego, nauki i techniki, a także nowych dodatków, jak sobotni magazyn społeczno-kulturalny *Plus-Minus*, poprzez który udało mu się zjednać do *Rzeczpospolitej* również polską elitę intelektualną, pozbawioną swoich tradycyjnych pism, które nie utrzymały się na rynku.

Żartowaliśmy w redakcji, że jedynym człowiekiem, który czyta gazetę od deski do deski, jest szef. I tak w rzeczywistości było, robił to najczęściej w nocy i kiedy na codziennych porannych spotkaniach redakcyjnych ocenialiśmy aktualne wydarzenia, zaskakiwał nas znajomością nawet drobnych, mniej istotnych tekstów.

Maciej ŁUKASIEWICZ

Nie ma alternatywy dla nadziei

W rozmowie z tygodnikiem *Wprost*, w kwietniu 1991 roku, Tadeusz Nowakowski wypowiedział zdanie, które odczytane teraz, po jego śmierci, można by uczynić mottem życia tego człowieka: „Nie ma alternatywy dla nadziei”. Nie mówił, oczywiście, o sobie, ale o kraju, do którego wrócił po pięćdziesięciu latach – odpowiadał na pytanie, jak widzi Polskę, jaki jest dla niego obraz ojczyzny? To przy tej okazji, opisując swoje pierwsze wrażenia, powiedział m.in.: „...za dużo ludzi poddaje się fatalistycznemu sądowi, iż nic się nie da zrobić. Tymczasem na fatalizm mogą sobie pozwolić wielkie mocarstwa, a nie kraj, który od wieków jest zagrożony. W Polsce nie ma alternatywy dla nadziei”.

Myszę, że Tadeusz Nowakowski tej właśnie optymistycznej wizji, temu przekonaniu (o czym mówił w czasie spotka-

nia sz czytelnikami po wydaniu „Obozu wszystkich świętych” w 1990 roku) – był wierny przez wszystkie lata emigracyjne. „To co dziś wydaje się niewiarygodne, jutro może się ziszczyć” – powiedział w kawiarni „Czytelnika” komentując upadek komunizmu i swoją obecność w kraju.

Kim był? Jak krótko można by opisać jego miejsce na mapie Polski literackiej? Jest to na pewno miejsce szczególne, wyjątkowe, zarówno jeśli chodzi o drogę życiową, koleje losu, jak i dorobek twórczy. Pochodził z rodziny o mocnych tradycjach patriotycznych. Jego ojciec, Stanisław – dziennikarz, publicysta – należał do pokolenia działaczy narodowych i społecznych na terenach zaboru pruskiego. Był redaktorem *Gazety Olsztyńskiej* – polskiego dziennika wydawanego w Olsztynie, gdzie w roku 1917 urodził się syn Tadeusz. Później był działaczem plebiscytowym – przedstawicielem Polski w czasie plebiscytu na Warmii i Mazurach. Po przegranej w roku 1920, rodzina Nowakowskich przeniosła się do Bydgoszczy. Ojciec został redaktorem *Dziennika Bydgoskiego* – syn tutaj kończył szkoły: gimnazjum imienia Rydza-Śmigłego, tu pisał pierwsze, młodzieńcze utwory literackie, także krytyczne rozprawy – w roku 1938 dostał nawet dyplom Polskiej Akademii Literatury za pracę o poezji Skamandrytów.

W 1939 roku, po wybuchu wojny, Tadeusz Nowakowski, jako dziewiętnastoletni młody człowiek, zgłosił się na ochotnika do wojska. Brał udział w obronie Warszawy. W 1941 roku, we Włocławku, gdzie włączył się w działalność konspiracyjną, został aresztowany przez Niemców i skazany przez sąd w Dreźnie na „bezterminowe pozbawienie wolności”. W obozach i więzieniach III Rzeszy przesiedział do końca wojny – m.in. w ciężkim więzieniu w Saksonii. Zapewne wówczas dowiedział się, że jego ojciec, Stanisław Nowakowski, skazany jeszcze przed wojną, zaocznie, przez sąd w hitlerowskich Niemczech na karę śmierci – zginął w Dachau.

Powojenne losy Nowakowskiego są związane przede wszystkim z rozgłosnią Radia Wolna Europa – rzeczywiście był tam od początku, od 1 marca 1952 roku. Wcześniej jednak, po wojnie, znalazł się w obozie dla „dipisów” (z angielskiego *displaced persons*) – byłych więźniów niemieckich, ludzi, którzy nie chcieli wracać do krajów komunistycznych. Ten pobyt w barakach, w miasteczku Papenburg

w Niemczech, niedaleko granicy holenderskiej, opisał później w powieści „Obóz wszystkich świętych”. Z Niemiec przeniósł się do Włoch – do II Korpusu generała Andersa i wraz z wojskiem był ewakuowany do Anglii. Tam pracował do chwili powstania rozgłosni w Monachium – „sekretnarował”, jak mówił, Związkowi Pisarzy Polskich na Obczyźnie, współpracował z polską sekcją BBC, redagował pismo *Polacy na Świecie*. Pisał. W Anglii debiutował w piśmie Tymona Terleckiego – w *Polsce Walczącej*, później w odcinkach drukował swój pierwszy dłuższy utwór „Szopę za jaśminami”, w *Wiadomościach* Mieczysława Grydzewskiego. Już jako znany dziennikarz RWE, pisarz i publicysta – towarzyszył papieżowi Janowi Pawłowi II w jego podróżach zagranicznych. Efektem była seria książek reportażowych, wydana w latach 80-tych.

Jego najgłośniejsza książka – powieść „Obóz wszystkich świętych”, ukazała się w Paryżu w wydawnictwie Libella, w roku 1957. O tej książce tak pisał anonimowy recenzent z *Gazety Kieleckiej* w roku 1990: „Poprzez wnikliwą, bezlitosną wiwisekcję fenomenu polskości, powieść Nowakowskiego wpisuje się w krąg lektur (tu przede wszystkim Gombrowicz i Mroźek), których centrum stanowi wizja człowieka zniewolonego przez „formę”, narzuconą mu przez innych, przez tradycję i wychowanie. Szczególną miarą wielkości tej książki jest to, że nie daje ona łatwych odpowiedzi, raczej stawia trudne pytania. O naszą narodową tożsamość, o tę typowo polską megalomanię, o patriotyczne mity, fobie i kompleksy. Pytania jakże aktualne dziś, kiedy podobnie jak mieszkańcy powieściowego obozu odbywamy swoistą kwarantannę pomiędzy życiem w „realnej utopii” a demokracją typu zachodniego, do której przecież dążymy”.

Nowakowski był istotnie przenikliwym demaskatorem polskich wad: werbalnego patriotyzmu, życzeniowego myślenia, skłonności do złudzeń. Jego najlepsza powieść nie zeszła się – w III Rzeczypospolitej powinna trafić do lektur szkolnych.

Jego dorobek pisarski, to także kilka innych powieści, m.in.: „Syn zadżumionych” (Instytut Literacki, Paryż 1959), „Happy end” (Instytut Literacki, Paryż 1970), „Wiza do Hrubieszowa” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1979),

„Nie umiera się w Miami” (1990). „Aleja dobrych znajomych” (1968) to wyjątkowe, pisane z wielką życzliwością, wspomnienia o wybitnych postaciach polskiej kultury, m.in. o Kazimierzu Wierzyńskim, Janie Lechoni i Józefie Wittlinie. W cyklu „papieskich” reportaży wydał m.in. „Reporter papieża” (1980), „Boeing św. Piotra” (1986) i „Kwiaty dla pielgrzyma” (1987). Osobną książką w dorobku Nowakowskiego była obszerna praca o Radziwiłłach, napisana po polsku i przetłumaczona od razu na niemiecki, dla niemieckiego wydawcy (Verlag Piper, 1966): „Die Radziwills”.

Dla mnie jednak, podobnie jak dla wielu Polaków w kraju, jedynym kontaktem z Tadeuszem Nowakowskim były przez długie lata audycje RWE i jego cotygodniowe, zabawne, pełne humoru, dygresji i dowcipów „Rozmowy przy kawiarnianym stoliku”. Przebijający się przez trzaski i huk zagłuszonek, głos Nowakowskiego pamiętam do dziś. Był dla nas wtedy jednym z wolnych głosów z wolnego świata, by użyć kilku patetycznych słów.

Ale Nowakowski, pisarz emigracyjny, był kilkakrotnie bliski kontaktu z krajem. Pierwszy „śląd” tych kontaktów znaleźć można w latach 1957-59, w okresie „odwilży” popaździernikowej. Wówczas to, po wydrukowaniu w *Tygodniku Powszechnym* fragmentu „Obozu wszystkich świętych” (w maju 57 roku), ukazały się recenzje i omówienia jego twórczości, m.in. Zofii Starowiejskiej-Morstinowej, również w *Tygodniku*, Jana Józefa Lipskiego w *Twórczości* oraz anonimowa nota w *Przeglądzie Kulturalnym*, której tytuł był jednak wymowny: „Świetna powieść”. W przychylnych a nawet entuzjastycznych omówieniach, można jednak znaleźć i takie zastrzeżenie, jak w *Ilustrowanym Kurierze Poznańskim* z listopada 1958 roku: „Tadeusz Nowakowski nigdy nie ział nienawiścią do Polski Ludowej”.

Rzeczywiście „nie ział”, a mimo to od roku 1959, kiedy miesięcznik Polska wydrukował jego „Syna zadżumionych” (z rysunkami Bronisława Linke), zapadło dwudziestoletnie milczenie – okres zupełnej nieobecności pisarza w kraju. Żadnej wzmianki. Przygotowana i złożona już do wydania powieść „Obóz wszystkich świętych” nie doczekała się druku. Jej skład został rozsypany w drukarni.

Dopiero w okresie pierwszej Solidarności, w roku 1981,

po latach, *Tygodnik Powszechny* zamieścił rozmowę Bronisława Mamonia z Tadeuszem Nowakowskim. Tytuł – „Nie uchylać się od świadczenia niezwykle wydarzeniom” – nawiązywał do reporterskich podróży z papieżem. Po 13 grudnia 81 znów milczenie: stan wojenny, okres internowań i aresztowań pisarzy w kraju. Dla Tadeusza Nowakowskiego oznaczało to ponowną, niemal dziesięcioletnią nieobecność. Pierwsza „jaskółka” powrotu, to publikacja w kwietniu 1988, w *Kierunkach*, dwóch rozdziałów „Sagi Radziwiłłów” pt. „Klejnocik z Ratyzbony”. Niepewna widocznie redakcja tygodnika (jak zostanie przyjęty przez władze druk fragmentów książki pisarza związanego z RWE), opatrzyła tekst komentarzem, w którym znowu można było przeczytać: „Oczywiście, publikacja tego fragmentu prozy esejistycznej Tadeusza Nowakowskiego nie oznacza ani zbliżenia poglądów Autora do naszych, ani naszych poglądów do poglądów autorskich.”

Na szczęście czas, kiedy to, co jeszcze wczoraj „wydawało się niewiarygodne” kończył się właśnie w całej Europie Środkowej. Solidarność, Okrągły Stół w Polsce, upadek muru berlińskiego, kilkudniowa „rewolucja” w Czechosłowacji. Jakby nadzieja i optymizm ludzi takich właśnie, jak Tadeusz Nowakowski, odniosły bezapelacyjne i błyskawiczne zwycięstwo. Zaczął się okres kontaktów i podróży pisarza do Polski, przy czym najważniejszą była na pewno ta podróż, kiedy towarzyszył ostatniemu prezydentowi RP na emigracji – Ryszardowi Kaczorowskiemu – podczas ceremonii przekazania insygniów władzy Lechowi Wałęsie. Istotnie ta podróż ma rangę symbolu. W rozmowie z dziennikarzem, w samolocie wiozącym delegację do kraju, Nowakowski powiedział m.in.: „Nie za grobem, ale jeszcze za życia doczekaliśmy tego, iż już nikogo nie śmiesz, że jacyś starsi panowie powołują się na swoje prawo do współmyślenia o sprawach Polski dlatego, że ich towarzysze broni zginęli pod Monte Cassino czy pod Tobrukiem. (...) Te insygnia przypominały pieczęć Rządu Narodowego, te insygnia są ważne...”

Prawdziwy „festiwal” Tadeusza Nowakowskiego w Polsce – tak by można określić atmosferę jego coraz liczniejszych wizyt w kraju i coraz dłuższych pobytów – zaczyna się w roku 1990. Ukazują się – jako pierwsza, oczywiście, powieść „Obóz

wszystkich świętych” – jego książki. Udziela licznych wywiadów w prasie, radiu i telewizji. Bierze udział w wielu spotkaniach z czytelnikami. Adaptacja sceniczna „Obozu wszystkich świętych” zostaje wystawiona przez Teatr imienia Słowackiego w Krakowie, później także przez inne teatry w kraju. I w końcu Rady Miejskie Olsztyna i Bydgoszczy przyznają Nowakowskiemu tytuły „honorowego obywatela” tych miast. Wszędzie jest witany serdecznie – ludzie pamiętają jego audycje w RWE i jego charakterystyczny głos, humor, optymizm.

Przeglądając wywiady Tadeusza Nowakowskiego z ostatnich lat, udzielane w czasie kolejnych pobytów w kraju, można odnaleźć wiele przenikliwych sądów autora „Alei dobrych znajomych”. We wspomnianej rozmowie na pokładzie „samolotu z insygniami”, kilka zdań poświęcił na przykład Gombrowiczowi: „... był to uroczy człowiek i grał nieustannie rolę Gombrowicza, nigdy nie wziął urlopu od swojej osoby, może dopiero w ostatnich tygodniach, gdy był bardzo chory. Był zakładnikiem własnej wyobraźni. A co naprawdę myślał? To był człowiek nieuleczalnie, ciężko i szczerze chory na Polskę. Ta jego freudowska 'hasstliebe' – on kochał i nienawidził...”

O pierwszych wrażeniach z Polski mówił tak: „...Wiele spraw razi, np. agresywność języka. Myśmy zawsze pytali: czy jest chleb? a teraz mówią: chleb jest? – jakby od razu chcieli przyłożyć pistolet do skroni. Albo zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie... A z drugiej strony serce mi się kraje...”

Odnajdywałem także to, co świadczyło o wielkim poczuciu humoru Nowakowskiego, jego spojrzeniu z dystansu także na własne doznania. Przed premierą „Obozu wszystkich świętych” w Krakowie, mówił do dziennikarza krakowskiego *Czasu*: „Byłem zaskoczony propozycją wystawienia 'Obozu' w teatrze. Nie przyszło mi do głowy, że tekst nadaje się na scenę. Ale kiedyś sam J.I. Kraszewski rozpoczął, że 'Chatę za wsią' zaadaptowano na scenę, później mówił, że wersja sceniczna była lepsza od powieściowej”.

Myślę, że pozostał takim człowiekiem do końca – zachował ten dystans, jakby spojrzenie z boku na ludzi i na siebie. Coś takiego, co dane jest tylko nielicznym.

Poznałem Tadeusza Nowakowskiego w Monachium, w roku 1988, kiedy w czasie wieczoru w polskim klubie przykościelnym, powiedział kilka słów przed spotkaniem ze mną – autorem z kraju. Niewiele dziś pamiętam – zachowałem fotografię zrobioną wtedy przez dziennikarza z RWE Piotra Załuskiego: stoi na tle okna z kartkami w ręku. Przypomniat „Cudowną melinę”, inne moje książki, jakieś opowiadanie. Wtedy, jak pamiętam z dyskusji, był jeszcze przeciwny drukowaniu w kraju naszych książek drukowanych w emigracyjnych oficynach. Chyba nie wierzył w szybkie zmiany w Polsce. To ja z większym przekonaniem mówiłem o możliwej „odwilży” – powoływałem się na podpisaną właśnie z „Iskrami” umowę na wydanie „Cudownej meliny”. Nowakowski patrzył na mnie z niedowierzaniem, nieufnie. Myślę, że wtedy nie wyobrażał sobie powrotu do Polski. A jednak minęło zaledwie kilka lat i to, co wydawało się „niewiarygodne”, stało się faktem.

O jego powrocie do Polski tak napisał Jacek Bocheński we wspomnieniu pośmiertnym: „Nie wrócił do Polski, żeby robić interesy, zasiąść na stanowisku, urządzić się w telewizji. Wrócił, bo po to żył, żeby wrócić. Chciał w Polsce umrzeć i być pochowanym w Bydgoszczy. Wrócił po cichu, intymnie. Wrócił do ojczyzny”.

Kto tak jeszcze będzie wracać do ojczyzny?

We wspomnianej rozmowie z dziennikarzem z tygodnika *Wprost*, Tadeusz Nowakowski tak mówił o swojej ojczyźnie: „Byłem niedawno na wieży dzwonu Zygmunta. Jako mały chłopczyk piętałem się po tych samych schodach. I kiedy znów tam się znalazłem, otoczyła mnie grupa harcerzyków, którzy podskakiwali, usiłując dotknąć dzwonu. Spytałem, po co to robią, a oni na to, że dotknięcie dzwonu Zygmunta przynosi szczęście. I nagle wszyscy zaczęli wyciągać ręce w górę i wołać: żeby w Polsce było szczęście”.

Miejmy nadzieję, że będzie i że nie ma alternatywy dla tej nadziei.

Warszawa, marzec 1996 r.

Kazimierz ORŁOŚ

Książki

Nieznane utwory znanego (?) autora

W serii „Utwory nieznane” wydawnictwa „Twój Styl” ukazała się nowa książka Jerzego Stempowskiego pt. *Felietony dla Radia Wolna Europa*. Eseista takiej książki nie napisał, choć jest niewątpliwie autorem wszystkich składających się na nią tekstów. Tom felietonów zawdzięczamy Jerzemu Timoszewiczowi, głębokiemu znawcy twórczości Stempowskiego i edytorowi jego dzieł. Eseista pisał o książkach autorów współczesnych przez całe życie, choć nie mógł liczyć na wzajemność, bo ci współcześni często nie interesowali się Stempowskim jako pisarzem, widząc w nim raczej literata niedzielnego, dziwaka, zbieracza osobliwości. Ten wizerunek się utrwalił i trafił do podręczników historii literatury, których autorzy o Stempowskim nie piszą w ogóle albo zbywają zdawkowym epitetem „wybitny eseista” (co, jak wiadomo, mówi samo za siebie i zwalnia od wysiłku interpretacji). Trzeba przyznać, że sam Stempowski nie uczynił nic, by zarekomendować swoją twórczość szerszemu kręgowi odbiorców. Nie był bohaterem skandali obyczajowych i politycznych, nie protestował przeciw ani nie popierał, nie pretendował do miana autorytetu moralnego, nie należał do związku ani do klubu, cenił sobie swą prywatność i osobność. Niewiele utworów podpisał własnym nazwiskiem, sądząc, że lepsze będą pseudonimy, którymi chętnie posługiwał się już przed wojną. Czytelnicy *Kultury* znali go przede wszystkim jako Pawła Hostowca, autora „Notatnika niespiesznego prze-

chodnia” i dzienników podróży, oraz Leona Furatyka, tłumacza i felietoniste; raz eseista wystąpił jako Jerzy Łysina. Pisarstwo Stempowskiego miało za życia autora niewielkie grono wielbicieli. Wysoko go cenił Jerzy Giedroyc – stale zachęcający do pisania i podsuwający tematy, Józef Czapski, Maria Dąbrowska – entuzjastka jego eseistyki i epistolografii, Krystyna Marek, Teodor Parnicki, Stanisław Vincenz, Tymon Terlecki, Gustaw Herling-Grudziński, Wiktor Weintraub; z młodszych Marek Hłasko, Bogdan Czaykowski. Nie znosił go natomiast Gombrowicz; ilekroć „Notatnik niespiesznego przechodnia” poprzedzał w *Kulturze* jego „Fragmenty z dziennika”, molestował Giedroycia listownie, twierdząc, że Hostowiec nie umie pisać po polsku. Eseista miał też krąg wiernych czytelników w kraju (Zygmunt Kałużyński, Jerzy Timoszewicz, Jan Kott, Wiktor Woroszyński, Andrzej Dobosz).

Zebrane w tomie felietony wygłaszane były w audycjach literackich RWE. Otrzymywał za nie Stempowski ryczałt w wysokości ok. 100 dolarów, co przy skromnym trybie życia pisarza stanowiło bardzo poważną sumę. Systematyczna lektura krajowej produkcji literackiej wymagała wiele hartu, nie zawsze go eseście wystarczyło. Swoimi obserwacjami dzielił się z Jerzym Giedroyciem, do którego pisał w jednym z listów:

„W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przeczytałem kilkadziesiąt książek krajowych różnego gatunku i lektura ta zostawiła mi rodzaj niestrawności umysłowej, okropnego poczucia wyjałowienia i obrzydzenia. Nie wiem nawet, jak to sobie tłumaczyć, bo wielu piszących w kraju zna dobrze swe rzemiosło i rozporządza nawet pewnym talentem. Wszystko to jednak jest nastawione na jak największą produkcję; autorzy nadużywają swych zdolności pisarskich i nie mają nic nowego do powiedzenia. Trudno nawet z tej lektury rozpoznać istotne oblicze kraju. W obecnym stanie nie mogę nic sam pisać, mam wrażenie, że to do niczego nie prowadzi i będę musiał przejść jakąś kurację, aby wrócić do akuratności. Przez kilka dni np. nie będę czytał nic, a potem przeczytam kilka stronik Martialisa lub Lukiana. Dla tych przyczyn nie przesyłam Panu nic do następnego numeru”.

Stempowski czytał książki krajowe dla kilku przyczyn. Przede wszystkim lektura ta była częścią jego strategii emigranta. Eseista stale współpracował z *Kulturą* Giedroycia. Pisząc w miesięczniku adresowanym również do czytelników

* Jerzy Stempowski, „Felietony dla Radia Wolna Europa”. Opracował Jerzy Timoszewicz. Wydawnictwo książkowe „Twój Styl”. Warszawa 1995, s. 171.

krajowych, zwracał się do ludzi żyjących w innym klimacie, doświadczających presji, o jakiej większość emigrantów nie miała pojęcia i mieć nie chciała, szczęśliwa, że komunizm bezpośrednio już jej nie dotyczy. Otóż Stempowski pojmował pisanie jako dialog z czytelnikiem i nie wyobrażał sobie sytuacji, że pisze dla kogoś, kto go nie zna, kto jest mu obojętny, dla kogo ma tylko dobre rady, przestrogi lub pośajanki. Nie chciał i nie umiał przemawiać *ex cathedra*, monopol na prawdę i doskonałość moralną wydawał mu się podejrzany. W najgorszych latach stalinowskich, gdy Katonów na emigracji nie brakowało, Stempowski nie poczuwał się do roli sędziego Polaków w kraju. Uważał, że autorzy wszystkich zgrabnych formułek, miotający gromy i anatemy herosi, są – by użyć jego ulubionego porównania – *veluti chimera in vacuo bombinans*, niczym chimera brzęcząca w próżni. Gdzie oni widzieli totalitarną ciemność i otchłań moralnej nędzy, Stempowski dostrzegał twarze przyjaciół, znajomych. Jedni – jak Maria Dąbrowska – zmagali się z losem, inni kapitulowali, jeszcze inni – jak Henryk Józewski – pragnęli już tylko anonimowości i spokoju. Stempowski odrzucał komunizm jako system zbrodniczy i nonsensowny, ale pamiętał o ludziach w ten system zaplątanych, bo od nich przede wszystkim zależała przyszłość Polski. Wystrzegał się pokusy łatwego ferowania ocen moralnych. Dla eseisty emigracja nie oznaczała zajęcia miejsca w panteonie nieomylnych; miała sens o tyle, o ile mogła być pomocna ludziom w kraju i przez to na bieg rzeczy w kraju wpływać. Gdyby więc nie *Kultura*, Stempowski po wojnie prawdopodobnie do pisania by nie wrócił.

Charakterystyczna jest reakcja eseisty na numer *Wiedomości* poświęcony Tuwimowi po jego śmierci; „Wygląda to tak – pisał – jak gdyby dawni przyjaciele Tuwima zebrali się na rodzaj sądu czy dintojry mającej sędzić zmarłego. Tego żadne, najbardziej nawet sprzedajne trybunały nie robią. (...) *Kultura* powinna pożegnać Tuwima w jakiś inny sposób, nie mówiąc nic o jego powrocie do kraju i odach do Stalina, bo te ostatnie nie są ważne dla niego i charakteryzują tylko stosunki, w których bez tego nie można się obyć” (list do J. Giedroycia z 17 lutego 1954 r.).

Tego wzoru trzyma się Stempowski omawiając książki krajowych autorów. W ich ocenie, zawsze wyważonej, spokojnej, stosuje przede wszystkim kryteria literackie. Zdaje sprawę ze swojego spotkania z książką, a więc postępuje bardziej jak

czytelnik niż krytyk. W istocie, sposób lektury, jaki obrał eseista, charakteryzuje asystematyczność. Jest to jeden z paradoksów jego twórczości; autor dziesiątków recenzji, wielu artykułów i felietonów na tematy bieżącego życia literackiego nie poczuwał się do roli krytyka. Deklarując się zawsze jako czytelnik, daleki od ustanawiania norm i kryteriów, czuł się zwolniony z obowiązku zajmowania pryncypialnego stanowiska i respektowania spójności określonego programu. W roli krytyka zachowywał się jak eseista, chadzał własnymi drogami. Nie forsował żadnej poetyki, nie służył swym piórem żadnej grupie literackiej czy pokoleniowej, nie miał nawet pisarzy, którym by systematycznie towarzyszył. Wątpiąc o szczególnej roli krytyki literackiej jako pośrednika między książką a odbiorcami, napisał, że wielcy pisarze „sami zdobywają szturmem wyobraźnię czytelników. Najwięksi zostawiają niczym się nie ścierające wspomnienie. Własna ich fascynacja jest silniejsza niż wszystkie pochwały, nagany i objaśnienia krytyków” („Czytelnik o krytyce”). Wobec rosnącej różnorodności wzorów i konwencji, jakimi posługuje się literatura współczesna, z niej samej „niepodobna dziś wydobyć żadnych ogólniejszych podstaw do oceny poszczególnych książek”.

Zdaje się więc, że krytyce Stempowski przypisywał raczej skromną rolę i sam jako krytyk nie pretendował do miana wyroczni. Co więc począć z leżącymi przed nami „Felietonami dla Radia Wolna Europa”? Czy są one już tylko dokumentem walk, jakie kultura polska i ludzie skupieni wokół *Kultury* toczyli z komunizmem? To niemało, bo walka ta została wygrana; wypada się uczyć od zwycięzców. Są jednak i inne przyczyny, dla których warto sięgnąć po „Felietony”. Ich autor jest jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich XX wieku. Sądzę, że widać to nawet w tych tekstach pisanych na marginesie głównych zatrudnień. Stempowski mówi tonem jasnym, na jaki potrafią się zdobyć ludzie patrzący na świat i na siebie z dystansem, a jednocześnie niezwykle wciąż ciekawi nowych spotkań, nowych lektur, podróży w nieznane.

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

Superlatyw bez pokrycia

Stefania Zahorska (1890-1961) pisała powieści, dramaty, eseje literackie, artykuły na tematy polityczne, kulturalne i społeczne. Część jej dorobku została ogłoszona za życia, część po śmierci. Do tych ostatnich należą: „Warszawa-Lwów 1939” (1964) i „Szczęśliwe oczy. Wybór studiów i esejów z dziedziny filozofii, historii i krytyki sztuk plastycznych 1921-1960” w opracowaniu Stanisława Frenkla (1970). W 1988 r. ukazało się „Potwierdzone istnienie. Archiwum Stefanii Zahorskiej” M.E. Cybulskiej, praca zawierająca materiały złożone przez Adama Pragiera po śmierci Stefanii Zahorskiej w Bibliotece Polskiej w Londynie. Te wszystkie pozycje opublikowała Polska Fundacja Kulturalna. Zahorską zapewne najbardziej ucieszyłaby „Warszawa-Lwów 1939”, miała bowiem ambicje powieściopisarskie, choć na tym polu odnosiła tylko ograniczone sukcesy. „Ziemia pojona gniewem” (1961) uzyskała na podstawie rękopisu nagrodę ufundowaną przez Polonię w Wenezueli, a przyznaną przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ale jest to rzecz wykoncypowana i słaba warsztatowo. Aleksander Wat, któremu Zahorska posłała manuskrypt z nadzieją przekładu i wydania we Włoszech odniósł się do niego z uprzejmą rezerwą. Zahorska zwróciła się do Norberta Gutermana (tłumacza m.in. Wierzyńskiego) z pytaniem czy powieść nadaje się na rynek amerykański, próbowała też u Gallimarda w Paryżu. Bez skutku, chociaż powody odrzucenia „Ziemii...” nie musiały mieć nic wspólnego z jej jakością. Czasy nie sprzyjały książkom antykomunistycznym. Jej wcześniejsza, krótka opowieść pt. „Stacja Abbeses” (1952) przeszła właściwie bez echa, jedynie „Ofiara” (1955) wzbudziła głębsze zainteresowanie i uznanie krytyki. Stało się tak nie dlatego, że Zahorska wykazała się wielkim kunsztem, tylko z powodów trafnie ujętych przez Lechonia w „Dziennikach”: „jest to nowela bardzo mózgową, zły, sztuczny dialog, sytuacje naciągane. Mimo to jest to literatura i odłożywszy tę książkę długo się później o niej myśli. Intelkt pierwszej klasy to jest prawie wielki talent” (t. III, str. 571). Przedwojenne, debiutanckie „Korzenie” (1937) zawierają interesujące wątki autobiograficzne, ale na tle ówczesnej prozy psychologicznej

prezentują się dość skromnie. Dramaty są po prostu nieudane. Zahorska zdawała sobie sprawę z niedostatku zdolności. W liście do Bronisława Przyłuskiego napisała: „inteligencja zabija we mnie nierówności i wysoki, potrzebne prawdziwej twórczości”. Jednakże na twórczym spełnieniu zależało jej bardziej, niż na innych dziedzinach pisarstwa, w których odnosiła sukcesy. Zabiegała o wydanie powieści, ale nigdzie nie ma śladu starań o zebranie prac z dziedziny filozofii, polityki, krytyki literackiej, a przede wszystkim historii sztuki, o której pisała profesjonalnie, przystępnie, ze smakiem, zdradzając bardzo indywidualny styl. Ta najważniejsza dziedzina jej zainteresowań leży właściwie odłogiem i dotychczas nikt w Polsce nie pomyślał o jej zebraniu mimo, że znikły przeszkody w dotarciu do piśmiennictwa emigracyjnego (Zahorska pisała głównie do *Wiadomości*). Nie tylko zresztą przeszkody zostały usunięte. Zaistniały perspektywy wypełnienia luk w jej twórczości i biografii. W Bibliotece Narodowej w Warszawie znajdują się nigdy nie drukowane „Listy z Nowego Świata”. Są to notatki z pobytu Zahorskiej w Sowietach, w 1934 r., dokąd jeździła jako krytyk kinematografii. Zostały odnalezione i ofiarowane Bibliotece przez Spółdzielnię „Społem”, w 1948 r. Ukazują zetknięcie Zahorskiej z totalitaryzmem i powolne rozwiewanie się złudzeń jakie jeszcze mogła żywić wobec ustroju w Sowietach. Obserwacje moskiewskie zostały odtworzone w kilku artykułach pisanych do *Wiadomości* w 1952 r.: „Moskwa 1934”, „Historia połyka rewolucję”, „W drodze do kołchozu”. Ich treść pokrywa się częściowo z fragmentami „Listów...”, co tylko dowodzi, że antykomunizm i niezłomność, manifestowane przez Zahorską na emigracji, były konsekwencją jej wcześniejszych doświadczeń. Słyszałam również, że zachowało się archiwum Leonii Jabłonkówny, słuchaczki wykładów Zahorskiej na Wolnej Wszechnicy, jej przedwojennej sekretarki i przyjaciółki. To ona, po śmierci Stefanii zebrała rozsypane po czasopiśmie publikacje sprzed 1939 r. i przesłała je Adamowi Pragierowi. Pragier wybrał niektóre z nich i przekazał Stanisławowi Frenklowi. Znalazły się w wyborze pt. „Szczęśliwe oczy”. Reszta przesłanego przez Jabłonkównę materiału uległa rozproszoniu. Nie jest wykluczone, że w archiwach Jabłonkówny, których miejsce w Warszawie nie jest chyba trudno ustalić, znajdują się listy, lub inne materiały dotyczące Zahorskiej. Wzmianek w „Dziennikach” Nałkowskiej i Dąbrowskiej nie sposób uznać za liczącą

cy się materiał biograficzny, ale są to nici łączące Zahorską ze sprawami rozgrywającymi się „za tamtego życia” – jak określiła kiedyś swoją przedwojenną egzystencję. Czas pracuje więc na korzyść Zahorskiej, stwarzając warunki do należytej prezentacji jej dorobku i biografii. Jednakże przewlekła nieobecność pisarki w obiegu czytelniczym wydaje się niezasłużona. Tak przynajmniej odczuwa ją Paweł Kądziała, który w artykule pt. „Przypomnienie Stefanii Zahorskiej” (*Przegląd Polski*, Nowy Jork, 6 kwietnia 1995) zarysował jej osiągnięcia, wybrał stosowne cytaty (najteższe emigracyjne pióra pochlebnie oceniały Zahorską) i poradził Polskiej Fundacji Kulturalnej, żeby zajęła się wznowieniem jej powieści i rozproszonych esejów. Widać nie wierzył w skuteczność swoich rad, bo wziął na własne barki to ważne zadanie. Rezultatem jego trudów są „Szkice i eseje literackie”^{*} z notą edytorską, która jest przedrukiem, z drobnymi zmianami, wyż. wymienionego artykułu. Nie ma, oczywiście, apelu do Fundacji, ale jest gwarancja jakości: „Czytelnik znajdzie tu najwybitniejsze eseje pisarki poświęcone polskiej literaturze i sztuce XIX i XX wieku”. Tą drogą czytelnik dowiedział się, że Cézanne, Matisse i Picasso to jest polska literatura i sztuka, ale nie dowiedział się według jakiej miary przymiotnik „najwybitniejsze” odnosi się do zaprezentowanego wyboru. Dlaczego recenzje „Sprawy Józefa Mosta” Naglerowej i „Ucieczki” Wita Tarnawskiego są najwybitniejsze, a „Wokulski – krzywe zwierciadło pozytywizmu” czy omówienie „Strof o malarstwie” Bronisława Przyłuskiego nie zasłużyłoby sobie na superlatyw. Dlaczego „sztuka symboliczna Bohusza-Szyszki” uznana została za szczyt pisarskich osiągnięć Zahorskiej, a „Malarstwo religijne Bohusza-Szyszki”, wstęp do jego teki „Rysunków” nie zyskał aprobaty Pawła Kądziały? Jest to szkic o wiele obszerniejszy, informujący o twórczej drodze malarza, o jego zasługach pedagogicznych (założenie Studium Malarstwa Sztalugowego) i o narodzinach polskiej sztuki na emigracji. A „Barok – styl wspaniały” czyż nie jest najwybitniejszy? Jest! Stanowczo! W każdym razie na jego tle błędnie „Malarstwo Marka Żuławskiego”. Dlaczego żaden z politycznych, ale splecionych z problematyką społeczną, kulturalną i etyczną szkiców

* Stefania Zahorska: „Szkice o literaturze i sztuce”. opracował Paweł Kądziała; Wydawnictwo książkowe „Twój Styl”. Seria Wydawnicza „Interim”, 107 + 1 str. Nota edytorska, indeks nazwisk. ISBN 83-85443-92-4.

Zahorskiej, nie zaliczył Kądziała do najwybitniejszych? Czyżby „Psychoanaliza faszyzmu”, „Humbug literatury postulowanej”, „Złudzenia realizmu”, „Herezje i inkwizycje” ustępowały czymś „Prawu moralnemu w ‘Sędziach’”? Za banał uchodzi stwierdzenie, że każdy wybór jest ograniczony i indywidualny, ale przecież są jakieś kryteria. Kądziała nigdzie ich nie sprecyzował, nie postarał się o zwięzły choćby zarys głównych nurtów eseistyki Zahorskiej, posłużył się niezawodnym ogólnikiem i „podparł” opiniami autorytetów. Czytelnik naprawdę gotów jest uwierzyć, że otrzymał najwybitniejsze szkice i na ich podstawie wyrobić sobie sceptyczny pogląd na osiągnięcia Zahorskiej.

Nie tylko szkice są najwybitniejsze, ale znalezienie ich najeżone było nadzwyczajnymi przeszkodami: „W niniejszym tomie dokonano wyboru z najtrudniej dostępnej (bo rozproszonej w czasopiśmie emigracyjnych i książkach zbiorowych) części dorobku Stefanii Zahorskiej”. Nie w czasopiśmie, ale w czasopiśmie, w *Wiadomościach*, a że Kądziała uznał je za najtrudniej dostępne, to już jest dla mnie prawdziwa rewelacja. Nie wyolbrzymiałabym też trudności z dotarciem do serii „Ludzi żywych” i do „Strat kultury polskiej 1939-1944”, skąd pochodzą eseje o Mickiewiczu, Wyspiańskim i S.I. Witkiewiczu.

Edytor nie postarał się o najskromniejszą nawet notkę bibliograficzną, a przecież z tym trudności na pewno by nie miał, bo do archiwaliów Zahorskiej dołączony został dość obszerny wykaz jej publikacji. Nie zadbał też o staranność swojej noty. Przy jednym tytule jest podany wydawca, przy drugim nie. Raz wymienia się źródło pochodzenia cytatu, drugi raz nie. Jest błąd w informacji o „Ziemi pojęnej gniewem”, która ukazała się na krótko przed, a nie po śmierci autorki. Całość przedstawia się nader anemicznie i nie daje wyobrażenia o zakresie eseistyki Zahorskiej, w każdym razie superlatyw, jakim Kądziała opatrzył swój wybór okazał się bez pokrycia. I po co zaraz posługiwać się superlatywem? Wystarczyłaby znajomość przedmiotu.

Maja Elżbieta CYBULSKA

Maria Hochberg-Mariańska

2 marca 1996 zmarła w podtelawiewskim szpitalu „Sziba” Maria Hochberg-Mariańska – publicystka, pamiętnikarka, autorka wierszy. Urodziła się 28 maja 1913 r. w majątku ziemskim swoich rodziców w okolicy Pilzna, w pobliżu Tarnowa. Skromne warunki materialne nie pozwoliły jej na ukończenie studiów w UJ. Osiadła w Krakowie i od r. 1936 redagowała dodatek dla dzieci w polskojęzycznej gazecie krakowskich Żydów – *Nowym Dzienniku*. W macierzystym piśmie oraz w innych miejscowych periodykach – *Ilustrowanym Kurierze Codziennym*, *Kurierze Literacko-Naukowym* i in. ogłaszała artykuły i wiersze reprezentujące – światopoglądowo – poezję syjonistyczną tworzoną po polsku. Tuż przed wojną miał się być ukazać w wydawnictwie Seidena zbiór wierszy dla dzieci; nie wydany rękopis zaginął.

Obdarzona tzw. dobrym wyglądem – co w owych czasach znaczyło: powierzchownością nie żydowską – wojnę przeżyła na „aryjskich papierach” i wtedy właśnie przybrała nazwisko: Mariańska. Stała się zawodowym konspiratorem i żołnierzem podziemia, wraz z późniejszym swoim mężem Mieczysławem Piotrowskim (Mordechajem Ben-cwi) w całości oddana niesieniu pomocy ukrywającym się, usiłującym ująć straszliwej pogoni Żydom. Związana z PPS-em (dawną komitywa łączyła ją z Józefem Cyrankiewiczem, Stanisławem Dobrowolskim i innymi działaczami tego krakowskiego kręgu polskich socjalistów) w zarządzie krakowskiego oddziału Rady Pomocy Żydom „Żegota” reprezentowała organizację żydowskie.

Powstały wówczas wiersze-zapiski obserwacji zjawiska, którego wymiarów jeszcze nie można było intelektualnie ogarnąć – Zagłady. Jeden z nich, „Bluźnierstwo” z r. 1943, znalazł się po wojnie w wydanej antologii „Pieśń ujdzie cało” (1947). Własne i męża okupacyjne dzieje, znakomicie literacko i odważnie merytorycznie opisał w – przez siebie samą napisanej, choć wspólnie z mężem firmowanej – książce wspomnień pt. „Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie”. Rzecz ta ukazała się naprzód w przekładzie hebrajskim (Jerozolima 1987) a potem dopiero w polskim oryginale (Kraków 1988), po którym nastąpiła

londyńska edycja tłumaczenia angielskiego.

Sądzę, że warto tutaj przepisać jedno z najwymowniejszych i nigdy nie tracących swojej bolesnej aktualności przemyśleń autorki w tej książce umieszczonych: „Wszystkie przykłady, zdobyte własnym doświadczeniem, nigdy nie wyczerpią tematu: Polacy i Żydzi w czasie okupacji. Ten rachunek między nami zostanie na zawsze otwarty i jedyną odpowiedzią na wszelkiego rodzaju pytania i dyskusje będzie odwaga mówienia prawdy. I my, Polacy, winniśmy historii prawdę, choćby najbardziej przykrą”.

Po zakończonej wojnie Mariańska pozostała w Krakowie i podjęła pracę w Żydowskiej Komisji Historycznej. Przyjmowała zeznania, notowała opowieści uratowanych, zbierała dokumentację dotyczącą indywidualnych losów Żydów ocalałych z hekatombi. Wróciła do pisarstwa. Autorce wierszy dla dzieci, redaktorce przedwojennego dodatku gazetowego przeznaczonego właśnie dla dzieci – koleje wojenne żydowskich dzieci właśnie były najbliższe. O nich więc pisała – a wszystko podpisywała podwójnym nazwiskiem Hochberg-Mariańska – w przejmującym szkicu pt. „Dzieci” zamieszczonym w zbiorowej księdze „W trzecią rocznicę zagłady ghetta w Krakowie” (1946) i o nich we wstępie do opracowanego wraz z Noe Grüsssem tomu świadectw „Dzieci oskarżają” (1947). O wyciągniętej z lwowskiego, tzw. janowskiego, obozu Janinie Hescheles opowiedziała w przedmowie do jej pamiętnika „Oczyma dwunastoletniej dziewczyny” (1946). Piotrowski i sama Pani Marysia wzięli osobisty, jak najbardziej czynny i o powodzeniu przedsięwzięcia w dużej mierze decydujący udział w zorganizowaniu ucieczki z tegoż lwowskiego obozu pisarza Michała Maksymiliana Borwicza. Więc i dla jego wspomnień zatytułowanych „Uniwersytet zbirów” (1946) przedmowa Hochberg-Mariańskiej wydała się bardzo właściwą.

W r. 1949 opuściła Mariańska Polskę i przybyła do Izraela; do śmierci mieszkała w podtelawiewskim Giwataim. Od chwili powstania w grudniu 1952 izraelskiego dziennika w języku polskim – *Nowin Izraelskich* została etatowym pracownikiem jego redakcji. W piśmie tym, które następnie przeobraziło się w *Nowiny-Kurier*, pisywała do roku 1963. Publikowała tutaj różnorodne artykuły publicystyczne własnym podpisywanym nazwiskiem, przez pewien zaś okres również i stały felieton sygnowany pseudonimem Osa.

Potem, w ciągu piętnastu lat, pracowała w telawiewskim oddziale Instytutu Historycznego Yad Vashem, gdzie też brała

udział w działalności komisji rozpatrującej wnioski o przyznanie tytułu Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata ludziom, którzy w czasie minionej wojny ratowali Żydów. Przede wszystkim jednak – jak niegdyś w Krakowie – przyjmowała i spisywała – a teraz już także nagrywała – opowieści ocalańców. Pewne, dotąd nie opublikowane teksty literackie, napisała w oparciu o zdarzenia zanotowane w trakcie przeprowadzania tych wywiadów. W r. 1966 ukazała się w Haifie książka wspomnień 26 autorów, którzy jako dzieci uszli w Polsce zagładzie – „Nowe życie” i Maria Hochberg-Mariańska napisała do niej słowo wstępne. Tak podpisywała swoje polskie publikacje, na hebrajskich bowiem uwidoczniała kolejne, oficjalne, hebrajskie imię i nazwisko – Miriam Peleg.

Była postacią szlachetną, człowiekiem prawym i odwagnym, wrażliwym na ludzką niedolę. Jako pisarka należała do tej, bardzo nielicznej z początku, liczby osób, które od razu po wojnie podjęły trud dokumentowania historii Żydów w Polsce czasu holocaustu. I właściwie nigdy tej sprawy nie porzuciła; poświęciła jej życie. I cały dorobek pisarski.

Ryszard LÖW

„Wświetlenie”

Wśród wielu różnych sposobów obcowania ze sztuką jeden wydaje się szczególnie trudny i zarazem owocny – ten mianowicie, który można by nazwać zgłębieniem medytacyjnym. Przeżycie, dźwięk, słowo czy obraz stają się tu punktem skupienia uwagi tak intensywnej, że wyzwalają poczucie pełni. I z takim właśnie sposobem obcowania z malarstwem mamy do czynienia w tomie Joanny Pollakówny „Myśląc o obrazach”*. Przede wszystkim ważne jest owo „myślenie” – skupienie myśli, ich zgęszczenie na obrazie czy twórczości wybranego mistrza, pozwalające na wniknięcie w świat tej

* Joanna Pollakówna: „Myśląc o obrazach”, Wyd. PAVO, Warszawa 1994, s. 144; Joanna Pollakówna: „Małomówność”, Wyd. PAVO, Warszawa 1995, s. 210.

twórczości, odczytanie znaczenia gestu kreacyjnego i jego wysłowienie. Nie chodzi wszak tylko o „oglądanie” obrazów czy ich analizę, choć, rzecz jasna, bez tych fraz pośrednich, stanowiących kolejne etapy przybliżania się do istoty znaczonego przez obraz kosmosu, nie byłoby możliwe jego ogarnięcie.

Przyznam się, że mówienie o tej książce sprawia istotną trudność. Nie chodzi bowiem o określenie metody interpretacyjnej. Chodzi o coś znacznie ważniejszego – o samo pojmowanie gestu kreacyjnego, który tyleż odsłania, co zasłania: obraz staje się tu kurtyną, ekranem, na którym wświetlane są cienie bytu prawdziwego. Sztuka w tym jej pojmowaniu – zaś malarstwo w szczególności – traktowana jest niejako jak błona, poprzez którą odbywa się osmotyczny ruch między dwiema sferami: egzystencją skazaną na czasowość i światem wartości wyjętym ze skazującej na destrukcję przestrzeni przemijania. Pozostając po jej jednej stronie, właśnie dzięki owemu ruchowi swym istnieniem utwierdzamy owe wartości i jednocześnie jesteśmy przez nie oświeclani. Istniejemy ku światłu prześwitującemu przez ekran obrazu. I tu następuje owa trudność, z której także i autorka zdaje sobie doskonale sprawę, gdy pisze, omawiając malarstwo Nicolasa de Staëla: „Istnieje jakaś miara prostoty i czystości, która wymyka się słowom, jak wymyka się im doświadczenie mistyczne”. W gruncie rzeczy zasadę tę odnieść można do całej sztuki, także sztuki słowa: czytamy wszak nie tylko te drobne znaczki druku, nie tylko litery, lecz, jak to stwierdził Martin Buber, także te białe przestrzenie, które tworzą ich tło – oto istota lektury medytacyjnej: „Lecz w istocie – pisał – owe czarne czcionki nie istnieją same, ale znakami nauki są też białe pauzy, tyle, że nie umiemy ich, jak tamtych, odczytać”.

Owa kabalistyczna zasada towarzyszy też myśleniu o obrazach w książce Pollakówny. Nie jest też przypadkiem, że w interpretacji obrazu Georges de La Toura przywołuje nawiązania do księgi „Zohar” wyłaniającej się z tego samego ducha wielkich przestrzeni świata rozświetlonego płomieniem poznania. Rozświetlonego na moment i w tym momencie właśnie ogarniętego w pełni, ale w formule, której nie da się do końca odczytać, choć zapisana w niej wiedza jest niemal materialnie odczuwalna. To owo olśnienie, które przywołuje autorka w próbie odtworzenia gestu kreacyjnego malarstwa Józefa Czapskiego: „Ale ta praca – pisze – ascetyczna i wyszczupiona, bywa czymś, jak mozolne i długie pocieranie dwóch krzemieni; nadchodzi oczekiwany moment – i iskra prze-

latuje. Jest gorączka, płomień i widzenie chłodne, wyraziste, objawienie jakiejś całości w zobaczonym od nowa ułamku świata. Najważniejszym w tym cytacie słowem, określającym sens owego gestu, jest wyraz „praca”. To określenie owego wysiłku poznawczego, który zagarnia w siebie dwie metafory światła – pierwszą jest olśnienie przywołane w tytule cytowanego eseju, drugim – objawienie. Skupiają się one w trzeciej jego metaforze – w oświeceniu będącym efektem rozumienia sensu pracy malarza. Przy czym warto się przyjrzeć procesowi odtwarzania tego trudu pokazanemu w szkicu o Chardinie. „Myśl o tym, jak malarz (...) nieznacznie przesunął przedmioty trochę wzrusza; można wyobrazić sobie rękę, która leciutko, co milimetr, przyciąga ku sobie uchwyt rynienki, wysuwa cokolwiek poza krawędź biały korzonek pora. To są uważne, czułe ruchy. I zaraz potem nadchodzi przypływ bezmiernego skupienia, zapamiętania w sposobach obcowania ze sobą tych kształtów”. Zauważmy, jak oto niepostrzeżenie owa „rodzina skromnych rzeczy” zmienia się pod piórem autorki w grę form. I wreszcie moment najtrudniejszy – chwila odczytania obrazu: „Trudniej pojąć, jak dochodzi do tego, że z malarskiego zapatrzenia, modlitewnego zapamiętania się w paru barwnych formach (...) rodzi się znak ukojonego ładu. Gwarancja ładu wyższego, który chyba i nas ogarnia”.

Podobny proces dochodzenia do owego olśnienia światłem ładu wyższego możemy prześledzić także w poezji Pollakówny, której rozwój jest wyznaczany przez proces narastania świetlistości, rozświetlania, wświetlenia wreszcie, które staje się przedzieraniem przez ciemną przestrzeń przemijania, jak w wierszu „Sny”, w którym przeczytamy: „– Patrz, wświetlasz się w powietrze, / chcesz, to się przez śmierć przedrzesz, / a tak długo Cię brakło, / widać chciałaś za mało, / Mamo” lub jak w poprzedzającym go „Rozstaniu”: „Za czarnością rozstanie / za rozpaczą lodową / zaprogową jasnością / wokół nas wstanie Słowo; / nas – odbłasków w światłości – / nieosobnych, wświetlonych – / mój Kochany, żegnany, / w wielkim blasku tracony”.

Jest to poezja nasączona światłem, które w „roziskrzonych myśli” łączy „Wielki smutek nad życiem i zachwyt nad życiem” by dotrzeć, jak w „Snach nocy zimowej” do „poświaty niegasnącej” wiary w Życie Wieczne. Ból istnienia, dławiący ból egzystencji łączy ta liryka z „żarzącą miłością”. Przy czym ważna wydaje się kompozycja całego tomu, stano-

wiącego wszak retrospektywny wybór z całej dotychczasowej twórczości. Zbiór otwierają wiersze ostatnie, najnowsze, te właśnie, których promiennosc czy świetlistosc przenika i rozjaśnia w trakcie lektury utwory powstałe wcześniej, ukazując je – jak spojrzenie z góry na przebytą drogę – jako proces wstępowania (nieważne czy świadomego, czy nie: ważne natomiast, że traktowanego jako praca kształtująca językową materię istnienia), drogę ku blaskowi. Dodajmy: drogę, która nie ma końca i która jest zatem nieskończonym, wiecznym dialogiem z głosami innych. Można tu – opisując ową przestrzeń dialogu – odwołać się do słów samej Pollakówny opisujących dialogowość malarstwa Nachta Samborskiego: „ekrany malarskiej pamięci bywają rozstawione w coraz bardziej uciekających w głąb odległościach, ale przesuwające się po nich zamglone i dalekie cienie obrazów miewają swój nieuchwytny udział w pamięci i wyobraźni”.

Warto sobie zdać sprawę z faktu, że zarówno w omawianym tomie szkiców o obrazach oraz w zbiorze wierszy, wspólną, łączącą je kategorią jest kategoria światła. Byłoby zapewne nadużyciem traktowanie owych esejów jako swego rodzaju programowej wypowiedzi o sztuce, w tym również o własnym pojmowaniu poezji, niemniej taka właśnie interpretacja wydaje się kusząca. Tym bardziej, że w końcu sama autorka ten trop podsuwa, gdy pisze, analizując malarstwo Spychalskiego, że rządzi nim „prawo – czyż nie będące formułą poezji? – kondensacji i miary”. I tym bardziej, że właśnie dialogowe otwarcie, skupienie na odczytywaniu znaków stawianych przez innych jest bez wątpienia wspólne dla obu tych książek – w końcu podobnie jak we wpatrywaniu się w obrazy Lebensteina punkt skupienia myśli znajduje Pollakówna także w lekturze Nabokova. To dążenie do współ-czucia, współ-myślenia przenika zarówno jej poezję i esejystykę, staje się coraz silniejszym imperatywem kształtującym formę współ-istnienia: istnienia ku światłu. Radości istnienia w cieniu smutku istnienia, smutku najpełniej chyba ewokowanym w „Żalu po zdjętym obrazie”:

*Zasklepila się przestrzeń
Kolor uszedł w powietrze
Prąd światła zatamowany
Ślepy pokój, bielmo ściany.*

Leszek SZARUGA

„Węgry moja miłość”

Wspomnienia Camilli Mondral, tłumaczki poezji i prozy węgierskiej, noszą tytuł „Węgry moja miłość” i opowiadają o wielu węgierskich przyjaźniach, a przede wszystkim o pobycie na Węgrzech w latach 1939-45. Jako ekonomista znalazła wówczas pracę w węgierskiej firmie, jako mistrz szermierki miała przedwojenne znajomości z kilkoma polskimi oficerami, którzy zajmowali się teraz między innymi przerzucaniem żołnierzy do Francji oraz tajnymi kontaktami z krajem. W konspiracji pomagały jej z kolei znajomości z szermierzami węgierskimi, w tym z mistrzem Węgier, również z oficerami, a nawet paru generałami (przez jednego z nich wprowadzona została do rezydencji regenta Horthy'ego i grywała z nim w tenisa).

Moje własne doświadczenie węgierskie było bez porównania skromniejsze i krótsze: Czarnohorę przeszedłem wraz z bratem na nartach w marcu 1940 roku, miesiąc później byłem już we Francji. Ale serdeczność z jaką nas Węgrzy przyjęli pozostała mi na zawsze w pamięci. Natomiast rodzice moi i siostra, którym udało się opuścić okupację sowiecką z pomocą kłusowników huculskich dopiero w maju 1940, pozostali na Węgrzech aż do roku 1946. Od nich też słyszałem, gdyśmy się znowu spotkali, długie opowieści o tych sześciu latach, o niezwykle wprost życzliwości wszystkich Węgrów, poczynając od pisarzy i tłumaczy poezji, poprzez Józsefa Antala, dyrektora wydziału opieki nad uchodźcami, a kończąc na chłopach z Puszy. Toteż gdziekolwiek spotykam jakiegoś Węgra lub Węgierkę, zaczynam od wyrażenia im wdzięczności za tę gościnność. To uczucie wdzięczności odnalazłem w uroczej książce Camilli Mondral, która jedno z opowiadań kończy słowami: „domem stał się dla nas ten kraj wtedy, kiedy własnego domu nie mieliśmy”.

Można sądzić, że u podłoża tej życzliwości była – niekoniecznie całkiem uświadomiona – wiedza o podobieństwie losów Węgier i Polski: rozbiory Polski i losy Węgier w XIX w., a następnie rozbiór po roku 1918. Dzisiaj gdy zawałił się zarówno ład powersalski jak i „święte przymierze” jałtańskie, widać lepiej, że główną ofiarą pierwszego byli Węgrzy, a Jałta,

odpisując Europę Środkowo-Wschodnią na straty, była powrotem do stanu *quo ante* 1938, z poprawkami na korzyść Rosji sowieckiej (*quo ante* 1914).

Pierwsza część książki, zatytułowana „Etapy” opisuje przygody konspiracyjne autorki, rozpoczęte w roku 1939 niewinnym stosunkowo „wykradzeniem” przy pomocy jednego z węgierskich kolegów-szermierzy polskiego pułkownika z obozu jeńców, kontynuowane powrotem przez zieloną granicę z Jugosławii (przez którą w czerwcu 1940 nie zdążyła już dotrzeć do Francji), a zakończone aresztowaniem przez Gestapo, gdy w marcu 1944 czołgi niemieckie zajęły Budapeszt. Wspomnienia są znakomicie skonstruowane: po opisie aresztowania i pierwszego przesłuchania, autorka oczekując na celi na następne, zastanawia się, o którym ze znajomych Węgrów może mówić a o kim lepiej jest milczeć. Czytelnik otrzymuje w ten sposób całą galerię postaci z najróżniejszych środowisk, przychylnych Polakom i pomagających im na rozmaite sposoby.

Historii pobytu na Gestapo nie brak momentów dramatycznych, jak na przykład wizja lokalna, na którą wiozą autorkę do jej własnej piwnicy, gdzie pod stosem drzewa na opał schowane są papiery komórki przerzutowej, w tym blankiety dokumentów niemieckich. Dosyć, aby pojechać do Oświęcimia. Otwierają drzwi do piwnicy: „Co to? Na pewno ta sama, a jednak nie ta... Idealny porządek, moje drzewo opałowe poukładane pod półką, podłoga zamieciona, żadnych podejrzanych rzeczy. Stał się cud”. To jeden z przyjaciół, który wiedział o aresztowaniu Camilli Mondral dopilnował, by kompromitujące papiery zniknęły.

Nie wysłano jej więc do Oświęcimia, lecz do obozu pracy pod Wiedniem, gdzie naprzód została sekretarką w biurze odbudowy miasta (sic), a potem robotnicą w fabryce. W marcu 1945, gdy zapowiedziano wymarsz na zachód, dwie Polki dołączyły do 120 robotników francuskich, którzy wyszli z obozu, ale w kierunku lasów i gór. Po kilku dniach były tam już wojska sowieckie. Potem odmarsz na wschód, jazda na platformach kolejowych do Veszprém, skąd Francuzi pojechali do Odessy, a obie Polki do Budapesztu. Odyseja była skończona.

Szkic „Wycieczka w nieznane” jest wspomnieniem z wyprawy z węgierskim przyjacielem, mistrzem szermierki, do przyłączonych wtedy chwilowo do Węgier Karpat siedmiogrodzkich. Jedyną dramatyczną przygodą jest tu

ucieczka przed burzą wysokogórską, a jedynym akcentem politycznym spotkanie ze słynnym narciarzem Staszkiem Marusarzem, którego w tych górach ukryli koledzy z węgierskiego związku narciarskiego, jako kierownika budowy stoczni. I tu znowu opis jego przygód od ucieczki z więzienia Gestapo na Montelupich oraz pomocy, której doznał od węgierskich przyjaciół.

Pozostałe szkice poświęcone są przyjaciołom-Węgrom z lat późniejszych: dzieje przyjaźni z Arpadem Gönczem, który nauczysz się angielskiego w celi, do której trafił w roku 1956 z wyrokiem śmierci i gdzie spędził półtora roku, został najpierw – jeszcze w więzieniu – tłumaczem, potem pisarzem, a po upadku komunizmu – prezydentem Węgier.

Następne z kolei wspomnienie opowiada o poetce Gracji Kerenyi, która w wieku dziewiętnastu lat zapoznała się z Oświęcimiem za „niepochlebne wyrażanie się o niemieckich zbrodniach” w marcu 1944. Wspomnienie ilustrowane jest wierszami Gracji Kerenyi. Camilla Mondral zaczęła ją tłumaczyć z węgierskiego, gdy około roku 1952 zrezygnowała z posady dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa („zamiast stu tysięcy dawnych złotych pensji dostałam około trzydziestu, ale już nie rujnowałam kraju, tylko budowałam polsko-węgierską przyjaźń”).

Gracja Kerenyi zakochała się w Polsce, gdy przyjechała z wycieczką w roku 1952... Odtąd, „gdziekolwiek losy ją rzuca, zawsze ma skojarzenia z Polską”. Tak na przykład na Akropolu, gdzie czerwone maki przypominają jej piosenkę polskich żołnierzy, „bo tu o nich myślę, choć nie słyszę polskiej mowy”. Grecja kojarzy się jej ze Słowackim, a „Agora w Argos mogłaby być rynkiem w Myślenicach”.

Cała książka, napisana z prawdziwie młodzieńczą werwą między rokiem 1981, gdy autorka miała lat siedemdziesiąt, a rokiem 1993, jest nie tylko świadectwem miłości do Węgier i do Węgrów, ale też pomnikiem niespożytej energii autorki, towarzyszącej jej od młodości aż po ostatnie, późne lata.

Andrzej VINCENZ

Droga do Zabulistanu

Autor książki, o której piszę* jest dziś profesorem etnologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, a przedtem był – kolejno: uczniem 1-ej klasy szkoły powszechnej w Katowicach (tuż przed wybuchem wojny), pół-lwowianinem w latach 1939-46, gimnazjalistą w Katowicach po powojennej „repatriacji”, studentem prehistorii i etnografii w Krakowie w okresie 1950-55, a następnie utrzymującym się z różnych rwących się inicjatyw (nędznie płatne badania etnograficzne „w terenie”, redagowanie utraconego po pewnym czasie przez władze pisma krajoznawczego *Ziemia*, doraźne *odd jobs*), młodym człowiekiem w poszukiwaniu miejsca w nader mało życzliwym dla nonkonformistów (zwłaszcza politycznych) świecie. „Swoboda na smyczy” składa się z 16-tu rozdziałów-szkiców, barwnie i szczegółowo odtwarzających kolejne etapy młodości autora (z wyjątkiem okresu lwowskiego, opisanego przezeń już uprzednio w książce pt. „Lwów nie każdemu zdrow” (Wrocław 1991); *vide* recenzje niżej podpisanego w *Kulturze* (4/535, 1992). Szczególnie dokładnie (11 rozdziałów) opisany został okres krakowski, przy czym nacisk pada tu nie tyle na określone zdarzenia czy ludzi, a raczej na całość ówczesnej atmosfery – modę, styl rozmów, trudności życia codziennego, reakcje na oficjalną szarżę komunistyczną i inne elementy codzienności. W pewnym sensie – jak fotograficzny niemal reportaż z Polski stalinowskiej – jest to odpowiednik Tyrmandowskiego „Dziennika 1954”, choć autor niewątpliwie zachnie się na to porównanie, ponieważ w książce jawi się on jako typ człowieka o daleko sztywniejszym „pionie moralnym” i daremnie by tu szukać opisu porannych odwiedzin pani Lali, romansu z 16-latką czy jakichkolwiek romansów w ogóle. Zamiast tego czytelnik otrzymuje solidną porcję wiedzy o speleologii, topografii krakowskich pomieszczeń uniwersyteckich, zakupach na „tandecie” (= targu zachodnich ciuchów), wspinaczce w skałkach podkrakowskich, pracy przy wykopaliskach i nawet – małe arcydzieło obser-

* Leszek Dzięgiel, „Swoboda na smyczy (Wspomnienia 1946-1956)”, Wyd. ARCANA, Kraków 1996, 285 str. ISBN 83-86225-55-6.

wacji – relację z pobytu w sanatorium chorych na gruźlicę kości. Niemniej autorów „Swobody na smyczy” i „Złego” – którą to książkę zresztą Dzięgiel po ponownym odczytaniu chłopskie niechętnie z przyczyn nie całkiem dla mnie zrozumiałych – łączy sporo: radykalny antykomunizm, zamiłowanie do „utrzymywania fasonu” w każdych okolicznościach, bystre oko do charakterystycznych szczegółów, dosadność sądów o bliźnich, skłonność do opisów przez przywołanie wyszukanych stereotypów (por. np. „Wysoki, szczupły chłopak o mongoidalnej twarzy i kłosa turkańskiego, ozdobionej nitkowatym wąsikiem...” – to z Dzięgla, ale mogłoby być i z Tyrmanda) i w ogóle lekko manichejskie spojrzenie na rzeczywistość, która gładko i bez reszty rozpada się na dziedziny rzeczy aprobowanych i dezaprobowanych (to częściej!) przez „podmiot postrzegający”. Postawa taka sprzyja ostrości rysunku i satyrze, zwłaszcza, że o opisywanym czasie *difficile est satiram non scribere*, toteż omawiana książka jest napisana wyraziście i dowcipnie, choć nie jest to humor Makuszyńskiego, lecz raczej Mrożka. Nie jest to przypadek: ten typ humoru – ujmowania świata w ironiczny cudzysłów – był wówczas bardzo rozpowszechniony i świetnie ilustruje to przedostatni rozdział, poświęcony tzw. Zabulistanowi, w którym autor przemieszczał czas niejaki. Oddajmy mu w tym miejscu głos:

„Poddasze wynajmowaliśmy od sędziwej już, dystygowanej pani, wdowy po wyższej rangi przedwojennym urzędniku. Na dole zajmowała tylko jeden z pokoiów swojego starego, rozległego mieszkania. W reszcie pomieszczeń rezydowały rodziny dokwaterowane w rozmaitych okresach i okolicznościach. Całe poddasze [nad kuchnią owego mieszkania] zostało kiedyś ochrzczone Zabulistanem. Źródłostów krył się nie w nazwie posępnej, pustynnej krainy na pograniczu Iranu i Afganistanu, którą po latach istotnie odwiedził jeden z honorowych obywateli poddasza. Kamienica miała ciężką, ozdobną bramę, tradycyjnym obyczajem zamykaną na klucz przez starą dozorczynię, punktualnie o 11 wieczór. Kto po tym terminie chciał wejść lub wyjść, musiał wywoływać dzwonkiem odzianą w długi, brudno-różowy szlafrok staruchę. [...] Trzeba było jej bulić forszę za tę usługę. Nazywałem ją przeto Zabulisiewiczową, strażniczką górskiej twierdzy Zabulistanu”.

Zabulistan rozwinął własny folklor, styl bycia i myślenia, cechujący się surrealistyczną groteską – później kojarzoną automatycznie z krakowską „Piwnicą pod Baranami” (*no relation!*). Autor wyraźnie podkreśla samorodność tej aury:

„Im paskudniejsza i bardziej załgana rzeczywistość nas otaczała, tym weselej dworowano z niej sobie na zabulistańskim poddaszu. [...] Zrunderowane poddasze było w tej pełnej napięć epoce połowy lat 50-tych nadzwyczaj cichą przystanią. Nikt nie próbował nas stamtąd wyrzucać, by zawładnąć tym pomieszczeniem, nieatrakcyjnym i niewygodnym. Mury tłumiły hałasy uliczne. Przez ich filtr otaczająca nas rzeczywistość docierała w dziwnie złagodzonej formie. [...] W owych czasach przynajmniej na samotność nie mogliśmy narzekać. Być może właśnie owo bujne, wesołe życie towarzyskie, wieczorne posady i przyjacielskie śpiewy sprawiały, że mieszkańcy i odwiedzający ich goście zatracali poczucie bezpowrotnie mijającego czasu. Dni płynęły, zmieniały się w tygodnie, a te w miesiące. Nasze pokolenie uczyło się czekać w przyczajeniu od dziecka. Na koniec wojny. Na powrót zaginionych w zawierusze bliskich. Na wolną Polskę. Na cień odmiany. Wiecznie też ktoś czekał na jakąś obiecaną mu w Krakowie pracę, na materiały do przygotowywanej od wieków magisterskiej rozprawy, na spodziewane stypendium naukowe. Albo przynajmniej wmawiał sobie, że czeka. Nikt z nas nie uczestniczył w ekskluzywnych balach artystycznych. Nie chadzał do kawiarni. [...] W dziwacznym pokoiku pod ukośnym, obłupanym z tynku dachem było nam najlepiej. Usiłując wyjść na swoje i jakoś utrzymywać się na powierzchni, nie wdawaliśmy się w nieczne układy. Nie chcieliśmy być ‘ze wszystkimi dobrze’. Pewnie dlatego te wysiłki i starania natrafiały zewsząd na trudny do przebycia mur. Nie próbowaliśmy też z wieczornych posadów zabulistańskich robić publicznych widowisk i nie handlowaliśmy naszymi dowcipami. Równocześnie przypuszczam, że podobnych, kameralnych środowisk towarzyskich było wtedy sporo, zarówno w Krakowie, jak i w innych miastach Polski”.

Wspomnienia z czasów sprzed lat czterdziestu są wyjątkowo niewdzięcznym tematem: dla młodszych czytelników współczesnych to „nieciekawa starzyzna”, dla starszych – „już nieaktualne”. Nim temat się „jak figa ucukruje” musi

zawycząj upłynąć więcej lat, niż unieść je mogą wspominający. Dlatego tak niewiele jest dobrych, autentycznych wspomnień o codzienności opisanego przez Dzięgła okresu, a który z wielu względów nie powinien odejść w niepamięć. Winniśmy więc szczerą wdzięczność temu etnologowi za to, że poświęcił sporo swego czasu, trudu i talentu nie tylko krajom Bliskiego Wschodu (jego dziedzina zawodowa), ale i krakowskiemu Zabulistanowi lat 50-tych.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- OPLATKA (Andreas). *History Returns*. Str. 96. (Wyd. Vontobel Foundation, Zürich 1994).
- Mehr Mut zur Musse. *Keline Kulturgeschichte der Liebe zum Beruf*. Str. 75. (Wyd. Bank Vontobel, Zürich).
- WOS (Jan Władysław). *I Polacchi a Trento*. Str. 76. (Wyd. Dipartimento di Scienze Filologiche e Storiche, Trento 1996).
- BELLINI (Paolo). *Carte geografiche della Polonia (sec. XVI-XIX)*. Str. 197. (Wyd. Università degli Studi Trento, 1995).
- PROKOP (Jan). *Pisarze w służbie przemocy*. Str. 112. (Wyd. VIRIDIS, 1995).
- CIESIELSKA-TARKOWSKA (Kryszyna). *Wiersze*. (Wyd. nakładem autorki).
- RZEWUSKI (Lech). *Dikter av en främling eller Ω = motstånd eller vrede och hat är också viktiga känslor...* Str. 92. (Wyd. Norma bokförlag, Borås 1995).
- Ludzie i instytucje. *Stawianie się* ładu społecznego. Pamiętnik IX Ogólnopolskiego Zjazdu Socjologicznego. Tom 1. Str. 480. Tom 2. Str. 304. Polskie Towarzystwo Socjologiczne. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- KRALL (Hanna). *Taniec na cudzym weselu*. Str. 173. (Wyd. BGW, 1994).
- KRALL (Hanna). *Dowody na istnienie*. Str. 149. (Wyd. a5, Poznań 1995).
- HOŁOBORODKO (Wasył). *Ikar na moryliach skrzydłach*. Str. 151. (Wyd. Świat Literacki TYRSA, Warszawa 1995).
- KALYNEC (Ihor). *Podsumowując milczenie*. Str. 205. (Wyd. Świat Literacki TYRSA, Warszawa 1995).
- WYCZAŃSKI (Andrzej). *Nauka – między przeszłością a przyszłością*. Str. 134. (Wyd. Polska Akademia Nauk, Centrum Upowszechniania Nauki, Warszawa 1995).
- WALC (Jan). *Ja tu tylko sprzątam. Felietony i szkice z lat 1988-1993*. Str. 447. (Sżpak, Warszawa 1995).

- RODOWSKA (Krystyna). *Szelest półmrok sens*. (Wyd. GDZIE IN-DZIEJ Wydawnictwo Tadeusza Nuckowskiego, Przemyśl 1995).
- Kto był kim w drugim obiegu? Słownik pseudonimów pisarzy i dziennikarzy 1976-1989. Red. Dobrosława Świerczyńska. Str. 285. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995).
- STYCZEŃ (Janusz). *Poezja mroku*. Str. 52. (Wyd. OKIS, 1994).
- MUSZKOWSKI (Krzysztof). *Intra Muros*. Str. 198. (Wyd. Fundacja Monumentis Patriae, Kraków 1993).
- PASIERB (Janusz St.). *Butelka lejdejska*. Str. 55. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995).
- LIWSZYC (Benedikt). *Półtoraoki strzelec*. Str. 273. Przekład A. Pomorski. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995).
- STRUGAŁA (Wojciech Izaak). *Rozmontowany pociąg*. Str. 63. (Wyd. OKIS, 1996).
- JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA Genowefa. *Dożywocie*. Str. 63. (Wyd. MINIATURA).
- Cień serca. Wybór Antoni Matuszkiewicz. (Wyd. Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Świdnica 1995).
- KULA (Marcin). *Niespodziewani przyjaciele czyli rzecz o zwykłej ludzkiej solidarności*. Str. 280. (Wyd. TRIO, Warszawa 1995).
- ANDRUCHOWYCZ (Jurij). *Rekreacje*. Str. 116. (Wyd. Świat Literacki, Warszawa 1995).
- KAPLAR (Anna). *Zanim ciemność*. Str. 103. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1995).
- KAPLAR (Anna). *Kochać przyszłam*. Str. 131. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1995).
- KAPUŚCINSKI (Ryszard). *Lapidarium II*. Str. 157. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995).
- DURRELL (Lawrence). *Kwartier Aleksandryjski. Justyna*. Str. 367. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995).
- STRUGAŁA (Wojciech Izaak). *Fantasmagoria*. Str. 83. (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- PIASECKI (Sergiusz). *D'arcans et de brume*. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Paris 1995).
- Oberschlesisches Jahrbuch, Band 11, 1995. Str. 373. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin).
- I presepi di Cracovia. Str. 133. (Wyd. Libri Scheiwiller, Milano 1995).
- KÖNIG (Peter). *Alpsommer Ein Unterländer Wird Senn*. Str. 76. (Wyd. Vontobel-Stiftung, Zürich 1995).
- GORECKI (Jan). *Justifying Ethics. Humans Rights & Human Nature*. Str. 154. (Wyd. Transaction Publishers, New Brunswick, USA).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Powidoki 2. Wspomnij ten domek na Gęsiówce...* Str. 235. (Wyd. ALFA, Warszawa 1996).
- STEMPOWSKI (Jerzy). *Felietony dla Radia Wolna Europa*. Str. 171. (Wyd. Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1995).
- Bo insza jest rzecz zdradzić, insza dać się złudzić. Problem zdrady w Polsce przełomu XVIII i XIX w. Praca zbiorowa pod redakcją Anny Grześkowiak-Krwawicz. Str. 206. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- TWARDOWSKI (Kasper). *Pochodnia miłości bożej. Z pięćdziesięciu ognistych*. Str. 92. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- WITTLIN (Józef). *Eseje rozproszone*. Str. 233. (Wyd. Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1995).
- ZAHOŃSKA (Stefania). *Szkice o literaturze i sztuce*. Str. 107. (Wyd. Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1995).
- Biuletyn nr 9. *Siedemdziesięciolecie Polskiego PEN Clubu*. Przemówienie, przesłania, apele, listy, telegramy.
- KALINOWSKI (Jerzy), ŚWIEŻAŃSKI (Stefan). *Filozofia w dobie soboru*. Str. 177. (Wyd. Biblioteka Więzi, Warszawa 1995).

- KATZ (Janina). *Uden for saeson*. Str. 49. (Wyd. Vindrose, 1996).
- Polski PEN Club 1975-1995. Str. 344, ilustracje. (Publikacja Polskiego PEN Clubu na 70-ciolecie stowarzyszenia, Warszawa 1995).
- URBAŃSKA (Dorota). *Wiersz wolny*. Próba charakterystyki systemowej. Str. 163. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- STALA (Krzysztof). *Na marginesach rzeczywistości*. O paradoksach przedstawiania twórczości Brunona Schulza. Str. 259. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- MORSZTYN (Hieronim). *Światowa rozkosz*. Z ochmistrzem swoim i ze dwunastą swych służebnych panien. Str. 78. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- LIKIERNIK (Stanisław). *Une jeunesse polonaise 1923-1946. Damnée chance au doigt de Dieu?* Str. 255. (Editions l'Harmattan, Paris 1996).
- ZADENCKA (Maria). *W poszukiwaniu utraconej ojczyzny*. Obraz Litwy i Białorusi w twórczości wybranych polskich pisarzy emigracyjnych. Florian Czarnyszewicz, Michał Kryspin Pawlikowski, Maria Czapska, Czesław Miłosz, Józef Mackiewicz. Str. 219. (Wyd. Acta Universitatis Upsaliensis, Studia Slavica Upsaliensia 35, Uppsala 1995).
- BYSTRZYCKI (Przemysław). *Szabasy z Brandstaetterem*. Str. 297. (Wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1995).
- LIZAKOWSKI (Adam). *Nie zapłacony czynsz*. Wiersze poetyckie. Str. 78. (Wyd. OBOK – Oficyna Wydawnicza, Dzierżoniów 1996).
- Polacy i Niemcy pół wieku później*. Księga Pamiątkowa dla Mieczysława Pszona. Str. 550. Fot. (Wyd. ZNAK, Kraków 1996).
- CZĘSTOCHOWSKI (Ryszard). *Inna wersja*. Str. 64. (Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1996).
- WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Granice świata*. Str. 111. (Wyd. Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1995).
- Dawna książka francuska w zbiorach Książnicy Cieszyńskiej. Les Livres anciens français du Fonds de Cieszyn*. Katalog wystawy. Str. 16.
- Ogólnopolskie seminarium i warsztaty na temat ochrony zbiorów zabytkowych w regionie*. Cieszyn 20-22 września 1995. Materiały. Str. 86. (Wyd. Książnica Cieszyńska, Cieszyn 1995).
- FAST (Piotr). *Spotkania z Brodskim*. Str. 157. (Wyd. Wirydarz, Wrocław 1996).
- BRODA (Marzena). *Cudzoziemszczyzna*. Str. 74. (Wyd. a5, Poznań 1995).
- SONNENBERG (Ewa). *Hazard*. Str. 80. (Wyd. Astrum, Wrocław 1995).
- Archiwum Literackie*, tom XXVIII. *Miscellanea z okresu Młodej Polski*. Red. T. Lewandowski. Str. 454. (Wyd. IBL PAN, Warszawa 1995).
- NASIŁOWSKA (Anna). *Trzydziestolecie 1914-1944*. Str. 215. (Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1995).
- MICHEL (Patrick). *Kościół katolicki a totalitaryzm*. Str. 210. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1995).
- Między Wschodem a Zachodem*. Studia z dziejów polskiego ruchu i myśli socjalistycznej. Red. Andrzej F. Grabskiego i Pawła Samusia. Str. 293. (Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1995).
- WIR – Edycja Literacka nr 2. *Poetki z ciemności. Dichterinnen aus dem Dunkel*. Str. 415. (Wyd. Polsko-Niemieckie Towarzystwo Literackie, Berlin 1995).
- ZAMIR (Israel). *Mój ojciec Bashevis Singer*. Przekład z hebrajskiego A. Klugman. Str. 233. (Wyd. Oficyna Wydaw. MOST, Warszawa 1995).
- MAZURKIEWICZ (Stanisław). *Jan Mazurkiewicz*. „Radosław”, „Sep”, „Zagłoba”. (Wyd. nakładem autora, Warszawa 1994).

Polemiki

Prawda jest inna

W polemicznym artykule pt. „Ratowanie Wiadomości” (*Kultura*, Styczeń/Luty 1996) pani Stefania Kossowska broni swej decyzji zamknięcia tygodnika *Wiadomości* w 1981 r. Oburza się na mnie z powodu wzmianki na ten temat w londyńskim *Pamiętniku Literackim* (t. XX, 1995). Cieszy przynajmniej, że jest on jednak przez nią czytany wbrew siłom się na złośliwość i z prawdą niezgodnym twierdzeniom dobrze jej znanego autora, próbującego pod maską pseudonimu „Quidnunc” wykiwać i pomniejszać działalność Polskiego Towarzystwa Naukowego i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Z braku miejsca muszę odpowiedzieć w skróconej formie. *Wiadomości* kupowałem i czytywałem regularnie, trwaniem ich zainteresowany byłem, możliwości ratowania nie miałem. Jednak podejmowane rozmowy przez tych, którzy je ratować pragnęli i możliwości takie posiadali, nie osiągnęły żadnego skutku. A próby takie były, chociaż pani Kossowska neguje jakoby w ogóle miały miejsce. Ostatnia redaktorka *Wiadomości* głosi, że nie udało się ich utrzymać wobec braku poparcia przez polskie organizacje, trudności lokalowych i finansowych oraz uciążliwych warunków redagowania pisma. Twierdzi, iż nieznana jej była jakakolwiek inicjatywa „ratowania *Wiadomości*”, o której dowiedziała się „przypadkowo dwa lata temu”. Chyba jednak nie przypadkowo gdyż sprawę dokładnie przypomniawszy artykuł pt. „Związek Pisarzy i *Wiadomości*” w *Pamiętniku Literackim* (t. XVIII, 1993). Jego treść i sposób polemizowania z nim teraz dowodzą, że i sama inicjatywa znana była p. Kossowskiej już znacznie dawniej, wtedy właśnie gdy ją wysunięto.

Świadczy o tym jej korespondencja z prezesem Związku Pisarzy Polskich dr. Józefem Garlińskim, sięgająca roku 1979.

Świadczy też zainicjowany przez niego projekt ratowania *Wiadomości*, przedstawiony rzeczowo w datowanym 29.12.1980 liście p. Tadeusza Walczaka, któremu p. Kossowska zarzuca ambicję „przejęcia prywatnego, niezależnego pisma o wielkiej tradycji, by pod jego firmą prowadzić jakieś inne”. Usiłuje przy tym wykazać nierealność całego pomysłu, rzekomą próbę usunięcia jej z redakcji i dążenie do narzucenia warunków, które zmieniałyby oblicze pisma, podporządkowując je nowym władzom. Tymczasem zapoznanie się z treścią tego listu nasuwa całkiem odmienne wnioski.

Opracowaniem planu ratunkowego miał zająć się 3-osobowy zespół w składzie: pp. Jan Badeni, Tadeusz Walczak i Józef Garliński. Z listu pisanego po rozmowie z p. Kossowską wynika jasno, że już wtedy powzięła ona zamiar likwidacji *Wiadomości*, przeciwna utrzymaniu ich ciągłości w dawnej postaci, uchylała się od udziału w tworzeniu nowej formy organizacyjnej tygodnika i w jego administracji, ale gotowa była sprawować funkcję redaktora przez pewien czas, może jeszcze przez rok i wycofała obiekcje, co do lokalu redakcji w POSK-u. Porównując propozycje projektu z wykrętnymi komentarzami p. Kossowskiej łatwo ustalić, kto ponosi winę za jego utracenie i niedopuszczenie nawet do próby jego realizacji, która miała duże widoki powodzenia a w każdym razie powinna była być podjęta.

Nie bardzo rozumiem motywów niechęci p. Kossowskiej do Związku Pisarzy, przeciwko któremu na wszelkie sposoby i pod różnym przybraniem prowadzi wciąż zawziętą kampanię. Zupełnie fałszywe są jej zarzuty, jakoby „Związek dysponujący biurem i funduszami” nigdy nie ofiarował żadnej pomocy *Wiadomościom*. Otóż wbrew wywodom pani redaktor, Związek w lutym 1981 ze swej ubogiej kasy wypłacił im sto funtów, czego dowodem jest pisemne podziękowanie p. Kossowskiej, przy czym prawda jest taka, że Związek nie dysponował ani biurem, ani funduszami lecz posiadał jedynie szafkę we wspólnym pokoju z innymi organizacjami, zaś pieniądze z Fundacji Domu Pisarza szły wyłącznie na wydawanie *Pamiętnika Literackiego*. Przyczyna stanowiska p. Kossowskiej jest oczywista, oparta na przekonaniu, że tylko ona mogła zapewnić niezależność i właściwą linię *Wiadomości*, że do niej należało wyłącznie prawo występowania w ich imieniu i że nikt inny nie podola, nie potrafi i nie powinien przejmować po niej redakcyjnego berła. Na niej ma się zamknąć księga zasłużonego czasopisma. I to jest prawdzi-

wy powód, dlaczego zdecydowała się zlikwidować *Wiadomości*, położyć kres nagrodzie *Wiadomości* i przekazać archiwum *Wiadomości* do Kraju.

P. Kossowska przyznaje, że Związek Pisarzy załatwiał przez kilka lat część spraw administracyjnych związanych z nagrodą *Wiadomości*, zaś *Pamiętnik Literacki* notował roczne nagrody. Dziwi tylko jej ubolewanie, że nie było tam „w ciągu tych paru lat zwyczajowych sprawozdań z posiedzeń jury”. Protokołów normalnie się nie ogłasza wszelako i ja żałuję, że ich nie sporządzano (co należało do przewodniczącego jury). Uniknięto by wówczas rozbieżności w ukazywaniu faktów i byłby bardziej jasny rzeczywisty powód ustąpienia z jury dr. Garlińskiego, gdyż obraz rezygnacji „w burzliwej rozmowie telefonicznej” na znak protestu przeciw kandydaturze Adama Michnika wydaje mi się nieprawdopodobny. I znano by dokładniej przebieg głosowania chociażby wtedy, gdy usilnie forsowano kandydaturę Michnika przeciw wyborowi autorki świetnej książki, więźniarki łagrów, Wiktorii Kraśniewskiej (Barbara Skarga). Okazało by się również, że wersja zakończenia „z honorem” nagrody, podana w książce „Od Herberta do Herberta”, ma cokolwiek inną postać. Zgłoszona przeze mnie na ostatnim zebraniu jury pomoc administracyjna Biblioteki Polskiej została przez przewodniczącą odrzucona, jakkolwiek większością głosów zdecydowano wówczas jeszcze nagrodę utrzymać a zakończyć postanowiono dopiero „po późniejszej korespondencji” i zapewne po zakulisowych perswazjach.

Artykuł jej również opacznie rysuje sprawę przekazania archiwum *Wiadomości* do Torunia. Przyznając, że mogły tą decyzją kierować intencje najzaciejsze, ale towarzyszące temu metody i przedłożenia zmuszają mnie do przedstawienia „drugiej strony medalu”. P. Kossowska pisze, że „parę razy” skrytykowałem decyzję przekazania archiwum *Wiadomości* do Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Istotnie skrytykowałem całe to zjawisko, a krytykę otwarcie, publicznie, pod własnym nazwiskiem, a nie pod pseudonimem, swoim lub cudzym. Ciekawe ile razy i gdzie p. Kossowska spotkała się z tą krytyką skoro ją zwielokrotniła. W rzeczywistości mogła przeczytać ją raz w art. „Czy skończona nasza rola?” (*Tydzień Polski* z 4 i 11.11. 1995), gdzie poświęciłem tej sprawie jedno zdanie. Był to tekst referatu wygłoszonego w Lublinie na sesji „Stałej Konferencji Muzeów, Archiwów i Bibliotek Polskich na Zachodzie”.

Wskazywałem w nim na szeroko zakrojoną a nieraz podstępna akcję ogałacania emigracji z jej zbiorów. Co nie oznacza, że wolelibyśmy je raczej zaprzepaścić aniżeli wysłać do Kraju, ale też nie znaczy, że mamy pozwolić na zubożenie i podważanie instytucji polskiej nauki i kultury na obczyźnie. Rozróżniamy też posiadaczy zbiorów, które w ręku prywatnym znalazły się przez okazję lub przypadek, od woli właścicieli mających pełne prawo rozporządzania nimi według swojej woli. Referat mój zawiera pełniejszą odpowiedź na argumentację typu p. Kossowskiej. Już po wysłaniu Archiwum *Wiadomości* do Polski wystąpiła ona z tłumaczeniem swojej decyzji w artykule „Dlaczego Toruń?” (*Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 17.5.1995). Stwierdzała, że materiały wysłane do Kraju przeważnie pozostają nie udostępnione i tylko w Toruniu uzyskuje spełnienie warunków potrzebnych, aby archiwum było należycie utrzymane i dostępne dla badaczy. Takich warunków nie zapewniały instytucje emigracyjne aczkolwiek przyznawała, że „do wyjątków należy Instytut Sikorskiego i Biblioteka Polska” w Londynie.

Tych wyjątków już nie zauważył p. Krzysztof Muszkowski w artykule „Archiwum *Wiadomości*” (*Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 17.5.1995) wyrażając wątpliwości jakoby polskie instytucje emigracyjne mogły „przejąć na siebie opiekę nad archiwum i zapewnić mu pozytywną przyszłość a nade wszystko udostępnić je krajowym badaczom i ludziom pióra”. Skąd ta pewność, skoro nie zasięgnięto opinii ani Biblioteki Polskiej, ani Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego, przesądzając z góry, że „z braku miejsca, ludzi, pieniędzy” nie będą mogły równać się z ofertą krajową, zapewniającą opracowanie zbiorów w ciągu roku, udostępnienie ich naukowcom, skatalogowanie korespondencji, wydanie prac drukowanych itp. Są to zobowiązania istotnie atrakcyjne chociaż bardzo dyskusyjne. Wypada przynajmniej zaznaczyć, że archiwa i biblioteki emigracyjne od dawna udostępniają badaczom swoje zbiory, co niejednokrotnie owocowało publikacjami prasowymi i książkowymi. Także liczne prace naukowców krajowych, książki o *Wiadomościach* i red. Grydzewskim, znakomite opracowania Rafała Habielskiego, Pawła Kądzieli i in. powstawały w czasach, gdy archiwum znajdowało się jeszcze w Londynie. Podobnie, po to by ukazała się drukiem książka o *Kulturze* czy korespondencja Jerzego Giedroycia z

Konstantym Jeleńskim i Witoldem Gombrowiczem nie musiano przenosić archiwum Instytutu Literackiego do Polski.

Pani Kossowska zapytuje kto byłby za archiwum odpowiedzialny i nim się zajął, i „czy miałoby podzielić los innych zbiorów, rozproszonych, nie opracowanych przez nikogo, często zapomnianych?” A na dowód grożącej mu zagłady pyta mnie gdzie są archiwa *Nowej Polski*, *Lwowa i Wilna*, *Ostatnich Wiadomości*, *Polski Walczącej*, dając do zrozumienia, że zaginęły. P. Kossowska dobrze wie kto się zajmuje i dba o materiały stale napływające do emigracyjnych instytucji zbierackich, a też że nie wszystkie materiały krajowe są ratowane, opracowywane, wydawane. A na pytania jej odpowiadam: *Nowa Polska* przestała wychodzić z końcem 1946 r., *Lwów i Wilno* w roku 1950. Są to czasy bliższe pani Kossowskiej, przebywałem wtedy poza Anglią i to ja ją powinienem zapytać o losy dokumentacji tych czasopism, o których – podobnie jak ona sama ostatnio – decydowali jednostronnie Słonimski i Cat-Mackiewicz. Akta wydawanych w Niemczech *Ostatnich Wiadomości*, o ile mi wiadomo, miała red. Małgorzata Stensik umieścić w Muzeum Civilian Support Group USARBUR (armii amerykańskiej w Europie). Natomiast archiwum *Polski Walczącej*, doskonale uporządkowane, opisane, skatalogowane (dzięki pomocy Fundacji z Brzezia Lanckorońskich) znajduje się w Bibliotece Polskiej w Londynie zaś jego mniejsza część w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

Polowanie na tutejsze zbiory trwa wciąż i rozwija się na dobre. Pani Kossowska walczy je popiera, wspierając łowców i nakłaniając krąg swoich znajomych, a przez nich i kręgi dalsze, ażeby ruszyły jej śladem. Gorzej, że tym ruchliwym zabiegiem towarzyszą coraz śmielsze zakusy na kolekcje posiadane lub przeznaczone dla instytucji emigracyjnych, które tak jak Biblioteka Polska w Londynie, stają się obiektem takich usiłowań podstępnego wyrwania ich własności przez tych właśnie łowców. Ale szczególnie przewrotna jest konkluzja artykułu, głosząca iż „Dopiero gdyby p. Jagodziński mógł oświadczyć, że wszystkie te czy inne archiwa i zbiory prasowe zostały zebrane, opracowane, zachowane i że może zapewnić im opiekę na przyszłość, mógłby mieć pretensje o przesyłanie archiwów do Polski”. Nie ma takiej instytucji, polskiej czy obcej, gotowej podjąć takie całociowe zobowiązanie i spełnić tak szeroko pojęte żądanie. Jest to chwyt niepoważny tym bardziej, że pani

Kossowska stawia tu bryczkę przed koniem – gdy wymaga ode mnie takiego zapewnienia już *post factum* zamiast otwarcie i uczciwie zwrócić się o nie, nie tyle do mnie, co do polskich instytucji w Londynie, przed urzeczywistnieniem swoich zamiarów w innym kierunku. Skoro tego nie uczyniła nie powinna występować z pretensjami do moich pretensji.

Doceniając jej zasługi, dokonania i troski, jest mi niezmiernie przykro zabierać głos w tej niemiłej materii. Przemiłczałem jej poprzedni atak na mnie w *Kulturze*, gdy go przypuściła nie sprowokowana, mieszając się do nie swoich spraw. Tym razem muszę replikować, nie z jakichś personalnych pobudek, ale – używając jej własnych słów – po to by sprawę „wyjaśnić dla historycznej prawdy”. W moim przekonaniu bowiem prawda jest jednak inna niż ta, jaką pani Kossowska maluje.

Zdzisław JAGODZIŃSKI

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

11.12.95

Zmarł w Warszawie w wieku 92 lat prof. Zygmunt Gross, wybitny socjolog.

2.3.96

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Leon Marszałek, wybitny wydawca, współorganizator Państwowego Wydawnictwa Naukowe, redaktor naczelny Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN.

11.3.96

W Białymstoku został otwarty Sekretariat Generalny Syndesmosu, światowej organizacji skupiającej 118 prawosławnych organizacji młodzieżowych i szkół teologicznych 41 krajów. Od września 1995 r. sekretarzem generalnym organizacji jest białostoczanin, Włodzimierz Misijuk.

15.3.96

Zmarł w wieku 67 lat ks. bp Czesław Domin, ordynariusz koszalińsko-kołobrzegi, wieloletni przewodniczący Komisji Charytatywnej Episkopatu Polskiego. Odegrał specjalną rolę w okresie stanu wojennego i w latach późniejszych w dystrybucji pomocy dla kraju płynącej z zagranicy.

27.3.96

Członkowie Rady i Zarządu Fundacji Rozwoju Ośrodka Akademickiego w Rzeszowie złożyli wniosek w Ministerstwie Edukacji Narodowej o utworzenie uniwersytetu w Rzeszowie. Uniwersytet ma kształcić ok. 12 tysięcy studentów i zatrudniać 34 profesorów tytularnych. Uniwersytet ma powstać na bazie Wyższej Szkoły Pedagogicznej i filii Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej.

ZACHÓD – EMIGRACJA

16.4.96

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało w Instytucie Katolickim w Paryżu odczyt Pierre'a Zaleskiego pt. „L'énergie nucléaire: un enjeu pour l'humanité. Ses problèmes, particulièrement en Europe de l'Est”. Poprzednio, 2-go kwietnia, prof. Edmund Marek wygłosił odczyt „Nicolas Copernic, humaniste et homme de foi”.

3.3.96

Zmarł w Filadelfii w wieku 85 lat kardynał John Król. Był jednym z czołowych przedstawicieli konserwatywnej grupy Konferencji Amerykańskiego Episkopatu. M.in. był organizatorem Światowego Kongresu Eucharystycznego w Filadelfii w 1986 r.

22.3.96

W Centre du Dialogue w Paryżu p. Janina Smogorzewska wygłosiła odczyt na temat „Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie”. Poprzednio, 1-go marca, Wojciech Skalmowski, profesor uniwersytetu w Louvain, mówił na temat „Opcje literacko-polityczne wczoraj i dziś”.

23.3.96

W Kapsztadzie (Afryka Południowa) powstał Komitet Opieki nad Puszcą Białowieską zorganizowany przez p. J. B. Janika. Skierował on apel do Prezydenta RP w tej sprawie podając za wzór istniejące w Afryce Południowej ośrodki ekologiczne jak Kruger National Park.

24.4.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, odbył się odczyt Aleksandra Halla (b. ministra, przewodniczącego Partii Konserwatywnej) na temat „Charles de Gaulle i Polska”.

26.4.96

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt na temat „Czy realny jest dziś w świecie problem cywilizacji pokoju?” Poprzednio, 19-go kwietnia, Wojciech Karpiński mówił na temat „Stulecie urodzin Józefa Czapskiego”. Dnia 21-go kwietnia w sali Centre du Dialogue została odprawiona uroczysta msza św. w intencji Józefa Czapskiego w stulecie jego urodzin.

OŚWIADCZENIE POLSKIEGO PEN CLUBU

Polski PEN CLUB – w imieniu zrzeszonych w nim elit piarstwa polskiego i humanistycznej inteligencji polskiej – wyraża kategoriyczny protest przeciw zezwoleniu władz wojewódzkich na demonstrację w Oświęcimiu ekstremalnej grupy politycznej znanej ze swego antysemityzmu.

Zezwolenie to doprowadziło 6 kwietnia 1996 do jej przemarszu przez Oświęcim – przy akompaniamencie antyżydowskich inwektyw i haseł przeciw Unii Europejskiej i NATO – i stanowiło w istocie profanację grobów niezliczonych ofiar nazizmu w uświęconym miejscu, które jest dla Polski i świata symbolem męczeństwa i ziemią wiecznej żałoby.

Umotywowanie administracyjnej zgody na tę skandaliczną demonstrację względami formalno-prawnymi nie daje się pogodzić z elementarnymi zasadami moralności, obyczajowości i kultury, zezwolono bowiem na dokonanie profanacji sanktuarium.

Nietrudne do przewidzenia były też następstwa: zarówno sprzeciw opinii publicznej w kraju, jak oburzenie za granicą.

To, co stało się 6 kwietnia w Oświęcimiu, rzuciło cień na obraz Polski w świecie jako praworządnego kraju zdolnego do obrony swoich demokratycznych norm życia.

Deklarujemy poparcie dla oświadczeń i inicjatyw, które o zdolności tej nie pozwolą nikomu wątpić.

O podjęcie ich apelujemy z nadzieją do najwyższych władz, pana Prezydenta RP, pana Prezesa Rady Ministrów, panów Marszałków Sejmu i Senatu, a także do Jego Eminencji Księdza Prymasa i Jego Ekscelencji Księdza Biskupa – Sekretarza Episkopatu, do szanownych panów Rektorów i Senatów wyższych uczelni, do panów przewodniczących partii politycznych i związków zawodowych.

Zwracamy się z gorącą prośbą do stowarzyszeń twórczych i towarzystw naukowych o możliwie szybkie przyłączenie się do tego apelu. Ufamy, że uda nam się wspólnie przeciwdziałać siłom prowokacji i nienawiści.

Warszawa, 9 kwietnia 1996

Zarząd Polskiego PEN Clubu

Listy do Redakcji

1996-03-21

Szanowny Panie Redaktorze!

Przez przypadek przeczytałyśmy Pański wywiad z dnia 17.02.br „Prawda w oczy, groch o ścianę”, który nas bardzo zbulwersował. Jesteśmy patriotkami, które za Wiarę i Ojczyznę oddałyby życie. Natomiast z Pana wypowiedzi wynika, że jest Pan wrogo nastawiony wobec Wiary i Kościoła, szkalując Jego i największych patriotów, których wydała nasza Matka – Polska Ziemia (Papież Jan Paweł II, O. Rydzyk, Ks. Jankowski i Lech Wałęsa). Pan tę ziemię porzucił, aby polepszyć sobie byt, wybierając inną Ojczyznę. Łatwo jest stać z boku i szkalować. Osobiście nie zna Pan rzeczywistości, wysuwając wnioski tylko z wypowiedzi zasłyszanych. Przecież nie mieszka Pan w Polsce już od 1946 r. Dobrobyt zmienił Pana do tego stopnia, że nie ma Pan ochoty przyjechać do Polski, z czego wynika, że ona jest dla Pana obojętna. Może zapomniał Pan tak przepiękne polskie hasło „Bóg Honor Ojczyzna”?

Z poważaniem

Władysława BIELICKA
Regina BIELICKA

K/o 1. „Radio Maryja”

Indianapolis, 20 marca 1996

Szanowna Redakcjo Kultury,

Prenumeratę *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* wstrzymałem (nie odnawiałem) na rok 1996. Księgarni „Polonia” w Chicago, która przysłała mi zawiadomienie o ew. odnowieniu prenumeraty obu czasopism napisałem jeszcze w listopadzie czy na początku grudnia 1995, że prenumeratę wstrzymuję i proszę „Polonię” o powiadomienie o tym Redakcję *Kultury*. Wasze przypomnienie o tym w liście do mnie z 13 marca br. do mnie zwróciło moją uwagę, że „Polonia” nie zawiadomiła Was o tym.

Kulturę prenumerowałem od 1963 roku, *Zeszyty Historyczne* od

pierwszego numeru. Cały zbiór tych czasopism przesałem i podarowałem bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyśle.

Prenumeratę wstrzymałem z wielu powodów. Jednym z nich była zauważona zmiana kierunku i opinii publikowanych poglądów w *Kulturze*. Pan redaktor Jerzy Giedroyc wykazuje ostatnio dużą dozę wyrozumienia dla rządów post-komuny w Polsce. Robi to dlatego, że rządy te wybrało społeczeństwo polskie ogłupiałe przez 45 lat dyktatury komuny i zdeorientowane przez 5 lat solidarnościowego bałaganu. Rząd ten został wybrany w demokratycznych wyborach ale to nie zmienia w niczym istniejącej sytuacji. Z drugiej strony, pan redaktor Giedroyc wykazuje jakiś głęboki uraz do kościoła katolickiego w Polsce czy do hierarchii tego kościoła i często przestrzega, że hierarchia ta chce jakoby zrobić z Polski państwo wyznaniowe, do czego nie ma żadnych podstaw. Kościół ma prawo walczyć o swój głos i wpływy w państwie o 96% katolików, co nie znaczy, że chce objąć rządy. Papieżem jest Polak, Polska nie ma konkordatu z Watykanem. Czy to nie ma znaczenia?

Alergia *Kultury* do Kościoła w Polsce jest widoczna z długich artykułów p. Antoniego Pospieszalskiego „O religii bez namaszczenia”. Pan Pospieszalski widzi przeważnie błędy w polityce Watykanu czy hierarchii kościoła w Polsce. Skoro pan Pospieszalski wie lepiej od papieża, kardynałów czy hierarchii kościoła w Polsce, co jest dobre a co złe w ich polityce kościelnej, dziwne, że papież nie mianował go kardynałem i nie powierzył mu sprawy polityki kościoła.

Słuszną jest krytyczna opinia pana redaktora Gieroycia o Lechu Wałęsie. Wiemy dziś, że Wałęsa był nieszczęściem dla Solidarności a przez to i dla Polski. Opinia światowa zrobiła z Wałęsy „męża opatrznociowego” a on był tylko narzędziem i parawanem w rękach komuny. Tak zwana góra „Solidarności” była spenetrowana przez SB o czym przyznaje obecnie sam Wałęsa. UB nie mogło spenetrować przeszło 10 milionów ludzi którzy poparli solidarnościowe hasła i straciło chwilowo kontrolę nad tym ruchem. (Gorbaczew też stracił kontrolę nad rozpoczętą reformą komunizmu którego nie miał zamiaru niszczyć). Wałęsa rozwalił 10-cio milionowy ruch Solidarności zaraz po wybraniu go prezydentem, pozbawiając ten ruch jakiegokolwiek znaczenia. To była też robota UB. Nie jest przypadkiem, że Wałęsa szukał oparcia w „lewej nodze”, zamiast oprzeć się na silnym ruchu Solidarności. Musiał on wiedzieć o jego prawdziwej roli ale może nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Wałęsa wprowadził w błąd opinie świata, polityków Zachodu, Komitet Nagrody Nobla i papieża. To nie on rozwalił komunizm w Polsce, ale obudzony i zjednoczony (niestety na krótko) Naród.

Nie wiem ile mam racji w tym co powyżej napisałem. Korzystam tu z okazji odpowiedzi, na pytanie Redakcji w sprawie dalszej prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* i dzielę się z Redakcją moimi poglądami.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Tomasz GOŁĄB

Londyn 19.3.96

Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo zmartwiłam się błędami, jakie prof. Krótki znalazł w moim wspomnieniu o Janie Badenim, ale nie do wszystkich się przyznaję. Prawda, że pomyliłam datę jego urodzin (1921 zamiast 1922), którą bezmyślnie przepisałam z jednego z londyńskich nekrologów, co nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Rangę wojskową Badeniego, której prof. Krótki nie jest pewny, pisząc, że „opuścił królewskie lotnictwo może jako podpułkownik (*Wing Commander*)” – sprawdziłam u tych, którzy byli z nim w lotnictwie, podobnie jak u innych jego krótką obecność w Brygadzie Karpackiej. Przyznaję, że pisząc wspomnienie pośmiertne, nie pomyślałam, by sprawdzić czy był w niej „ułanem” czy „strzelcem”. O majątku rodzinnym Badeni mówił, że jest „pod Lwowem”, „niedaleko Stanisławowa”, „w Małopolsce Wschodniej”, więc i ja poszłam za jego przykładem, bez posługiwania się przedwojennym podręcznikiem geografii, by prawidłowo umieścić Koropiec na Podolu.

Poddając się precyzyjnym sprostowaniom prof. Krótkiego, chcę jednak zdecydowanie zaprotestować przeciwko poprawianiu mojej informacji o 16 kościołach i cerkwiach na Wschodzie, gdzie Badeni został kolatorem, których ilość prof. Krótki zmniejszył do sześciu. Liczbę tę (16) podał mi sam Badeni, który był zbyt skromny, by pomnażać swoje godności czy zasługi. W tej samej rozmowie powiedział mi o projekcie stworzenia Fundacji – nad czym zaczął pracować – która miałaby w przyszłości zająć się akcją pomocy dla kościołów i cerkwi na Wschodzie. Wymienił mi jaki fundusz jest na to przeznaczony, skąd będzie pochodził a także nazwiska osób, które mają tę Fundację prowadzić. Było przewidziane, że zacznie ona funkcjonować z końcem 1996 r.

Nie wiem czy w związku z chorobą i śmiercią Badeniego projekt ten jest nadal aktualny. Wiedziało o nim tylko pięć osób i obiecałam zachować tę tajemnicę do czasu, tak jak chciał, pytając tylko czy mogę powtórzyć ją Panu Redaktorowi, któremu sprawy wschodnie są tak bliskie. Zgodził się na to bez zastrzeżeń, prosząc tylko o dyskrecję. Bezpośrednio po tej rozmowie przekazałam Panu Redaktorowi tę wiadomość (listem z 17.7.95), w którym figurowała liczba 16 kolatorstw.

Różnica między wersją prof. Krótkiego i moją pochodziła zapewne stąd, że on w Kanadzie miał rzadsze i spóźnione wiadomości, podczas gdy Badeni do ostatniej niemal chwili często rozmawiał ze mną telefonicznie i opowiadał mi o tym czym właśnie się zajmował i co go obchodziło.

Stefania KOSSOWSKA

Thônex, 25 marca 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Prof. Reykowski nie w pełni chyba rozumiał uwagę Piotra Skórzyńskiego o elitach „minionego okresu” racjonalizujących swój akces do komunizmu (*Kultura* Nr 3/582, 1996) skoro podkreśla, że nie jest gotów wyzbyć się lewicowych wartości, a nieco dalej przypomina o idei powszechnej sprawiedliwości społecznej obecnej w ideologii komunistycznej.

Otóż nie chodzi o to aby wyzywać się lewicowych wartości, ani też aby nie dostrzegać roli sprawiedliwości społecznej w idei komunistycznej, ale o to – i o tym prof. Reykowski mówi bardzo mało – że praktyka lewicowości i sprawiedliwości społecznej, tak jak miliony ludzi ją „przerabiali” przez kilkadziesiąt lat, uślana była milionami trupów i związana z morzem cierpień jeszcze większej liczby ludzi, o czym wiedzieli nie tylko ludzie prości ale nawet i komunizujący intelektualiści. Przy odrobinie złośliwości, w tej części uwag prof. Reykowskiego można się jakby doszukać domagania się dla intelektualistów „taryfy ulgowej”, która chyba raczej należałaby się właśnie małuczkim, prostym ludziom.

W tamtych właśnie czasach, nie dalej jak po drugiej stronie Bałtyku, a więc blisko Polski, w królestwie Szwecji, rządzonej przez wiele lat przez socjalistów, praktyka idei sprawiedliwości społecznej była nieskończenie bardziej zaawansowana niż w „obozie socjalistycznym” i wprowadzona w życie bez potwornych cierpień i niesprawiedliwości. Dlaczego przykład tego np. kraju tak zupełnie nie inspirował naszych, tak społecznie wrażliwych intelektualistów? A przecież była tam i realizacja idei sprawiedliwości społecznej i wcale nie trzeba było się wyrzekać lewicowości...

Słępotą, dyspozycyjnością, co jeszcze?

Bardzo wszystkim radzę przeczytać hasło „Intelektualista” w książce Ojca J.M. Bocheńskiego pt. „Sto zabobonów” (Instytut Literacki, Paryż 1987).

Genewa, 9 kwietnia 1996

Z prawdziwym obrzydzeniem przeczytałem w *Kulturze*, Nr 3/582, 1996 list pana doktora Krzysztofa Józwickiego z Żywca. List, który właściwie nie zasługuje na żadną replikę i natychmiast po przeczytaniu powinien trafić do śmieci, ponieważ, ogólnie mówiąc, jest niesłuszny i krzywdzący, a do tego, też mówiąc ogólnie, niegrzeczny. Doświadczony lekarz mógłby się tu pokusić o postawienie rozpoznania. Ja tylko powiem: *medice, cura te ipsum*.

A może doktor Józwicki miał co innego na myśli, a ja w mojej naiwności źle go odczytałem. Przypomina mi się zdarzenie dotyczące Karola Irzykowskiego. Gdy na zjeździe literatów posta-

nowiono wysłać depeszę z wyrazami uznania do prezydenta Mościckiego i poddano jej treść pod głosowanie, jedynie Irzykowski był przeciw. Zapytany czemu tak głosował odparł, że wyłącznie dlatego aby jedynomyślność nie sprawiała wrażenia, że głosowano pod przymusem...

Zdaje sobie sprawę, że analogia z obecnym *unisono* z okazji pięćdziesięciolecia *Kultury* jest dosyć naciągnięta, ale tak bardzo chciałbym mieć nadzieję, że pan doktor Józwicki jednak kierował się takim samym rozumowaniem jak, przed tylu laty, Karol Irzykowski.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Jan VENULET

WYKAZ KSIĄŻEK „BIBLIOTEKI KULTURY”

	Stron	F.
Anderman, J.: <i>Kraj świata</i>	75	50,00
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijow- szczyźnie)	296	120,00
Bereś W. i Burnetko K.: <i>Tylko nie o polityce</i>	128	70,00
Bieńkowska, D.I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Brandys, K.: <i>Miesiące 1985-1987</i>	192	80,00
Braun, K.: <i>Pomnik</i>	110	65,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Brzeziński, Zb.: <i>Wielkie bankructwo</i>	286	145,00
Bugajski, R.: <i>Przesłuchanie</i>	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1958- 1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), Działal- ność wydawnicza (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1974- 1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1974-1980), Działal- ność wydawnicza (1974-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1981- 1987), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1981-1987), Działal- ność wydawnicza (1981-1987)	342	150,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece</i> <i>Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
Głos („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	221	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i>	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia</i> <i>polskie. - Wędrowki po Argentynie</i>	256	65,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Szpica</i> (opowiadania, szkice)	288	120,00
Heller, M.: <i>Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek</i> <i>sowiecki</i>	286	120,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1984- 1988) - t. IV	400	170,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	85,00

Hertz, Z.: <i>Listy do Czesława Miłosza (1952-1979)</i> . . .	520	160,00
Iwaniuk, W.: <i>Moje strony świata</i> . . .	76	20,00
<i>Jak z tego wyjść</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	80	25,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i> . . .	140	45,00
Karpiński, J.: <i>„Dziwna wojna”</i> . . .	160	80,00
Karpiński, J.: <i>Taternictwo nizinne</i> . . .	123	55,00
Kisielewski, S.: <i>Podróż w czasie</i> . . .	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i> . . .	208	70,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i> . . .	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i> . . .	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956) . . .	272	95,00
Krzyżanowski, J.R.: <i>Banff</i> . . .	155	75,00
Kuśmerek, J.: <i>Stan Polski</i> . . .	80	30,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i> . . .	108	45,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i> . . .	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> . . .	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i> . . .	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 5) . . .	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Kronika</i> . . .	80	45,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i> . . .	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród Nauk</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 10) . . .	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. I</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 1) . . .	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. II</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 2) . . .	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. III</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 11) . . .	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 7) . . .	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 6) . . .	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rok myśliwego</i> . . .	286	145,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad Zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 9) . . .	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 12) . . .	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 4) . . .	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 8) . . .	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 3) . . .	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i> . . .	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (Sztuka sceniczna) . . .	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i> . . .	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczyty bogów</i> . . .	324	120,00
Nowak B.: <i>Cztery dni Łazarza</i> . . .	146	75,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i> . . .	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Grisza ja ciebie skażu...</i> . . .	176	70,00
Nowakowski, M.: <i>Karnawał i post</i> . . .	192	85,00
Nowakowski, M.: <i>Happy-End</i> . . .	288	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i> . . .	128	45,00
Orłowski, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i> . . .	160	70,00
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i> . . .	240	65,00

<i>„Polska polityka zagraniczna 1926-1939” opr. A.M. Cienciala na podstawie tekstów min. J. Becka</i> . . .	448	220,00
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i> . . .	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	64	10,00
<i>Prawa Człowieka i Obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” nr 49) . . .	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946.</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	288	18,50
Rekalski, A.T.: <i>Czy drugi Katyn?</i> . . .	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i> . . .	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i> . . .	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i> . . .	246	75,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Umschlagplatz</i> . . .	223	95,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Żmut</i> . . .	288	110,00
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i> . . .	144	55,00
Smoleński, P. (Tomasz Jerz): <i>Pokolenie kryzysu</i> . . .	134	75,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i> . . .	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i> . . .	224	25,00
Sułkowski, W.: <i>Szkola zdobywców</i> . . .	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i> . . .	360	80,00
Sylwestrowicz, W.D.: <i>Listy niewysłane</i> . . .	160	70,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i> . . .	160	65,00
Śląska, E.: <i>Dochodzenie</i> . . .	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Plonie komitet</i> . . .	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopoldę</i> . . .	176	55,00
Tuszyńska, A.: <i>Rosjanie w Warszawie</i> . . .	122	70,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i> . . .	388	150,00
Wandycz, P.: <i>Polska a zagranica</i> . . .	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje) . . .	128	11,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia t. III</i> . . .	527	50,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i> . . .	200	45,00
Zawadzka-Wet, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	240	16,50
<i>Znasz li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”) . . .	348	24,00

Zamawiających prosimy o doliczenie do należnej kwoty 10% na koszty przesyłki (minimum 15 FF).

KSIĄŻKI

Andrzej St. Kowalczyk:	<i>Nieznane utwory znanego (?) autora</i>	120
Maja E. Cybulska:	<i>Superlatyw bez pokrycia</i>	124
Ryszard Löw:	<i>Maria Hochberg-Mariańska</i>	128
Leszek Szaruga:	<i>„Wświetlenie”</i>	130
Andrzej Vincenz:	<i>„Węgry moja miłość”</i>	134
M. Broński:	<i>Droga do Zabulistanu</i>	137
-	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	140

POLEMIKI

Zdzisław Jagodziński:	<i>Prawda jest inna</i>	143
-	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	149
Zarząd Polskiego PEN-Clubu:	<i>Oświadczenie</i>	151
W. Bielińska i R. Bielińska, T. Gołąb, St. Kossowska, J. Venulet:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
-	<i>Wykaz książek Biblioteki „Kultury”</i>	157

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyć.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYĆ

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1996

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam, Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk, Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA, Tel. (08) 83-13-33, PG-KONTO 614 87 10-4	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27, Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 491 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO PIĘTNASTY

zawiera opracowania: R.T. Gerlach: *Ani nie-
dźwiedzi, ani lasu, ani nic: tragedia getta warszaw-
skiego*; M. Turlejska: *Przyczynek do losów praw-
ników polskich w latach 1935-53*; T. Skinder-
Suchcitz: *Próby uwolnienia okrętów podwodnych z
internowania w Szwecji. Wrzesień 1939 – czerwiec
1940*; J. Wróbel: *Polacy w Afryce Wschodniej i
Południowej 1941-1950*; J. Straszak: „*Szkoła szpie-
gów*”; M. Paziewski: *Opozycja polityczna à la PRL*;
T. Wyrwa: *Antologia literatury katyńskiej*; T. Wyr-
wa: *Pokolenie akowskie w pamiętnikarskim piśmien-
nictwie*; Z.S. Siemaszko: „*Liście na wietrze*”; J.
Hera: „*Dlaczego ob. Korzeniewski kłamie?*”;
H. Świdorska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii
1944-45*; K. Zamorski: *Z Kołomy do Andersa*;
**OKRUCHY HISTORII i LISTY DO
REDAKCJI.**

Str. 240

Cena F. 90,00